

MEMO AŁ
General M... ittek

2009 A. Mik. - spec. arch.

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Floty
87-100 Toruń, ul. F. Dąbrowskiego 93, tel. 00-53 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



AK

Okw. W-wa
Okw. Szkotów Podl.

foto. (brak)

ppos **GODLEWICZ Stanisława**

adres: ul.
62-200 Gniezno
tel:

442/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — GODLEWICZ Stanisława

442/WSK

I/1. Relacja ✓ k. 3, s. 1-3

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ k. 10, s. 1-10

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 22, s. 1-22

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. ✓ k. 9, s. 1-9

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja ✓

Korespondencja S. Godlewicz z Fundacją

k. 29, s. 1-29

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie brak

I/1 RELACJA WŁAŚCIWA

- Relacja własna, mps (kopia), k. 3, s. 1-3



1
I/1-1

Archiwum Pomorskie

Armii Krajowej

T O R U N - Piekary 49.

1. Dane Osobowe.

1. Godlewicz Stanisława-4.10. 1964- Godlewicz, Kaźmierowska Stanisława.
2. Dn. 14.12. 1913 Kazimierz-biskupi pow. Słupca.
3. Jan-Józefa z domu Bielik-matka przy mężu, ojciec rządcą w majątku.
4. 62-200-Gniezno- tel.

2. Dane środowiskowe.

1. Szkoła Powszechna ukończona w 1929 roku.
Prywatne Semin. Naucz. Siostr Niepokalanek w Wirowie 1930-1932.
Państwowe Seminarjum. Naucz. w Lublinie 1932-1935- matura.
2. Roczna bezpłatna praktyka w 7 kl. Szkole Powsz. w Sterdyni p. Sok- Podl.
Roczny kontrakt w 7 kl. Szk. Powsz. w Ceranowie p. Sok- Podl.
Nauczyciel stały w 7. kl. Szk. Powsz. w Niecieczy pow. Sok- Podl. do 1945 r.
3. Od Szkoły Powsz. poprzez Seminarium Naucz. należałam i prowadziłam Z.H.P.
i obozy, przeszłam Przysposobienie Wojskowe do Obrony Kraju,
Czynny udział w Związku Nauczycielstwa Polskiego.
Kurs Bibliotekarski 1, 2, 3 stopnia.

3. Udział w Kampanii Wrześniowej 1939 .

Pracowałam jako nauczycielka we wsi Nieciecz p. Sok-Podlaski.
Prowadziłam szkolenie i niosłam pomoc poszkodowanym w czasie działań wojennych, oraz organizowałam pomoc wysiedlonym z Poznańskiego.

4. Krotki życiorys " cywilny" okresu lat 1939-1947.

Uczyłam we wsi Nieciecz. Miałam na utrzymaniu matkę. Jeden brat zawodowy wojskowy poszedł na wojnę, dostał się do niewoli. Drugi brat wywieziony na roboty do Niemiec. Siostry przeżyły w Warszawie.
Pensja płacona przez Inspektorat była bardzo mała. Nauczyłam się roboty na drutach, za którą płacono mi produktami żywnościowymi.
Tajnie nie uczyłam gdyż w GG-Sok-Podl. uczyłam jawnie narażając się a zakazaną naukę historii mogłam uczyć na języku polskim, a nawet na matematyce.

5. Przebieg konspiracyjnej służby żołnierskiej w latach 1939-1945.

1. Dnia 3 stycznia 1942 r. do 8 stycz. 1944 r. w Ruchu Oporu-Armii Krajowej.
 2. Przysięgę złożyłam Komendantce Hufca ZHP Sok-Podl. Adeli Kołodziejczyk
 3. Zostałam łączniczką p.s. "Stella". Podlegałam bezpośrednio Adeli Kołodziejczyk, jako Komendantce grupy łączniczek, a pośrednio Szefowi Oddziału V-Łączności Wewnętrznej Joachimowi Muklewiczowi-Sztabu Obwodu Sok-Podl. /"Sęp"- "proso"/.
- Mieszkanie moje było punktem kontaktowym i skrzynką pocztową z którego korzystał Szef Dywersji Obwodu mjr. Franciszek Pieniak ps. "Przeboj", oraz dowódca specjalnej grupy dywersyjnej "Wichura"- ~~A. Hedyk~~ Oleksiak.
4. Przenosiłam i przewoziłam korespondencję konspiracyjną do punktów odbiorczych na terenie Ośrodka i Obwodu sokołowskiego.
Udziału w akcjach nie brałam- musiałam zachować pozory i uczyć w szkole, ale znane mi były wszystkie akcje chłopców z mojego i okolicznego Obwodu. W wszystkich poczynaniach miałam stały kontakt z kol. Stanisła-

2 I/11-2

Stanisławem Rybińskim z Wierzbic Ośrodka "Ryś" Gm. Repki, którego mieszkanie też było skrzynką kontaktową Łączniczek.

W 1943 r. latem była łapanka w Niecieczy, przed którą 12 partyzantów opuściło moje mieszkanie/nocleg/. Szli na akcję. Został tylko mój brat fryzjer., który ich strzygł i golił. Spał gdy Niemcy wpadli do mieszkania. Zdażyłam rewolwer spod jego poduszki zanieść do matki pod pierzynę. Jej nie ruszali-chora staruszka. Nas wzięto na zbiórkę, Przy selekcji, brata wsadzono do ciężarówki. Kiedy wsiadał, zjawiła się matka, wołając do syna. Niemiec odepchnął ją i uderzył. Przewróciła się. Ja podbiegłam na pomoc matce. Chwycono mnie za ręce i wsadzono do samochodu. Zawieziono mnie do przejściowego więzienia w Sok-Podl. Szykowano transport do Treblinki. Akowcy przystąpili do akcji przez wysiedlonego powstańca Wlkp. Ks. Prof. Witolda Gronkowskiego. Miałam uciekać na ul Lipowej. Tak się stało.

Wróciłam do Szkoły do Niecieczy.

Dnia 9 sierpnia w 1944 roku na tereny sokołowskie wkroczyło Armia Czerw. Działalność konspiracyjna została przerwana.

Nadal uczyłam w szkole w Nieciegzy.

Dnia 8 stycznia 1945 r. zostałam aresztowana w nocy przez pracowników U.B. Osadzona w ciemnej piwnicy na 42 dni. Tej samej nocy aresztowany był wyżej wspomniany St. Rybiński-wsadzony do karceru. Była też w piwnicy A. Kołodziejczyk i kr. Wycech.

Przesłuchania odbywały się nocą. Po zrobieniu nas "bandytami" Wojskowy Sąd polowy 1 dyw. Kościuszkowskiej skazał mnie na 4 lata więzienia, komendantkę Łączniczek na 6 lat, a łączn Kr. Wycech na 2 lata.

Po upełnomocnieniu się wyroku kol. St. Rybińskiego wywieziono do ~~ZSRR~~ za Ural, a ja wraz z A. Kołodziejczyk i Kr. Wycech zostałyśmy zawieziona do więzienia karno-Sledczego w Siedlcach, gdzie byliśmy do 28 września-amnestii.

Wróciłam do Szkoły w Niecieczy, gdzie byłam do końca roku szkol.

Przeniosłam się 12 wrześ. 1946 r. do Gniezna do 7 kl. Szk. Podstawowej nr 4. Urząd Bezpieczeństwa z Sok, Podl. szybko przekazał moje dokumenty do U.B. w Gnieźnie. Toteż w 1949 r. i 1953 r. przeprowadzono w moim mieszkaniu rewizję.

Mimo, że z zapałem ogdałam się pracy zawodowej i wychowawczej odebrano mi prowadzenie drużyny harcerskiej i przeniesiono do Izdebną pow. Międzychód. Nie objęłam tam pracy gdyż zachorowałam, a będąc w Szpitalu otrzymałam zwolnienie z zawodu nauczycielskiego.

Jako bezrobotna /1.5./ z trudem otrzymałam pracę jako kasjerka w M.H. M., gdzie po sprawdzeniu karalności znów zwolniono .nie z pracy.

Dopiero w 1956 r. wróciłam do zawodu naucz. do szk nr 4.

Pracowałam społecznie-otrzymywałam nagrody. W związku Naucz. Pols. byłam skarbnikiem w Sekcji Emer. Naucz.

VIII. W 1951 r. zmarła moja matka, później zmarli bracia. którzy wrócili z Niemiec.

W 1964 r wyszłam za mąż, a w 1970 r. przeszłam na emeryturę. Po śmierci męża w 1983 r. wstąpiłam do ZBOW. gdzie byłam w kom. socjal., a do chwili obecnej, jestem sekretarzem i kronikarzem w kole nr. 3.

W 1988 r. kiedy powstał Światowy Zw. Żołnierzy Armii Krajowej byłam sekretarzem i kronikarzem, oraz w kom. socjal. w jego pierwszej kadencji, Obecnie członkiem koła.

Odznaczenia:

Złoty Krzyż Zasługi-649-73-423.

Krzyż Armii Krajowej-33537-Londyn.

Krzyż Partyzancki-1990

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski-2669-84-22.

Medal Wojska 35758-Londyn

Medal Postępu Pedagogicznego 1971.

Medal Komisji Edukacji Narodowej 1986.

c.d. Po wyjściu z więzienia, w krótkim czasie nawiązało ze mną kontakt Koło b. członków naszego zgrupowania " Sęp- Proso" w większości znajdowali się w Warszawie.

Tam też jeździłam na zebrania, płaciłam składki, brałam udział w poświęceniu pomnika w Jagodniku, ~~tam~~ oraz tablicy zmarłych i pomordowanych w Sterdyni, odsłonięciu głazu na rynku w Sterdyni na który posłałam pieniądze, byłam na nadaniu im. Szkole w Czekanowie gdzie zginął mjr. "Socha".

Bywałam na "opłatku Żołnierskim", gdzie wręczono mi Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska z Londynu.

Po powołaniu koła A.K. w Gnieźnie zerwałam z kołem AK w Warszawie.

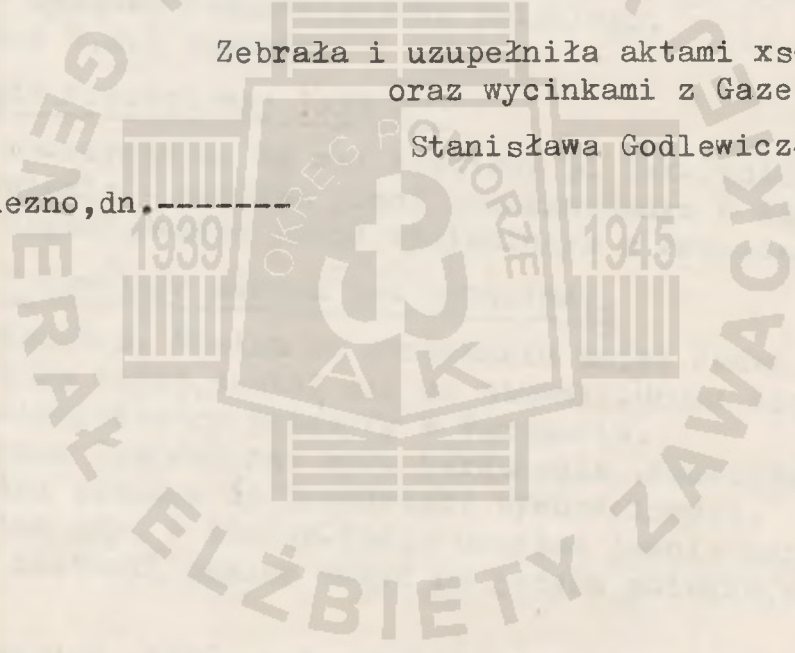
Po śmierci męża w 1983 r. wstąpiłam do ~~F~~ Bowidu.

Uprawnienia tam otrzymane były dla mnie dużą pomocą finansową ze względu na "stary portfel".

Przejścia wojenne i więzienne, przebyte 6 operacji, oraz z biegiem lat utrata wszystkich osób bliskich nie zostawiły mnie w całkowitej samotności, bo mam jeszcze życzliwych kolegów ze Związku Kombatant. i Związku AŚ K. A że jestem jeszcze czynna społecznie /81 lat/ zawdzięczam opiece dyrektora Szpitala Wojew. w Gnieźnie- członka Zw. AK który nie daje mi umrzeć.

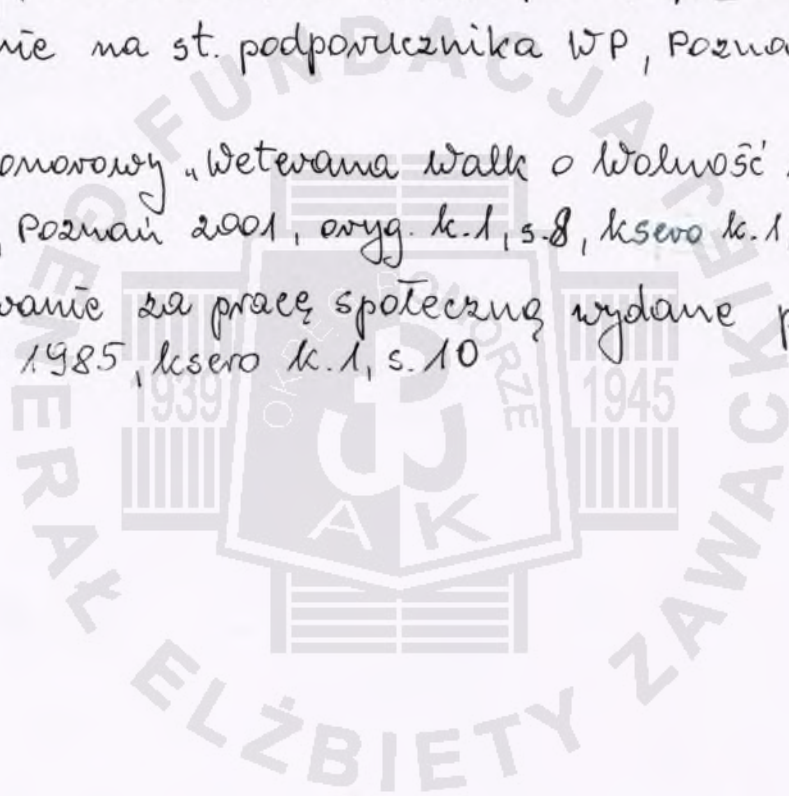
Zebrała i uzupełniła aktami xsero,
oraz wycinkami z Gazety Siedleckiej:
Stanisława Godlewicz-Kaźmierowska.

Gniezno, dn. -----



I/2 Dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

- Zaświadczenie [nr 35] wydane przez Organizację Przygotowanie Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju, Lublin 1934, ^{ksero} k.1, s.1
- Świadectwo [nr 100/38] wydane przez Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Sokółów 1938, ksero, k.1, s.2
- Orzeczenie komisji weryfikacyjnej ŚZŻAK, Poznań 1990, mps (kopia), k.1, s.3
- Legitymacje [nr 19] ŚZŻAK, Gniezno 1990, ksero, k.1, s.4
- Patent [nr 15402] Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny, Warszawa 1999, ksero, k.1, s.5, 6 [2 egz.]
- Mianowanie na st. podporucznika WP, Poznań 2000, ksero, k.1, s.7
- Dyplom honorowy „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”, Poznań 2001, oryg. k.1, s.8, ksero k.1, s.9
- Podziękowanie za pracę społeczną wydane przez ZBOWiD Gniezno 1985, ksero k.1, s.10





ORGANIZACJA PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO KOBIET DO OBRONY KRAJU

I/2-1

Nazwa jednostki pwk

Dnia 15 czerwca 1934 r.

*Szkoła Szkolny Nr 5
Droga + ul. Sienkiewicza
Kamień Łódzki
w Sublimie
ul. Piłsudskiego 12*

ZAŚWIADCZENIE Nr 35

Nazwisko i imię *Podlewska Stanisława*
ur. dn. *14* m. *IX* r. *1913* w zamieszkała
w Sublimie ul. Królowa 12
odbyła przysposobienie ogólnowojskowe w czasie od *1. IX 1932* do *15. VI 1934*
z następującym wynikiem:

- | | |
|---|---|
| 1. Wychowanie fizyczne: | 4. Higjena i ratownictwo <i>dobrze</i> |
| P. O. S. grupy <i>cała</i> | 5. Obrona przeciwgazowa i przeciwlotnicza <i>dobrze</i> |
| Gry ruchowe <i>cała</i> | 6. Strzelectwo <i>dobrze</i> |
| Gry sportowe <i>cała</i> | 7. Łucznictwo <i>dostatecznie</i> |
| Lekka atletyka <i>cała</i> | 8. Służba polowa: |
| Pływanie <i>cała</i> | Terenoznawstwo <i>dostatecznie</i> |
| 2. Wychowanie obywatelskie <i>dobrze</i> | Łączność <i>dobrze</i> |
| 3. Nauka służby <i>dobrze</i> | Gry polowe <i>brak materiału</i> |
| 9. Specjalne wyszk. fachowe (wyszczególnić jakie) | |
| 10. Zachowanie się <i>b. dobrze</i> | |

Ocena ogólna *dobrze*

ZAREJESTROWANO w *Kamień Łódzki*
Koła Inżynierskie PWK
w Sublimie ul. Piłsudskiego 12

[Signature]
Komendantka (jednostki pwk)



[Signature]
(podpis)
Lilka Kocien

Skala oceny: bardzo dobrze, dobrze, dostatecznie, niedostatecznie.

F/2-2

LIGA OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ

STOWARZYSZENIE WYŻSZEJ UŻYTECZNOŚCI

Pod Wysokim Protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej



Nr 100 138

ŚWIADECTWO

P. Godlewicz Stanisław

UKOŃCZYŁ W SOKOŁOWIE W DNIU 5 MARCA 1938 R.

KURS DLA KOMENDANTÓW I ZASTĘPCÓW KOMENDANTÓW

OBRONY PRZECIWILOTNICZEJ DOMÓW MIESZKAŁNYCH

Z WYNIKEM

z ostrych brzyt

Zarząd

Sekretarz

Prezes

Instruktor



Sołowo

dn 5 września 1938 r.

Druk „Bluszcz” Warszawa

ORZECZENIE KOMISJI WERYFIKACYJNEJ
ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
OKRĘG WIELKOPOLSKA W POZNANIU

Komisja działając na podstawie Statutu Ś.Zw.Ż.AK i obowiązującego regulaminu przyjmowania członków

dnia .. ~~Stanisława GODLEWICZ-KAZMIEROWSKA~~ **"Stella"**

Kol. .. ~~Jana i Józefa~~ pseud. **14 grudnia** **13.**

s/c ~~Kazimieru Biskupin~~ ur. **Gaiennie** ... 19....r.

w zam. w

i na podstawie przedłożonych dokumentów oraz po zapoznaniu się z opinią ~~Wojewódzkiego Ośrodka EKA~~ uznać, że w/wym. spełnia warunki - w - przynależności do Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w charakterze członka zwyczajnego i ustala następującą przynależność kombatanki **1.I.1942r 21.VII.1944r**

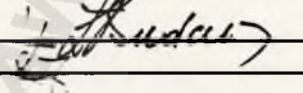
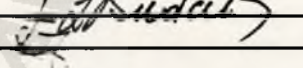
1. **Sokołów Podlaski** od do
2. od do
3. od do

Przynależność w WZŻ Ś.Zw.Ż.AK ustalona na podstawie wiarygodnego

~~oświadczenia własnego "Stelli" oraz w oparciu o kartę~~

~~kombatancką ZBoWiD Poznań, nr 0578013 z 13.XII.1983r.~~

Podpisy Komisji Weryfikacyjnej:

1. Przewodniczący - Przemysław BYSTRZYCKI 
2. Członkowie - BARTOSZEWICZ 
31.VIII. - St. STOKŁOSA

Poznań, 1990 r.

DECYZJA

PREZYDIUM ZARZĄDU ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
OKRĘG WIELKOPOLSKA W POZNANIU

Po zapoznaniu się z orzeczeniem Komisji Weryfikacyjnej Ś.Zw.Ż.AK Okr. Wielkopolska z dnia **31.VIII** 1990 r. Prezydium postanawia przyjąć - odmówić przyjęcia - w szeregi członków zwyczajnych Zw **Stanisławy GODLEWICZ-KAZMIEROWSKIEJ c.Jana i Józefa**

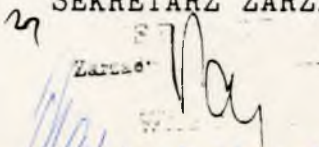
Kol. _____ s. _____

Od niniejszej decyzji zainteresowanemu służy odwołanie do Zarządu Głównego Ś.Zw.Ż. AK w Warszawie, za pośrednictwem tut. Zarządu w terminie 14 dni **793**

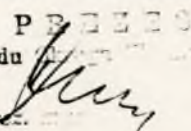
Nr ewid. **10.IX.90r**

Poznań, dnia _____

SEKRETARZ ZARZĄDU


Zarząd
21.01.1991

PREZES ZARZĄDU


PREZES
Zarządu
rtm. **11**



I/2-4

SWIATOWY ZWIĄZEK
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
OKRĘG WIELKOPOLSKA
INSPEKTORAT ~~POZNAŃ~~ GNIEZNO
ŚRODOWISKO Nikiel

Nazwisko Godlewicz-Kazmierowska
Imię Stanisława
Pseudonim "Stella"

Żołnierz Armii Krajowej
w jednostce 22 pułk AK Siedlce
przydział plut. łączności

LEGITYMACJA

jest uprawniony do noszenia
Odznaki Organizacyjnej

Nr 19

Szef Sztabu INSPEKTORATU
Komendant INSPEKTORATU
[Signature] *[Signature]*

~~POZNAŃ~~ GNIEZNO 12.07.1990r.



PATENT Nr 15402

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej
potwierdza się, że

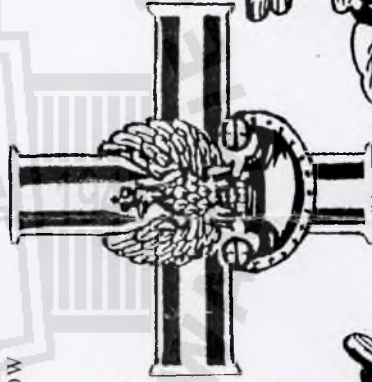
Pani GODLEWICZ Stanisława

w latach walki zbrojnej z najęźdami
z honorem pełniła żołnierską powinność
i uzyskała prawo do zaszczytnego tytułu:

*Weteran Walk o Wolność i Niepodległość
Ojczyzny*

KIEROWNIK
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRERSONOWANYCH

PREZES
RADY MINISTRÓW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



Przyjem

Warszawa, 1999 r.

BOG HONOR CZYNA

PATENT Nr 15402

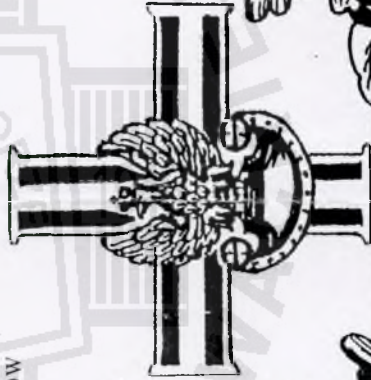
W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej
potwierdza się, że

Pani GODLEWICZ Stanisława

w latach walki zbrojnej z najęźdami
z honorem pełniła żołnierską powinność
i uzyskała prawo do zaszczytnego tytułu:

*Weteran Walk o Wolność i Niepodległość
Ojczyzny*

KIEROWNIK
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH



PREZES
RADY MINISTRÓW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Przyjm

Warszawa, 1999 r.





SIŁY ZBROJNE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

szer.nie podl.ob.sł.wojsk.GODLEWICZ-KAŻMIEROWSKA Stanisława c.Jana r.191

na stopień

PODPORUCZNIKA WOJSKA POLSKIEGO

z dniem 22 sierpnia 2000r.



S Z E F
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego

plk dypl. Włodzisław Hammer

..... 2.10.2000r.
(data)



WOJEWODA WIELKOPOLSKI

I/2-8

Poznań, dnia 21 marca 2001 r.

Z okazji

Dnia Więźnia Politycznego

ZAPRASZAM

Szanowną Panią

na spotkanie Kombatantów

w dniu 4 kwietnia 2001 roku, o godz. 12:00

w sali konferencyjnej

Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu

przy al. Niepodległości 16/18

W czasie uroczystości zostanie wręczony dyplom honorowy
podpisany przez Prezesa Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej

– Jerzego Buzka, potwierdzający nadanie Szanownej Pani

zaszczytnego tytułu

„Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”

Z up. Wojewody Wielkopolskiego
Z-ca Dyrektora Wydziału

Włodzimierz Buzzyński



WOJEWODA WIELKOPOLSKI

I/2-3

Poznań, dnia 21 marca 2001 r.

Z okazji

Dnia Więźnia Politycznego

ZAPRASZAM

Szanowną Panią

na spotkanie Kombatantów
w dniu 4 kwietnia 2001 roku, o godz. 12:00

w sali konferencyjnej

Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu
przy al. Niepodległości 16/18

W czasie uroczystości zostanie wręczony dyplom honorowy
podpisany przez Prezesa Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej
– Jerzego Buzka, potwierdzający nadanie Szanownej Pani
zaszczytnego tytułu

„Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”

Z up. Wojewody Wielkopolskiego
Z-ca Dyrektora Wydziału

Włodzimierz Jurezyński

I/2-10



z okazji

40

ROČZNICY ZWYCIĘSTWA

Kol. Stanisława G O D L E W I C Z - K A Ź M I E R O W S K A

SERDECZNE POZDROWIENIA, WYRAZY SZACUNKU I UZNANIA ZA DUŻY WKŁAD W ZWYCIĘSTWO NAD HITLEROWSKIM FASZYZMEM

ORAZ

ZAANGAŻOWANIE W PRACY SPOŁECZNEJ NASZEJ KOMBATANCKIEJ ORGANIZACJI

składa



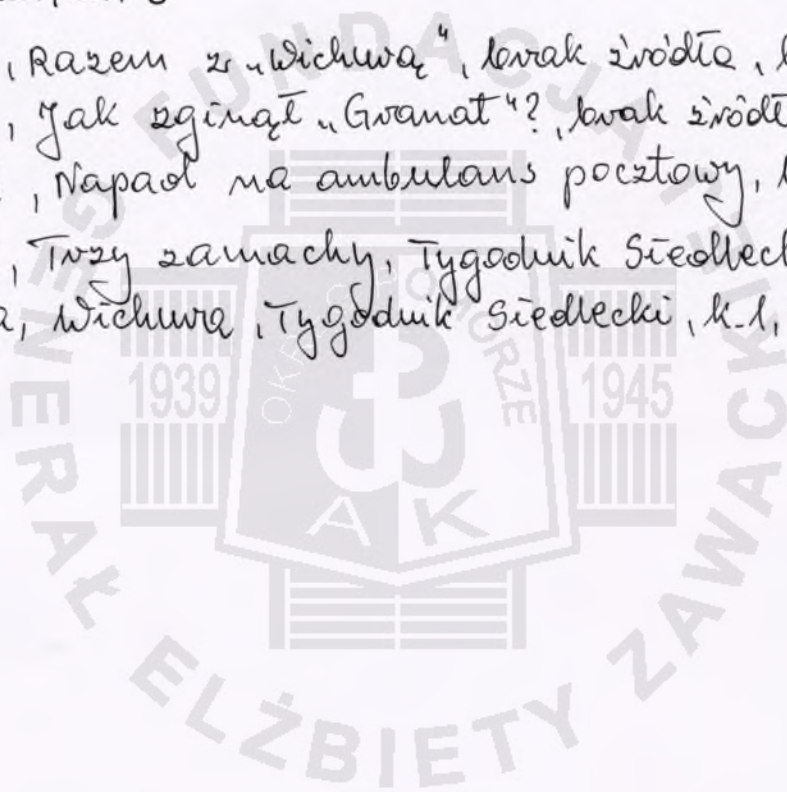
Zarząd Miejski ZBOW i D
GNIEZNO

[Handwritten signatures]

Gniezno, 9 maja 1985r.

II Materiały uzupełniające relacje

- K. Stoziecki, Byliśmy bandytami, Tygodnik Siedlecki 1990/4, k.3, s.1-3
- M. Borowicz, Blizny po UB, Kulisy 1990, k.1, s.4
- H. Nowakowski, Tworzy się mściciele, Kulisy 1997, k.2, s. ~~5~~⁵⁻⁶
- Awansowali do stopnia podporucznika, kwak źródła, k.1, s.7
- J. Gurdzieli, Zwierzenie adiutanta „Wichury”, Tygodnik Siedlecki, k.8, s. ~~8~~⁸⁻¹⁵
- J. Gurdzieli, Sotniowie batalionów Molewzemiowych, Tygodnik Siedlecki, k.1, s.16
- J. Gurdzieli, Razem z „Wichurą”, kwak źródła, k.1, s.17
- J. Gurdzieli, Jak zginął „Gromat”? , kwak źródła, k.1, s.18
- J. Gurdzieli, Napad na ambulans pocztowy, kwak źródła, k.1, s.19
- A. Dmowski, Trzy zamachy, Tygodnik Siedlecki, k.1, s.20
- C. Sobiecka, Wichura, Tygodnik Siedlecki, k.1, s.21



Kilka miesięcy temu na łamach „Tygodnika” opublikowałem artykuł mówiący o losach Heleny W. więzionej we wczesnych latach pięćdziesiątych w lukowskim areszcie za rzekomą antypaństwową działalność. W późniejszych rozmowach z bohaterką wspomnianej publikacji dowiedziałem się, że nie była to jedyna w jej życiu kara za niewinność. Losy Heleny W. (na jej prośbę nadal zachowuję anonimowość) zafascynowały mnie tak bardzo, że postanowiłem dopisać do swego artykułu ciąg dalszy... a właściwie poprzedni, bowiem chciałbym teraz wraz z bohaterką poprzedniego artykułu cofnąć się do roku 1944. Roku widzianego z perspektywy łączniczki AK, działającej na terenie byłego powiatu lukowskiego.

dant wojenny, zwany popularnie „kamandir”. W pamięci ożywały nam słowa wypowiedziane przez sowieckiego dziennikarza Charitona, członka radzieckiej partyzantki słynnego na tym terenie „Serafina”: „Siewodnia my družja — zawtra wragi”.

Żołnierze radziecy wędrowali od chaty do chaty, czasem arogancy i wulgarni, czasem dobrodusznii. Żądali wrzątku i zalewali nim herbatę nieraz nasypaną doskownie do ... nocników. Zapijając się tym „czajem”, gryząc kostki cukru i delektując się miętową pastą do zębów, którą uważali za największy przysmak, rozlaczali wizję życia w Soczi: „gdzie co roku były „zawody lmonów”... W parku, na drogach, areszta gdzie popadło, organizowano wiece w tak obcym nam duchu. Prze-

dworcu kolejowym w Krzywdzie. Właśnie wtedy jako łączniczka miałam się z nim spotkać przed budynkiem dworcowym. Poszłam do Krzywdy. We wsi podeszła do mnie mała dziewczynka wręczając mi kartkę, na której znajdował się tekst „Dworzec otoczony. Józio zabrany. Cofnij się!” Udając spokój okrążyłam więc zabudowania, udając przypadkowego przechodnia i skierowałam się z powrotem do domu.

A co stało się z „CoTo”? Wyemigrował do Szwecji. Do tego kraju trafiła również wspomniana przeze mnie Helena Witrylakowa, żona znanego partyzanta z okolic Lublina Kazimierza Witrylaka.

Zawszad dochodziły mnie słuchy o strasznych samosądach. Wystraszczyło raczej na kogoś podej-

Ze wspomnień łączniczki AK

Byliśmy „bandytami”

Pierwsze dni sierpnia 1944 — Pamiętam to jak dziś... Krótka odprawa partyzancka. Komentant AK rejonu „piątego” — zgrupowania lukowskiego — „Tadensz” osłusza mobilizację. Otrzymujemy rozkaz natychmiastowego wymarszu na pomoc walczącej Warszawie. Zbiórka w pełnym rynsztunku o godzinie 24.00... Ostatnie przygotowania... Z dumą wkładam — jakże twarzową — furazerkę ze srebrnym ozłazkiem. Szyliśmy te furazerki własnoręcznie, pod fachowym kierem pani Heleny Witrylakowej z Burca. Szyliśmy dla siebie i dla chłopców. Na nogach mam brązowe buty z cholewami, osobiście przeze mnie „arekwirowane” w jednym z okolicznych majątków. Resztę umundurowania stanowią bryczesy, bluza, krótka broń i wypohany plecak. Niesiemy także dużą ilość środków sanitarnych. Udzielanie pierwszej pomocy to przecież powinność każdej dziewczyny. Nie na darmo chodziliśmy nocami do Burca na kursy sanitarne prowadzone przez doktora Musiatowicza... Dlaczego się usmiecham? Przypominałam sobie, jak uczył nas na przykład robienia zastrzyków...

O północy zesłaliśmy się w komplecie. Godziny wyczekiwania... Czas dłuży się niesamowicie. Pali nas gorączka marszu i walki. Przecież mamy pomóc krwawiącej stolicy... Nie myślało się wtedy o niepokojach rodzin, o czekających nas trudach... Tego, co działo się w sercach, tej chęci czynu nie da się teraz opowiedzieć. I ... Nie da się opisać szoku, jakiego doznałismy wszyscy, kiedy nagle zamiast rozkazu: „Marsz” — przyszedł rozkaz „Rozceść się”. Nikt nie rozumiał tej decyzji. Uważaliśmy, że to po prostu przesunięcie terminu, że jutro... za dwa dni... Niestety... Do dziś zadaje sobie pytanie „dlaczego”? I do dziś nie znam prawdziwej odpowiedzi.

Potem? Potem wypadki potoczyły się jak lawina, zo-

mówienia w języku rosyjskim przepłatały się z rozporządzeniami nowych władz uznawanych przez nas za pseudopolskie. Daleko idące obietnice dla chłopów, przekleństwa na „pamiętników”, dużo słów o przyjaźni i wspólnie przelanej krwi, apele o wstępowanie do ludowego wojska i przestrogi przed „bandytami”. Bandytami byliśmy właśnie my — „akowcy”. Dawano nam obietnice: „Jeżeli zdacie broń i uświadnicie się, wasze winy zostaną zmeżane”. Winy ... Co za perfidia!

Tymczasem odezwała się wręczcie nasza „góra”. „Nie ujawniać się! Obowiązuje bardzo głęboka konspiracja”. W jej ramach została zorganizowana w Sedliskach, w gospodarstwie leżącym na uboczu wsi, tajna drukarnia. I znów nocne wędrowki. Składaliśmy teksty „ku pokrzepieniu serc” ułóżki przeciw ujawnianiu się... Pisaliśmy, że walka jeszcze się nie skończyła, że „karta się odwróci”, że rząd londyński zadziała, że Zachód nie dopuści do władzy komuny w Polsce. Naprawdę głęboko w to wierzyliśmy.

Okazało się jednak, że nie wszyscy. W naszych szeregach narcał się rozłam. Część pozostała wierna dawnym ideałom, część natomiast zdawała broń, ujawniała się, szła do ludowego wojska. To jeszcze było zrozumiałe, gorzej gdy trafiały się wypadki zdrady i wstępowania do tzw. resortu, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. Z przerażeniem dowiedziałem się, że do owego „resortu” wstąpił kolega O. — sanitariusz naszego oddziału. Dzięki temu „koledze” bardzo dużo przeciérpiałam, ale to trochę dalsze dzieje...

W rezultacie owych rozłamów (jakże słaby charakter mają nieraz ludzie) zostaliśmy zmuszeni do zawieszenia tajnej działalności, w każdym razie na pewien czas. Rejon działalności AK łączny się. Nasza „piątka” miała być wielo- na do lukowskiej „jedynki”, tak się jednak nie stało. Ogólnie może powiedzieć, że w organizacji

rzemie, że wysługuje się komunizmem i ... Nie wiem, czy będę tu ścisła w danych czasowych, przecież to już tyle lat minęło, ale chyba pod koniec 1944, czy też w początkach 1945 doszła nas wieść o zabicciu przez swoich „Koraba” z rejonu „jedynki”. „Korab” działał w najbliższym otoczeniu „Ostoi”. Był synem nauczycielki. Nazywał się Tadeusz Miatkowski. Do dziś stoi mi w oczach jego wysoka postać i twarz o lekko skośnawych oczach. W myślach nazywałam go „Kmieć”. Pamiętam moje pierwsze z nim spotkanie. Przyjechał do nas ze swym oddziałem. Zasiadł do pianina i zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła” ... A tu obok stacjonowali czasowo żandarmi niemieccy. Młodsze dziewczyny potrzyłyśmy na „Koraba” jak na pół ba... I nagle ... Kilka lat ... Taka wiadomość. „Nasz” Korab — nie żyje. Posadzony podobno o zdradę, do dziś dnia nie wiemy, słusznie czy nie, został zastrzelony ręką współtowarzysza... Ja nigdy nie przyjechałam do wiadomości, że Tadek mógł się czymkolwiek spamięć. Do dziś na przekór wszystkim złym głosom otaczam go miłym rycerskością... Na jego grobie na cmentarzu lukowskim składam co roku kwiaty i zapalam lampkę ... Był i pozostanie dla mnie bohaterem.

Wybiegłam myślami w przyszłość... Ale w moim opowiadaniu znów trzeba cofnąć się do roku 1944, najdziwniejszej przeszłości. Późną jesienią na rozkaz komentanta naszej „piątki” zakopałam w ogródku domu, gdzie mieszkalam, umieszczone w butelce ważne dokumenty naszego oddziału, m. in. spis „zaprzysiężonych”. Obok butelki zakopałam swą broń. Robiłam to w nocy, świadoma ryzyka, bo przecież na parterze budynku mieściła się kwatery radzieckiego komentanta wojennego, a okna jego pokoju wychodziły wprost na ogródek. „Kamandir” nazywał się Iwan Darmienok. Był to typowy kozak doński, pełen dzikich porzywów i wewnętrznych sprzeczności. Czulał do niego dziwną, nawet jak na „akowca” niena- wiść. Balam się go. Na moje niestęście zaś zapalał on do mnie żywiołowym uczuciem. Rzecznił mi

Byliśmy „bandytami”

Pierwsze dni sierpnia 1944 — Pamiętam to jak dziś... Krótka odprawa partyzancka. Komendant AK rejonu „piątego” — zgrupowania łukowskiego — „Tadeusz” osłusza mobilizację. Otrzymujemy rozkaz natychmiastowego wymarszu na pomoc walczącej Warszawie. Zbiórka w pełnym rynsztunku o godzinie 24.00... Ostatnie przygotowania... Z dumą wkładam — jakże twarzową — furazerkę ze srebrnym orzełkiem. Szyliśmy te furazerki własnoręcznie, pod fachowym okiem pani Heleny Witrylakowej z Burca. Szyliśmy dla siebie i dla chłopców. Na nogach mam brązowe buty z cholewami, osobiście przeze mnie „zarekwirowane” w jednym z okolicznych majątków. Resztę umundurowania stanowią brzozy, bluza, krótka brzoń i wypchany plecak. Niesiemy także dużą ilość środków sanitarnych. Udzielanie pierwszej pomocy to przecież powinność każdej dziewczyny. Nie na darmo chodziliśmy nocami do Burca na kursy sanitarne prowadzone przez doktora Musiatowicza... Dlaczego się uśmiecham? Przypomniałam sobie, jak uczył nas na przykład robienia zastrzyków...

O północy zesłaliśmy się w komplecie. Godziny wyczekiwania... Czas dłuży się niesamowicie. Pałi nas gorączka marszu i walki. Przecież mamy pomóc krwawiącej stolicy... Nie myślało się wtedy o niepokoju rodzin, o czekających nas trudach... Tego, co działo się w sercach, tej chęci czynu nie da się teraz opowiedzieć. I ... Nie da się opisać szoku, jakiego doznaliśmy wszyscy, kiedy nagle zamiast rozkazu: „Marsz” — przyszedł rozkaz „Rozejść się”. Nikt nie rozumiał tej decyzji. Uważaliśmy, że to po prostu przesunięcie terminu, że jutro... za dwa dni... Niestety... Do dziś zadaje sobie pytanie „dlaczego”? I do dziś nie znam prawdziwej odpowiedzi.

Potem? Potem wypadki potoczyły się jak lawina, zostawiając nas, szeregowych „akowców” niejako z boku wydarzeń, osaczając coraz bardziej ponurymi dla nas wieściami. Z bardzo mieszanymi uczuciami patrzyliśmy na „biało-czerwoną” i „czerwoną” powiewające na budynkach państwowych. Wolność czy nowa walka? Na wsiach moc obcych nam mundurów. A na nich... Zamiast „hackenkreuzów” — czerwone gwiazdy. Najwyższą władzą stał się radziecki kome-

mówienia w języku rosyjskim przeplatały się z rozporządzeniami nowych władz uznawanych przez nas za pseudopolskie. Daleko idące obietnice dla „chłopów, przekleństwa na „pamieszczyków”, dużo słów o przyjaźni i wspólnie przelanej krwi, apele o wstępowanie do ludowego wojska i przestrogi przed „bandytami”. Bandytami byliśmy właśnie my — „akowcy”. Dawano nam obietnice: „Jeżeli zdacie broń i ujawnicie się, wasze winy zostaną zmaszane”. Winy ... Co za perfidia!

Tymczasem odezwała się wrzeczcie nasza „góra”. „Nie ujawniać się! Obowiązują bardzo głęboka konspiracja”. W jej ramach została zorganizowana w Śiedliszkach, w gospodarstwie leżącym na uboczu wsi, tajna drukarnia. I znów nocne wędrówki. Składaliśmy teksty „ku pokrzepieniu serc” ulotki przeciw ujawnianiu się. Pisaliśmy, że walka jeszcze się nie skończyła, że „karta się odwróci”, że rząd londyński zadziała, że Zachód nie dopuści do władzy komuny w Polsce. Naprawdę głęboko w to wierzyliśmy.

Okazało się jednak, że nie wszyscy. W naszych szeregach zaczął się rozłam. Część pozostała wierna dawnym ideałom, część natomiast zdawała broń, ujawniała się, szła do ludowego wojska. To jeszcze było zrozumiałe, gorzej gdy trafiały się wypadki zdrady i wstępowania do tzw. resortu, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. Z przerażeniem dowiedziałam się, że do owego „resortu” wstąpił kolega O. — sanitariusz naszego oddziału. Dzięki temu „koledze” bardzo dużo przeciwierałam, ale to trochę dalsze dzieje...

W rezultacie owych rozłamów (jakże słaby charakter mają nieraz ludzie) zostaliśmy zmuszeni do zawieszenia tajnej działalności, w każdym razie na pewien czas. Rejony działania AK łączyły się. Nasza „piątka” miała być wcielona do łukowskiej „jedynki”, tak się jednak nie stało. Ogólnie mogę powiedzieć, że w organizacji zapanował chaos i dezorientacja. Co prawda jeszcze we wrześniu mocno stało na nogach ugrupowanie w Woli Ossowińskiej na czele z „CoTo” (Kaczorowskim) jeszcze trzymał się „Czarny Józio”, jeszcze odzywał się „Orzeł” nauczyciel spod Lwowa — Kazimierz Piątkowski działający na terenie Bystrzycy i Śiedlisz... Były to jednak ich ostatnie podrygi. Nikt chyba nie zna losów „Józia”, którego „resort” osaczył na

rzeczenie, że wysługuje się komunizmowi i ... Nie wiem, czy będę tu ścisła w danych czasowych, przecież to już tyle lat minęło, ale chyba pod koniec 1944, czy też w początkach 1945 doszła nas wieść o zabicciu przez swoich „Koraba” z rejonu „jedynki”. „Korab” działał w najbliższym otoczeniu „Ostoja”. Był synem nauczycielki. Nazywał się Tadeusz Miatkowski. Do dziś stoi mi w oczach jego wysoka postać i twarz o lekko skośnawych oczach. W muślach nazywałam go „Kmicie”. Pamiętam moje pierwsze z nim spotkanie. Przyjechał do nas ze swym oddziałem. Zasiadł do pianina i zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła” ... A tu obok stacjonowali czasowo żandarmi niemieccy. My młodsze dziewczyny przetrwałyśmy na „Koraba” jak na pół galei. I nagle ... Kilka lat ... Taką wiadomość „Nasz” Korab — nie żrąc Potadzony podobno o zdradzie, do dziś dnia nie wiem: słusznie czy nie, został zastrzelony, reba współtowarzysza... Ja nigdy nie przyjechałam do wiadomości, że Tadek mógł się czymkolwiek spłamić. Do dziś na przekór wszystkim złym głosom otaczam go miłym rycerskością... Na jego grobie na cmentarzu łukowskim składam co roku kwiaty i zapalam lampkę ... Był i pozostanie dla mnie bohaterem.

Wybiegłam myślami w przyszłość... Ale w moim opowiadaniu znów trzeba cofnąć się do roku 1944, najdziwniejszej przeszłości. Późną jesienią na rozkaz komendanta naszej „piątki” zakopałam w ogródku domku, gdzie mieszkalam, umieszczone w butelce ważne dokumenty naszego oddziału, m. in. spis „zaprzysiężonych”. Obok butelki zakopałam swą broń. Robiłam to w nocy, świadoma ryzyka, bo przecież na parterze budynku mieściła się kwatera radzieckiego komendanta wojennego, a okna jego pokoju wychodziły wprost na ogródek. „Kamandir” nazywał się Iwan Darmienok. Był to typowy kozak doński, pełen dzikich porywów i wewnętrznych sprzeczności. Czulał do niego dziwną, nawet jak na „akowca” nienawiść. Balam się go. Na moje nieszczeście zaś zapalał on do mnie żywiołowym uczuciem. Rzucił mi pod nogi nareczka kwiatów i przesywał gorącym spojrzeniem. Uciekałam od niego i plułam jawnie na jego kwiaty. Byłam oburzona, że ten „ruski dzikus” śmiało zwrócić na mnie uwagę, na Polkę, na żołnierza AK! Najbliższe dni miały okazać, jak gorzka była ta uwaga...

O NKWD, o miłości kamandira, o zdrajcach z AK, o strzałach zza węgla — w następnym odcinku.
KRZYSZTOF STRZELDCKI

poprzednim artykule z powyższego cyklu przedstawieniem po-
czątek wspomnianie łaciatki Armii Krajowej — Heleny W.
Wspomniała te nękawskie epizody z działalnoscą AK rejonu
na piątko b. powiatu lubowskiego w pierwszych dniach i tygod-
niach po wyzwoleniu. Dziś ciąg dalszy, mający charakter bardziej
osobisty, niemniej nierozdzielnie związany z historią naszego regionu.

Zapadał późny jesienny wieczór 1944. Matka szykowała kolację, ja
— nie mogłam znaleźć sobie miejsca, byłam dzielnie podenerwowa-
na. Rozpamiętywałam ostatnie wypadki... „Nasi” zabili w lesie „sar-
nowskim” kolaboranta — Zygmunta K. Podobno ten niemiecki sluga-
nawązał współpracę z władzami sowieckimi i zdołał im przekazać
ważne dokumenty dotyczące AK. Skąd ja zdobył? Właściwie nie
wiedziałem. Faktem było jednak, że w rełach K. znalazł się du-
plikat relisstru partyzantów i لذا dzień spodziewano się wielkich
arrestowań. Mówił nam o tym „Gros”. Mam wrażenie, że był jed-
nym z wykonujących egzekucje...

Tego wieczoru rozmawiałam również o przykrym sąsiedztwie. Prze-
ciez na dole kwatrował wspomniany przeze mnie sowiecki „kaman-
dri” — Iwan Darmienok. Zdawało mi się, że ostatnio podejrzliwie na
mnie patrzył. W pewnej chwili dignełam. Usłyszałam na schodach mro-
ne kroki i głośne stukanie do drzwi. „Po mleko?” — pomyślałam. Na
szczęście za drzwiami zobaczyłam „Orla” — Kazimierza Piatkow-
skiego. Powiedział, że musi u nas przeczocować, bo rano szykuje się
akcja przeciw ochotnikom do wojska ludowego. Ja i matka zgedzi-
lyszy się bez wahania. „Orzeł” sadł przy stole, obok siebie położył
brzoń. Wziąłam tę broń do ręki, ale Kazek chciał mi ją odebrać. Zaczę-
łam się z nim droczyć, ot taka mała, żartobliwa — w formie flirtu
szarmelantka i nagle... huk strzału. Nie wiem, nie umiałam sobie uprzy-
tomić, jak to się stało. Kula przebiła sufit. Skamieniałyśmy. Za chwili-
kę głosy łomota na schodach do pokoju wpadł „kamanndri” z dwoma
„bojcowi”. „Wy etaheli mienia ubije!” — krzyknął. „Bojcy” natych-
miast wyprowadził „Orla”, a mleko komanndant oznajmił, że rano będą
„przed wszystkim narodem!” rozstrzelana dla przykładu. Na razie zastoso-
wał areszt domowy, stawiając żołnierzy przed drzwiami, za oknem.

Oparto mleko dzielne uczucie. Jak na tasznie filmowej prze-
sunęły się przed oczyma barwne obrazy całego życia. Mo-
menty blaine i ważne. Tworzył męso zagnionego w 1939 r. ojca
i ostatnie przedwojenne wyłazce w górach. A potem... Odepłenie
i opolność, z której nie wyrwało mleko nawet nagle wezwane do
„kamanndra”. Byłam pewna, że wróda mleko na rozstrzelanie nie cze-
kała nawet ranka. Późnelam się oczyma z matką, omiedlam, zdawa-
ło się już ostatnim spojrzeniem, mieszkanie.

Kiedy wprowadzono mleko do komanndanta, zobaczyłam, że Darmie-
nok siedzi rozparty w fotelu, przed nim na stole otwarta butelka, na
półmisku kawalki kiełbasy i pokruszonych ciastek. Kazano mi usiąść.
Chwilla milczenia. Połem pytanie, a właściwie stwierdzenie „Choć-
by

nie mleko zabie”. Miałam zamiar mówić, ale nagle... zacząłam tłum-
czyć. Poniosta mleko fantazja. „Ten mędzynarz przyszedł nie do mleka,
a do pana. Chciał znieć broń, wławnie się. Nie zaszal pana i chciał po-
czekać. Zaczęłam się bawić jego bronią, nie znalazł się na niej abso-
lutnie. Owo mędzynarz był w tym czasie w drugim pokoju. Rozmawiał
z moją matką. Nie wiem, jak i kiedy wystąpił... To wszystko moja
wina...”

Komanndant przerwał nagle te wywody rubasznym śmiechem. Po-
łem zapytał: „Etoł partizan eto twój ubagor?” (narzeczony). Odpo-
wiedziałam, że nie. „A ty należała w AK?” „Nie”. „A my wiemy, że
tak”. Cały czas, szłam w zaparę, i właściwie nie nie rozumiałam, bo
„kamanndri” był dzielnie spokojny. Nie krzywał, nie groził, nie wspo-
minal o rozstrzelaniu. Zorientowałam się jeszcze bardziej, kiedy na-
lał do „męszarówek” spłytysu pod jak znowa falbankę i wełnal
mi do ręki rozkazujący: „Piji! Jak prawde mówisz, tak wypłiesz”. Mo-
ment wahania... wyplamiał nieomal jednym haustem. Zapaliło w
gardle, całkowicie brnk tętno, oczy wychodzą z orbit... Zaczęłam garkie-
mi chwycić kiełbasę i cisnąłam. Obrzydliswo...

„Byliśmy bandytami (cz. 2)

O dawno nie poczulałam żadnych skutków alkoholu. Widocznie nerwy
i niebezpieczne napędy znawelowały działanie spłytysu. I nagle... No-
wy szok. „Kamanndri” kięła i moich róg... Wyrzucił miłość. Kocha-
mle, więc muszę zostać jeszcze żoną. Jutro będą nasze zawieczny. Da-
mienok oznajmił to zdecydowanie w tonem i kazal swoim „bojcowi” ed-
prowadzić mleko do matki.

O bezdnie jutro! Rozstrzelanie czy zawieczny? Byłam przyczo-
wana na to pierwsze. Matka nie mogła uwierzyć, że wywołam.
Nagle... O czyby coś zndrowiono. Uchylam okno. Za otwileg
kios wrzucił do pokoju kamny gwintelny w karteczkę. Przeczytałam:
„Kob eo chcecz, ale „Orzeł” musi być woyny. Zadna ofiarna nie za
wielka. Rozkaz”. Podpisał „Gros”. Co oni mieli na myśli, piszacie o ofie-
rze? Jasne, że mleko poświęcał, ale co robić?

Kartkę spaliłam i śladem bezwzględnie patrzeć w płomienie w prze-
cisku. Matka płakała. Za oknem szarzał świt. Wtedy właśnie drzwi
otworzyły się i stanął w nich Darmienok z bukietem kwiatów. Na ten
widok się rozplakalam. Dlaczego płaczę — pytał „kamanndri”. Przeszedł
mleko nie rozstrzela, ożeni się z mną, po wojnie wyjedziemy do jego
ojczyzny. Godów dla mleka zrobił wszystko, żebyśmy tylko nła płakała.

Wszystko? — epytałam. A więc dobrze, powiem
Mam wyrozumiał sumienia, że przeze mleko zginę-
łym przeswadeczeniem winy nigdy nie będę mędzynarz
„Czo zdziałacz?” — zapytał dzielnie bezradnie kocz-
„Zwolnij tego mędzynarę”.
„Kamanndri” zatrząsł się: „Eto przislupienije”. Ali-
ko moje kochasz, to...

„Ja was lubiu” — odpowiedziałam z dalka detern
się. „Partizan bułiet zdies za dnia czas i nado mu i
Rzeczywiście równo po godzinie zjawil się „Orzeł”.
pospiesznie z domu. W samą porę, bo za chwile zjawil
Był zdenerwowany, ale kazal mi się szykować, bo wie-
rezyrowa. Nie wiem, w jaki sposób ja i moja mat-
wieczoru. „Kamanndri” przez cały dzień się nie pokas-
myślałam, że to wszystko koszmarny sen. Jednak wiek-
czyły, na nim konserwy, pieczony drob i... kawior. I
Na uczie przyprowadził mleko i mamę „bojcy”. Zaczę-
czna uczie przy akompaniamencie gramofonu grającej
melodie „Czubczyk, Czubczyk kuczerawy”. Po pier-
„narzeczony” opowiedział, jak zabił swoją żonę, bo
wienna. Przedtem jednak upił się na umór, bo na trzej
bjak. Siedziałam jak martwa.

Pod koniec przyjęcia Darmienok wziął mleko za rękę
do swego pokoju. „Teraz czeka mleko noc przedślubna!”
O dawno „kamanndri” nie rzucił się na mleko, ale klecz-
rzed: „Ja was Iwan lubiu”. Osmielona tym, że mleko
częłam mu łagodnie tłumaczyć, że tak, ja go „lubiu
polsku „lubieć” znaczy co innego. Lubieć go, bo jest
lecz go nie kocham. Popatrzył dziko, uderzył mleko w
za kart, rzucił na podłogę i z okropnym przekle-
czył przez otwartą okno.

Nie chciałam wierzyć. Leżałam jak martwa, nie
musząc. Po pewnym czasie do pokoju wezwała matka i
milenok pobiegł do rodziny Melochów i zajął do
i mleko zabie. Dali mu tyle alkoholu, że zwałł się jak
Półk jest nieprzytomny, muszę uciekać. Matka szybko
płock (ten z którym miałam ikę „na Warszawę”), a
ja śladem na przygotowaną przez państwa Melochów
i tak rozpoczynał się mój żywot tułaczy. Kto mleko przy-
skierował konie w stronę Adamowa...

113
Wszystko? — spytałam. A więc dobrze, powiem dlaczego płaczę. Mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie zginie niewinny człowiek. Z tym przeświadczeniem winy nigdy nie będę mogła być szczęśliwa.

„Czto zdzielać?” — zapytał dziwnie bezradnie kozak.

„Zwolnij tego mężczyznę”.

„Kamandir” zatrząsł się: „Eto pristuplenije”. Ale jeśli powiesz, że mnie kochasz, to...

„Ja was lublu” — odpowiedziałam z dziką determinacją. Poderwał się. „Partizan budiet zdiest za adin czas i nado mu udirat” (uciekać).

Rzeczywiście równo po godzinie zjawił się „Orzeł”. Wyprawiam go pospiesznie z domu. W samą porę, bo za chwilę zjawił się Darmienok. Był zdenerwowany, ale kazał mi się szykować, bo wieczorem ucztą zaręczynowa. Nie wiem, w jaki sposób ja i moja matka doczekaliśmy wieczoru. „Kamandir” przez cały dzień się nie pokazywał. Chwilami myślałam, że to wszystko koszmarny sen. Jednak wieczorem... Stół nakryty, na nim konserwy, pieczony drób i... kawior. Nawet czekolada. Na ucztę przyprowadzili mnie i mamę „bojcy”. Zaczęła się makabryczna ucztą przy akompaniamencie gramofonu grającego ciągle tę samą melodię „Czubczyk, Czubczyk kuczerawy”. Po pierwszym kieliszku, „narzeczony” opowiedział, jak zabił swoją żonę, bo była mu niewierna. Przedtem jednak upił się na umór, bo na trzeźwo nie umie zabić. Siedziałam jak martwa.

Pod koniec przyjęcia Darmienok wziął mnie za rękę i poprowadził do swego pokoju. „Teraz czeka mnie noc przedślubna” — pomyślałam. O dziwo „kamandir” nie rzucił się na mnie, ale klęcząc kazał powtarzać: „Ja was Iwan lubliu”. Ośmielona tym, że mnie nie napastuje, zaczęłam mu łagodnie tłumaczyć, że tak, ja go „lubliu”, ale u nas, po polsku „lubić” znaczy co innego. Lubię go, bo jest dla mnie dobry, lecz go nie kocham. Popatrzył dziko, uderzył mnie w twarz, chwycił za kark, rzucił na podłogę i z okropnymi przekleństwami wyskoczył przez otwarte okno.

Nie chciałam wierzyć. Leżałam jak martwa, nie mogąc się poruszać. Po pewnym czasie do pokoju weszła matka mówiąc, że Darmienok pobiegł do rodziny Melochów i zażądał wódki, by upić się i mnie zabić. Dał mu tyle alkoholu, że zwałił się jak kłoda pod ławę. Póki jest nieprzytomny, muszę uciekać. Matka szybko spakowała mój plecak (ten z którym miałam iść „na Warszawę”), sama ukryła się, ja śladłam na przygotowaną przez państwa Melochów furmankę i... I tak rozpoczął się mój żywot tułaczy. Kto mnie przyjmie... Furman skierował konie w stronę Adamowa...

Dalszy ciąg nastąpi

KRZYSZTOF STRZELECKI

STR. 5

Dziś przedstawiamy trzeci — ostatni odcinek wspomnień Heleny W., łączniczki AK z byłego powiatu łukowskiego.

Wspomnienia te ukazują lata 1944 i 1945, lata, które nieraz bardzo dziwnie kierowały losami ludzkimi.

„Słowo — ukrywać się — nieświe w sobie niepewność, zagrożenie, strach... Tych uczuć doznałam w całej pełni, uciekając przed przesładowującym mnie „kamandirem”. Jechało się nie „do kogoś”, tylko „gdzieś”, nie było się oczekiwanym. Przeciwnie, stanowiło się zło konieczne. Zdałam sobie z tego sprawę stukając do drzwi kilku znanych sobie domów. Ludzie dowiedziawszy się, co mnie sprowadza — wpadali w popłoch. tłumaczono mi, że w pobliskiej aptece Darmienok jest stałym gościem. Przyjeżdża po lekarstwa, bo choruje wenerycznie. Pomyślałam wtedy: Czyżby dlatego był wobec mnie tak wstrętnieśliwy? I druga myśl: Boże, czego ja uniknęłam... Tak się jednak zawsze jakoś składało, że moje młode przecież jeszcze życie obfitowało w nieszcześcia, w których zawsze miałam trochę szczęścia. Paradoks! Nie, to były fakty.

Ufna w to swoje szczęście stanęłam przed nadleśnictwem w Gułowie. Stanęłam — wszłam i... zostałam tu na całych pięć miesięcy. Państwo Geltnerowie otoczyli mnie serdeczną opieką. Atmosfera domu była cudowna. Nigdy nie zapomnę owych jesiennych i zimowych wieczorów, kiedy wszyscy domownicy gromadzili się przy kominku. Ciekawe dyskusje, wesole a nieraz tragiczne opowieści. Pani Geltnerowa, typowa polska matrona w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, zostawiła przy kominku małe uroczyste stoliczki leśnymi smakolymi. Siadała potem przy pianinie i grała... Wsłuchani w muzykę, zapatrzeni w płomienie, przenosiliśmy się jakby do innego życia. Nierealnego, pięknego.

Niestety, to prawdziwe życie dawało często znać o sobie. Byłam wstrząśnięta, gdy doszła do leśniczówki wieść o tragicznej śmierci „Tadeusza”. Miał właśnie wyjeżdżać z naszych terenów. Przed wyjazdem jednak na prośbę swojej narzeczonej, a mojej bliskiej koleżanki — Lali, urządził pożegnalne imieniny w szkole w Hermanowie. Byli tam niemal wszyscy „nasi”. Na pewno i ja brałabym udział, gdybym była na miejscu. W trakcie przyjęcia partyzanci dostali „cynek” o szykującej się obławie. Niestety, „cynek” przyszedł za późno. Nim zdążyli wszystko zlikwidować szkoła była otoczona przez „resort” i NKWD. Niektórym w ostatniej chwili udało się uciec. „Tadeusz” nie zdążył. Zabito go strzałem w plecy. Część biesiadników została aresztowana. Była wśród nich narzeczoneja „Tadeusza”. Nie wiedziała jeszcze wtedy nic o jego śmierci. Wydawało jej się, że uciekł.

Tadeusz” miał wtedy około 24 lat. Pochodził gdzieś z okolic Warszawy. Był pierwszym partyzantem, którego poznałam już w 1941 r. Potem właśnie u niego składałam przysięgę. Wysoki, bardzo przystojny blondyn. Przyjeżdżał do nas z Burca, przeważnie konno. Jego postać zdawała się z koniem wręcz zrośniętą. Kwaterował jak wspominałam, w Burcu u rodziny

tylko jedna kobieta — ja. Rano sformowano z nas kolumnę i obstawionych gęsto przez żołnierzy sowieckich, popędzono w stronę Łukowa. Ta droga wydawała się być bez końca. Szturchnęłam, zimno, deszcz. Jakoś wytrzymałam.

Nowym przeznaczeniem okazały się Szezygły Górne. Mężczyzn ułokowano w ziemiankach na kartofle, mnie umieszczono w jakimś kurniku, koło którego posta-

tki, która była Polką. Ten „amulet” noszony na sercu uratował go od śmierci. A więc on teraz mnie — Polce — pomoże. Za kilka dni słowa dotrzymał. Byłam wolna.

Tylko ja. Moi współtowarzysze powędrowali na Sybir. Wróciłam do domu. I choć przez dłuższy czas byłam traktowana przez władze jak „czarna owca”, a raczej „czarna reakcja”, zaczęłam względnie normalny żywot. Mój udział w konspiracji był już niemożliwy. Znajdowałam się bowiem pod „troskliwą” obserwacją. Owcześnie niesz komendant „Sekt” wołał mnie „na razie” do niczego nie angażować. „Na razie” przeciągnęło się na długo... długo...

KRZYSZTOF STRZELECKI

Ze wspomnień łączniczki AK (III)

Byliśmy bandytami

Kaniewskich. Tam właśnie znajdowało się dość liczne zgrupowanie „akowców”. Pamiętam... „Tadeusz” tak pięknie grał na harmonice ustnej. Miał też ciepły, niski głos. Tak lubiliśmy, kiedy na zbiórkach leśnych śpiewał „Bo my chłopcy — Ostójacy...”

Cień śmierci „Tadeusza” przez długi czas towarzyszył naszym kominkowym wieczorom w leśniczówce. Leśniczowie znali przecież „Tadeusza” i bardzo go lubili...

Pod koniec lutego dostałam wiadomość, że mój pobyt w leśniczówce staje się niebezpieczny. „Kamandir” szalał po okolicy, ciągle mnie szukał. Istniały obawy, że mógłby odkryć miejsce mego ukrycia. Chwała Bogu, że mojej matce udało się wyjechać do wyzwolonej już Warszawy. Alce. Zauważyłam że moi gospodarze są już zaniepokojeni przeciągającym się tak długo moim gościem. Na szczęście pomyśleli o mej sytuacji koledzy z oddziału. W początkach marca przyjechał do leśniczówki jeden z partyzantów i oznajmił, że przygotowano dla mnie kwatery w Białej Podlaskiej u „Feika”. W nowej kryjówce spędziłam zaledwie kilka dni, okazało się bowiem, że Darmiecka karnie wysłano na front. Powodem było prawdopodobnie wypuszczenie „Orla”. Wróciłam więc do domu prawie równocześnie z matką. Okazało się że nasze mieszkanie już zlikwidowano. Trzeba było urządzać się na nowo.

Spokój nie trwał zresztą długo. W parę tygodni po powrocie zostałam aresztowana przez funkcjonariuszy „resortu”. Był wśród nich dawny kolega z partyzantki, sanitariusz naszego oddziału. Właśnie on traktował mnie najgorzej. Bił, kopał... Za co? Chyba chciał w ten sposób zmasać „akowską” przeszłość. Po trzech dniach spędzonych w areszcie zostałam wypuszczona... a w nocy zabrało mnie NKWD. Zresztą nie tylko mnie. Zaczęła się masowa „czystka”. W ciągu jednej nocy aresztowano 40 osób. Samych mężczyzn, wśród nich

wiono wartownika z karabinem. Ow wartownik — żołnierz co pewien czas do mnie zaglądał i — zdawało mi się — że widzę na jego twarzy współczucie. Byłam zziębnięta i głodna. Żeby się trochę ogrzać, wszłam na małą drabinkę opartą o ścianę i skuliłam się na ostatnim szczeblu. Nagle zairzał mój strażnik. Rozejrzał się bezradnie, przerażony krzyknął „Hej Bohu — udzierała!” Miał tak zrozpaczona mnie, że mimo woli się roześmiałam. Spojrzał i westchnął z ulgą „Śława Bohu!” Potem wyjął z kieszeni kawałek czekolady i podał mi. Wzięłam. Tak bardzo chciało się jeść...

Na noc przeniesiono mnie do ziemianki. Byłam szczęśliwa, że jestem wśród swoich. Dostaliśmy do jedzenia trochę zimnych klusek tak twardych, że można było chyba nimi gwoździe wbijać. Na deser „skrety” — machorka w galercie. Koledzy palili — skusiłam się i ja. Po takim „papierosie” była oszołomiona, zupełnie jak ni-jana, ale jeść się nie chciało. Tak rozpoczął się mój nałóg...

W nocy zaczęto mnie wzywać na przesłuchania. Chodziło oczywiście o AK. I znów zdarzył się mój przysłowiowy łut szczęścia. Przesłuchujący mnie porucznik NKWD, zachowujący się nawiasem mówiąc bardzo kulturalnie, w pewnym momencie spojrzał na mnie mówiąc „Ot rebonok, aż żałość”. Wyglądałam wówczas bardzo młodo i widocznie autentycznie zrobiło mu się żal... Zamiast do ziemianki, zostałam odprowadzona do chaty sołtysa. gozie na kuirze przygotowano mi posłanie. Co za rozkosz... Sołtysowie, nie pamiętam dobrze ich nazwiska, chyba Kożuchowscy, byli dla mnie bardzo dobrzy...

Kolejnej nocy — znów przesłuchanie. Ten sam porucznik. W pewnym momencie „enkawudzista” wyjął z kieszeni munduru jakieś zawiniątko. Rozpakował i podał mi jego zawartość na dłoni. Spojrzałam zaciekawiona. Był to medalik Matki Boskiej Ostrobramskiej. „Czy ty to znasz?” — padło pytanie. Oczywiście potwierdziłam. Ow porucznik powiedział wtedy, że medalik dostał od ma-

870

Przebiegiem z listem

Kulisy kulisy kulisy

Gołębie włosy i - jak się można zorientować po dłuższej gawędzie - gołębie serce. Filigranowa postać, pogoda ducha nastolatki. Aż się wierzyć nie chce, że we wspomnieniach tej sędziwej kobiety zakotwiczyło tyle ciężkich przeżyć. Ulega w końcu namowom, by się nimi podzielić z Czytelnikami „Przemian”, by odsłonić kulisy postępowania dawnego Urzędu Bezpieczeństwa. Wspomina STANISŁAWA GODLEWICZ - łączniczka Armii Krajowej, emerytowana nauczycielka z Gniezna.

- Dzisiaj, z perspektywy dziesięcioleci, zastanawiam się niejednokrotnie czy więcej zlego zaznałam od Niemców w czasie okupacji, czy już po niej - od swoich. Tak, wiem, to jest przytłaczające w wymowie porównanie, ale powojenne dni i lata pozostawiły w mojej świadomości wielkie blizny.

Zimą 1942 roku rozpoczęłam konspiracyjną działalność. Miałam wówczas 25 lat i mieszkałam na Podlasiu, we wsi Nieciecz, pracując w miejscowej szkole. Złożyłam przysięgę komendantce Hufca ZHP - Adeli Kołodziejczyk i zostałam łączniczką Armii Krajowej na terenie obwodu Sokolów Podlaski. Pod pseudonimem „Stella” roznosiłam prasę konspiracyjną, pocztę i meldunki. Podlegałam bezpośrednio szefowi Oddziału V Łączności Wewnętrznej Sztabu Sokolów Podlaski. W moim mieszkaniu był punkt kontaktowy specjalnej grupy dywersyjnej AK - szefa dywersji majora „Przeboja” oraz dowódcy „Wichury”.

Wiosną 1943 roku wpadłam podczas obławy i łapanek. Trafiałam do aresztu w Sokolowie. Myślałam wówczas, że to już koniec, że Niemcy wywieżą mnie do Treblinki, dokąd szły transporty za transportem. I dzisiaj niewiele wiem, jak zostałam wybawiona z opresji, dowiedziałam się później jedynie, że za sprawą pewnego powstańca wielkopolskiego współpracującego z AK, którego nazwiska nigdy nie poznałam.

Po powrocie do domu nadal działałam w ruchu oporu. Rozpoczął się rok czterdziesty piąty i wydawało się, że kres wojny bliski. I w ogóle całego tego koszmaru. Tymczasem nocą, 6 stycznia aresztował mnie Urząd Bezpieczeństwa. Kazano mi się szybko ubierać, nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. W tej rozklekotanej ciężarówce podróż w mrozie była koszmarem. Gdy rano dotarliśmy do Sokolowa Podlaskiego miałam odmrożone ręce i nos. Było chyba z minus dwadzieścia stopni.

Bez jakichkolwiek wyjaśnień wepchnięto mnie do wilgotnej piwnicy, pozbawionej oświetlenia. W jednym kącie leżało trochę słomy, a w drugim stało wiadro. Mijały kolejne dni i noce, straciłam

Blizny po UB

orientację czasową, później się okazało, że przebywałam tam 42 dni.

Czarna kawa w puszcze po konserwie i trochę chleba na „śniadanie”, wodnista zupa w południe, a wieczory często o pustym żołądku. Nawet wody nie można było wypić do syta, nie mówiąc już o myciu. Proszę sobie wyobrazić: półtora miesiąca bez podstawowej choćby toalety. Początkowo w piwnicy byłam sama, później „dokwaterowano” dwie inne działaczki AK - komendantkę ZHP i uczennicę liceum.

A przesłuchania? Odbывały się przeważnie nocą, często obchodzono się ze mną brutalnie. Do dzisiaj pamiętam siłę ciosów - ubowców, smak krwi po okaleczeniach. Szczegółowe opisy są dla mnie bardzo bolesne i wołę wszystkiego nie odtwarzać. - W każdym razie sama perswazja była natarczywa i upokarzająca, a jej odgłosy zagłuszały granie na fortepianie przez jednego z oprawców. Usiłowano mi wmówić, że chcę obalić rząd i jestem wrogiem Związku Radzieckiego. Żądano bym wymieniła nazwisko mojego dowódcy. Grozono karą śmierci.

O tym, że Warszawę oswobodzono dowiedziałyśmy się od strażników. Ubowcy szaleli z radości. Tego dnia pili do nieprzytomności i zajadali się. Wieczorem rzucono nam nieco kości. Po ciemku zbierałyśmy je z brudnej posadzki i obgryzałyśmy łapczywie jak zwierzęta. Wcale nam nie przeszkadzało, że te ochłapy były oblepione słomą i ziemią. A w przerwach pomiędzy toastami ubowcy bez litości wymierzali razy.

W początku marca Wojskowy Sąd Polowy I Dywizji Kościuszkowskiej wydał wyrok. Za przynależność do Armii Krajowej wymierzono mi 4 lata pozbawienia wolności i po uprawomocnieniu się wyroku zostałam przeniesiona do więzienia w Siedlcach. Przebywałam tam do czasu amnestii dla więźniów politycznych.

28 września 1945 roku wróciłam do Niecieczy i zaczęłam pracować w szkole. Byłam wyczerpana i chora. Musiałam jednak zarobić na utrzymanie swoje i matki-staryszki. Powrót do normalnego

Przebiegiem z lat 1945-1990

5-6

Blizny



orientować
serce. Filig-
nastolatki.
nieniach tej
żkich prze-
ię nimi po-
by odsłonić
Bezpieczeń-
OLEWICZ
wana nau-

zi, zastana-
złego za-
czy już po
wtłaczające
e dni i lata
kie blizny.
nspiracyjną
nieszkałam
c w miejs-
mendantce
i zostałam
ie obwodu
i „Stella”
ę i meldu-
i Oddziału
łów Podla-
ontaktowy
a dywersji
chury”
as obławy
wie. Myś-
e Niemcy
transport
n, jak zo-
niałam się
powstańca
C, którego

n w ruchu
ty i wyda-
alego tego
resztował
się szybko
dzi. W tej
ozie była
Sokolowa
nos. Było

ięto mnie
wietlenia.
w drugim
straciłam

orientację czasową, później się okazało, że przeby-
wałam tam 42 dni.

Czarna kawa w puszcze po konserwie i trochę
chleba na „śniadanie”, wodnista zupa w południe,
a wieczory często o pustym żołądku. Nawet wody
nie można było wypić do syta, nie mówiąc już
o myciu. Proszę sobie wyobrazić: półtora miesiąca
bez podstawowej choćby toalety. Początkowo w pi-
wnicy byłam sama, później „dokwaterowano” dwie
inne działaczki AK - komendantkę ZHP i uczen-
nicę liceum.

A przesłuchania? Odbywały się przeważnie no-
cą, często obchodzono się ze mną brutalnie. Do
dzisiaj pamiętam siłę ciosów - ubowców, smak krwi
po okaleczeniach. Szczegółowe opisy są dla mnie
bardzo bolesne i wolę wszystkiego nie odtwarzać.
- W każdym razie sama perswazja była natarczywa
i upokarzająca, a jej odgłosy zagłuszały granie na
fortepianie przez jednego z oprawców. Usiłowano
mi wmówić, że chcę obalić rząd i jestem wrogiem
Związku Radzieckiego. Żądano bym wymieniła
nazwisko mojego dowódcy. Grożono karą śmierci.

O tym, że Warszawę oswobodzono dowiedziały-
śmy się od strażników. Ubowcy szaleli z radości.
Tego dnia pili do nieprzytomności i zajadali się.
Wieczorem rzucono nam nieco kości. Po ciemku
zbierałyśmy je z brudnej posadzki i obgryzałyśmy
łapczywie jak zwierzęta. Wcale nam nie prze-
szkadzało, że te ochłapy były oblepione słomą
i ziemią. A w przerwach pomiędzy toastami ubow-
cy bez litości wymierzali razy.

W początku marca Wojskowy Sąd Polowy
I Dywizji Kościuszkowskiej wydał wyrok. Za
przynależność do Armii Krajowej wymierzono mi
4 lata pozbawienia wolności i po uprawomocnieniu
się wyroku zostałam przeniesiona do więzienia
w Siedlcach. Przebywałam tam do czasu amnestii
dla więźniów politycznych.

28 września 1945 roku wróciłam do Niecieczy
i zaczęłam pracować w szkole. Byłam wyczerpana
i chora. Musiałam jednak zarobić na utrzymanie
swoje i matki-staruszki. Powrót do normalnego

życia w miejscowości, gdzie tyle przeżyłam, okazał
się niemożliwy. Zdecydowałam się zatem powrócić
do Poznania, gdzie się urodziłam. Tak trafiłam do
Gniezna.

Zostałam zatrudniona w Szkole Podstawowej
numer 4. Władze oświatowe pozytywnie oceniły
moją pracę, poczułam się bezpieczna i szczęśliwa.
Niestety, w 1951 roku, kiedy to chciałam wstąpić
do ZBoWiDu, przyznałam się, że byłam w AK.
Prawie natychmiast zmieniono stosunek do mnie.
Zakazano pracy w harcerstwie, przeniesiono mnie
do innej szkoły - najpierw w Gnieźnie, a w sierpniu
1952 do Izdebnia w ówczesnym powiecie między-
chodzkiem.

Ten kolejny cios życiowy okazał się celny.
Zachorowałam i znalazłam się w szpitalu. Tam też
odebrałam pismo, że od dnia 31 grudnia 1952 roku
nie mogę wykonywać zawodu nauczycielki. Zo-
stałam bez środków do życia. W biurze zatrud-
nienia zaproponowano mi pracę fizyczną w pege-
rze albo na budowie... Później udało mi się zdobyć
posadę kasjerki w sklepie. Wkrótce jednak do
zakładu dotarła informacja z Ministerstwa Spra-
wiedliwości o mojej karalności. Znowu doścignęła
mnie przeszłość. Kilka dni potem personalny wrę-
czył mi zwolnienie. Powodu wszak nie podano, lecz
był dla mnie oczywisty.

Zaczęły mnie prześladować myśli samobójcze.
Mimo że nie należałam do partii, udałam się do
sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w Gnieź-
nie i ostro wyluszczyłam swoje racje, nie miałam
przecież nic do stracenia. Widać miał duże wpływy,
bo cofnięto decyzję i pozwolono mi wrócić do kasy
w sklepie.

Do szkoły natomiast wróciłam dopiero po „od-
wilży” w 1956 roku. I pracowałam w gnieźnieńskiej
czwórce, a potem szła do przejścia na emerytu-
rę.

Unikam wracania wspomnieniami do tamtych
lat. Czasem tylko zadaję sobie pytanie, czym my,
żołnierze AK zasłużyliśmy na taki los? Walczyli-
śmy o wolność ojczyzny i za to odplacono nam
szykanami, poniżeniem.

Cieszę się, że dożyłam czasów, gdy mogę o tych
sprawach mówić nie szeptem. Jestem członkinią
gnieźnieńskiego obwodu Światowego Związku Żo-
łnierzy AK. Wspólnie z kolegami zamierzamy nie
tylko pielęgnować wspomnienia, ale i współuczest-
niczyć - na ile zdrowie i siły pozwolą - w tworzeniu
najnowszej historii ukochanego Gniezna.

Notowała
MARIA BOROWICZ

Po uwięzieniu i wielu szykanach za przynależność do Armii Krajowej jej wojenna łączniczka bliska była popelnienia samobójstwa.

II-5

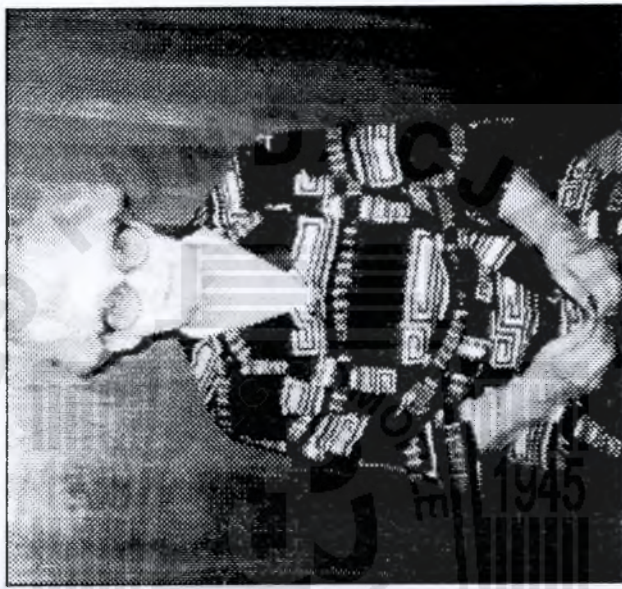
Twardy uścisk mściwych rąk (1)

- Jeśli Bog da, to w grudniu będę obchodziła osiemdziesiąte czwarte urodziny. Mimo tego wieku, pamięć moja nadal pełna jest epizodów z lat, które odcisnęły głębokie piętno na moim życiu. Tyle ciosów, upokorzeń, załamania...

Urodziłam się wprawdzie w Kazimierzu Biskupim niedaleko Słupcy, ale w dorosłe życie wkroczyłam na Lubelszczyźnie. W 1935 roku spełniły się moje marzenia jeszcze z lat nauki w szkole powszechnej, by zostać nauczycielką - jako absolwentka Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Lublinie objęłam posadę w pobliskim Ceranowie. Wykładałam i prowadziłam drużynę harcerską. Po dwóch latach przeniosłam się do Niecieczy koło Siedlec. Tam właśnie zaskoczył mnie

Do pracy konspiracyjnej przystąpiłam w 1942 roku.

W starannie prowadzonym pamiętniku nie tylko szczegółowo rozpisany życiorys, ale i kawał historii. Zdjęcia, opisy, kopie dokumentów. Przygnębiający surowością realizm przelicyt. Zwłaszcza tych wojennych i tych, które może są nawet bolesniejsze, bo związane z krzywdą zadawaną po wojnie przez swoich, rodaków. Do dzisiaj więc szczególnie przyłoczona jest pasmem szykan ze strony Urzędu Bezpieczeństwa sędziwa już gnieźnińska, wojenna łączniczka Armii Krajowej - **STANISŁAWA GODLEWICZ** - **KAZIMIEROWSKA**, mieszkająca obecnie przy ul. Budowlanych 7. Emerytowana nauczycielka wspomnienia "odkurzyła" specjalnie dla czytelników "Kulis".



z ukrytym pod poduszką brata rewolwerem. Wsunęłam go pod pierzynę chorej matki, i ja zostałam aresztowana, którą hitlerowcy zostawili w spokoju. Gdy jednak brata wpędzono do ciężarówki, mama wstała i próbowała go bronić, jednak ją brutalnie odepchnął, któryś zandarm i się wróciła. Ja też starałam się

września znalazłam się w Gnieźnie. Podjęłam pracę w Szkole Podstawowej numer 4 i liczyłam, że wreszcie zamknę ten przykry okres "rozliczeń" z przeszłością. Jakże się jednak myliłam. I tu dosięgły mnie mściwe ręce UB - zabroniono mi pracy w harcerstwie, zmuszając do opuszczenia Gniezna. Lecz i w miejscowości Izdebnie niedaleko Sierakowa zostałam "wytropiona" - otrzymałam pismo z Kuratorium Szkolnego, iż od 31 grudnia 1952 nie wolno mi wykonywać zawodu nauczycielskiego.

Byłam rozpaczona, nie miałam środków do życia, myślałam o samobójstwie. Zdecydowałam się w końcu na powrót do Gniezna, bo znalazłam posadę kasjerki w sklepie. Wreszcie dano mi spokój. A po odwilży w październiku 1956 pozwolono kontynuować ukochaną pracę - nauczalam w klasach po-

Tam właśnie zaskoczył mnie

Do pracy konspiracyjnej przystąpiłam w 1942 roku. Zostałam zaprzyjęta przez komendantkę Hufca ZHP - Adelę Kolodziejczyk i przyjechałam pseudonim "Stella". Moje mieszkanie zamieniło się w punkt kontaktowy grupy dywersyjnej AK, którą kierował major Pieniak. Pseudonim "Przebój". Moje zadania łączniczkę sprowadzały się do przenoszenia meldunków i tajnej prasy oraz do nawiązywania kontaktów między ogniwami akowskimi.

Wyjątkowo mocno utkwiły w mojej pamięci dramatyczne chwile z lata 1943 roku, kiedy to Niemcy wpadli o świcie do Niecejczy i rozpoczęli łapanie. A krótko przedtem moje mieszkanie opuścili partyzanci, przygotowujący się do akcji przeciw hitlerowcom. Zasnęliśmy z matką i bratem, wtem rozległy się wrzaski żandarmów, wypędzających mężczyzn z chat. Kilku Niemców zalomotało kolbami do naszych drzwi. Niezmyślona porażona wyskoczyłam z łóżka, by coś zrobić

jednak ją brutalnie odepchnął. Tędyś żandarm i się przeobraziła. Ja też starałam się wstać za bratem, to dwóch pracowników wykręciło mi ręce i wpakowało do samochodu.

Celem podróży okazało się więzienie w Sokolowie podlaskim. Widmo Treblinki stało mi przed oczami, woliując zwyczajny ludzki strach. A jednak wnet znalazłam się na wolności, ponieważ partyzanci AK zorganizowali akcję odbicia zabitych z łapanek. Wróciłam do Niecejczy, do pracy w szkole, lecz działalność konspiracyjna kontynuowałam.

Nadszedł rok 1944. Część polski była wreszcie wolna, armia hitlerowska cofała się pod naporem wojsk radzieckich polskich. Na wyzwolonych terenach powstawały urzędy polskie. W najczarniejszych jednak snach nie przypuszczałam, ile jeszcze cierpień znam od jednego z nich, czyli Urzędu Bezpieczeństwa (UB). Ofiarami stalinizmu byli między innymi akowcy, nazywani pogardliwie "kartami wachaj".

zostałam zwolniona. Oto treść zaświadczenia z 17 czerwca 1946, jakiego domagałam się od naczelnika więzienia w Siedlcach.

"Niniejszym stwierdzam, że ob. Godlewicz Stanisława, córka Jana i Józefy ur. 14 VII 1913 r., zamieszkała przed aresztowaniem w Niecejczy pow. Sokółów Podlaski była osadzona w tutajszym więzieniu przez Wojskowego Prokuratora Ciarnizonu w Siedlcach za przynależenie do organizacji AK w dniu 11 III 1945 r., a w dniu 26 IX 1945 r. została zwolniona na podstawie amnestii. Niniejsze zaświadczenie wydaje się na własną prośbę petentki, której jest potrzebne do złożenia w Kuratorium Szkolnym."

Po zwolnieniu wróciłam do Niecejczy, do swojego ukończonego zawodu nauczycielskiego. Byłam jednak psychicznie i fizycznie wyczerpana, minione przeżycia dręczyły mnie i w dzień, i w noc. Postanowiłam zatem zmienić środowisko i szukać spokoju gdzieś daleko. Dwunastego

dzielniku 1956 pozwolono kontynuować ukochaną pracę - nauczalam w klasach początkowych Szkoły Podstawowej numer 1. W 1964 roku wyszłam za mąż, dzieci jednak nie mieliśmy. Na emeryturze przebywałam od 1970 roku.

Dzisiaj mam pełne podstawy do dumy, że jako łączniczka Armii Krajowej walczyłam o wolność cieniowanej ojczyzny. Ale zarazem przenika moje serce przygnębienie, że doznałam tak wiele krzywd za walkę z ręk rodaków, od zbrodniczego aparatu UB. Nie mogąc tego żalu odsunąć nawet odznaczania, których wiele otrzymywał, w tym krzyże - Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Partyzancki i Armii Krajowej.

Notował
HENRYK NOWAKOWSKI

W następnym numerze

- noce i dnie "Stelli"

w więzieniu

karno-śledczym

w Siedlcach.

II-6
Do wielkanocnego śniadania w celi zasiadł... strażnik, którego więźniarki zaprosiły, by nie dyżurował przy "judaszu".

Twardy uścisk mściwych rąk (2)

W poprzednim numerze "Kulis" przybliżyliśmy wojenne przeżycia mieszkanki Gniezna - Stanisławy Godlewicz-Każmierowskiej, łączniczki Armii Krajowej. Za to właśnie po wywołaniu była szkanowana i więziona. Zapowiedzieliśmy, że podzielił się wspomnieniami zła król więzienia karnościowego w Siedlcach. Oto one.

Są w życiu podroże, których się nigdy nie zapomni. Taką właśnie była dla mnie jazda ciężarówką w nieznane. Nie wiedziałam, gdzie jestem transportowana pod eskortą żołnierzy Urzędu Bezpieczeństwa i co się ze mną stanie.

Pamiętam ten mroźny dzień marca 1945 roku, kiedy - wędrując w pwnicznej norze więzienia w Sokolowie Podlaskim

- usłyszałam rozkaz, by spakować swoje manatki. To samo miały uczynić jeszcze dwie koleżanki i zaprowadzono nas do stojącej na podwórzu ciężarówki. Żołnierze UB usiedli na lawce po jednej stronie, a my po przeciwnej. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas zwiózł. Jak się później okazało - do Siedlec.

Panował około dwudziestostopniowy mroz i byliśmy wrecz skostniałe, gdy przyszło opuścić ciężarówkę. "Towarzysze" podroz wpełchnęli nas do izby przyjeżdżających i poddyktowali treść wpisu. Wszyskie trzy znalazłyśmy się w jednej celi wielosobowej. Przebywając już w niej kobiety okazały się być po wyroku - przyjęły nas z czelwicie, wjałmnicząc w zwyżce siedleckiego więzienia. Warunki były bardziej znośne od tych w Sokolowie Podlaskim.

Ale jakże to pociecha wobec wielkiej niepewności i świadomości, że spotyka człowieka niezastroszona kara. Za to, że ryzykowało się życiem dla ojczyzny! A tu rodzący fundują wyrok, celę z

oknami bez nickłorych szyb, zastąpionych szmatami, spanie na przyzy z sennikiem - wypelnianym garską słomy i pod brudnym kocem. Mroz w celi był taki, że sufit pokrywała gruba warstwa szronu, topniejącego pod wpływem naszych oddechów i wtedy kropki kapaly nam na głowy.

Często z tego powodu nie dalo się spać. Tym bardziej że w nieśmowity sposób dokuczały nam pluskowy i wszy. Tępiłyśmy je w dzień, lecz w nocy i tak bezlitośnie gryzły. Wszy zagnieżdżone w szwach ubrania - flukusy obcasami butów.

Wielce kępujące było załatwianie potrzeb fizjologicznych niejako na komendę. Raz bowiem na dobre wyszkie z celi byliśmy wyrowadzane do ublicznej ubliczności się załatwić. Widąc jednak człowiek znaltretowany i do tego może się przyzwyczaić.

Tak jak i do podlego jedzenia. Rano i wieczorem kromka chleba i trochę czarnej lury, a na obiad coś bardzo rzadkiego, nawet nie przypominającego zupy. Pa-

czek początkowo nie dostawałyśmy żadnych, bo rodziny nie wiedziały, gdzie jesteście. Po sześciu tygodniach jednak udało mi się nawiązać kontakt z bliskimi i otrzymałam trochę bielizny, ciepłego ubrania i żywności.

Raz w miesiącu każda więźniarka mogła liczyć na jedno odwiedzenie z kimś bliskim. Oczywiście, tylko przez siatkę. Ja stałam w towarzystwie strażniczeki po jednej stronie drotu, a ktoś z rodziny w odległości metra. Nawet trudno było rozmawiać. Z przyniesionych mi paczek natomiast zwykle dużo "wyparowało".

Przypominam sobie, jak na Wielkanoc dostałam babkę i święconkę. Urządźliśmy więc sobie po raporcie wspólne śniadanie. Zaprosiłyśmy też strażniczkę, bo dłaczego miał patrzeć przez "judasza" i podsluchiwać. Wiele gorzkiej prawdy wówczas wyraziłyśmy z siebie, ale nic nie domniósł. Pamiętam też, ile radości sprawił mi prezent imieninowy w maju - od koleżanki, której męży

arcztowano razem ze mną, a przebywał już w Świerdłowsku, dostalałam pęczek rzodkiewek ze szczypiorkiem...

Tak mijal dzień za dniem. My - "polityczne" nie pracowałyśmy, było zatem dużo czasu na rozmyślanie. I na pokrzepianie się nadziejami, gdy dochodziły wiadomości z zewnątrz. Choćby o tym, że przyjechał do Polski emigracyjny premier Stanisław Mikołajczyk. Liczyliśmy więc, że będzie amnestia dla więźniów politycznych. Nawet straż więzienna stawiała się dla nas bardziej wyrozumiała i łagodna.

W końcu nastal dzień 26 września 1945. Przy raporcie "politycznym" obwieszczone, że wyjdziemy na wolność, bo jest amnestia. Jaka wtedy zapanowała wśród nas radość, ileż miałyśmy planów! Każdej z nas wiele z tych planów udało się zrealizować, lecz bliższy po zaznanych krzywdach chyba nigdy się nie zagoiły.

STANISŁAWA
GODLEWICZ-KAŻMIEROWSKA

Awansowali do stopnia podporucznika

NIEZNO. Już po raz czwarty w Wojskowej Komendzie Uzpełnień w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia aktów nominacyjnych na pierwszy stopień oficerski byłym uczestnikom walki o wolność i niepodległość Polski podczas drugiej wojny światowej i w okresie powojennym. W imieniu prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej akty nominacyjne wręczył weteranom pułkownik Janusz Miłogrodzki, komendant WKU.

Pierwszy stopień oficerski — podporucznika — otrzymali: Alfons Łapiński, Stanisława Godlewicz-Kaźmierowska, Antoni Jemontowicz, Barbara Kraśna, Kazimierz Kwieciński, Marian Płatek, Czesław Promiński, Stanisław Sulek i Józefat Sztuka. Komendant przyznając awansu powiedział między innymi: — Swoje młode i najlepsze lata nierozważnie związałeś z najpoważniejszymi wyzwaniami w dziejach naszej ojczyzny. Patrząc w przeszłość widzimy wyraźnie, że najpiękniejsze karty historii polskiego oręża pisali ci, którzy potrafili przelamać własną słabość i strach. Pułkownik J. Miłogrodzki życzył nowo mianowanym podporucznikom silnej wiary w sens tego co robili, a także dalszego zacieśnienia braterstwa i wzajemnych przyjaźni, sprawdzonych w trudnych chwilach. Gratulując awansowanemu złożył także życzenia Zenon Piwecki, przedstawiciel Powiatowej Rady Komatanckiej, który życzył weteranom, by wyrzuli z serc wszelką nienawiść i pamiętali, że kiedyś wszyscy walczyli wspólnie z jednym wrogiem.

Podporucznicy rezerwy nie kryli wzruszenia. Jak powiedział J. Sztuka, prezes koła Światowego

Żołnierzy Armii Krajowej, walczyli — i zachodnim, i wschodnim. — Najgorszy był okupant wewnętrzny, ale szczęśliwie przeżyliśmy te wszystkie lata — powiedział prezes koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

waż związki kombatanckie wystąpiły z wnioskami do Kancelarii Prezydenta i sukcesywnie akty nominacyjne są przesyłane do wojskowych komend uzupełnień. Jak poinformował pułkownik J. Miłogrodzki, jest w Polsce 140 komend. Szacuje się, że akty nominacyjne otrzyma około 100.000 osób.



Do pamiątkowej fotografii ustawili się nowo mianowani podporucznicy i dowództwo Wojskowej Komendy Uzpełnień. Siedzą (od lewej): Kazimierz Kwieciński, Stanisława Godlewicz-Kaźmierowska, Barbara Kraśna, Czesław Promiński. Stoją: Marian Płatek, podpułkownik Marek Szulczyński, zastępca komendanta WKU, Józefat Sztuka, Stanisław Sulek, Alfons Łapiński, pułkownik Janusz Miłogrodzki, komendant WKU i Zenon Piwecki, przedstawiciel Powiatowej Rady Komatanckiej i zarazem prezes oddziału Związku Inwalidów Wojennych.

Związku Żołnierzy Armii Krajowej, ten dzień jest dla nich dużym przeżyciem i łączy go z minionymi latami, gdy walczyli z kilkoma oku-

Uroczystość mianowania na pierwszy lub kolejny stopień oficerski byłych żołnierzy odbędzie się jeszcze nieraz w WKU, ponie-

grodzki, jest w Polsce 140 komend. Szacuje się, że akty nominacyjne otrzyma około 100.000 osób.

■ gk

J. Gładzieli, Zwierzchnia adiutanta
"Dziękuję", Tygodnik Siedlecki, K. 8,
s. 1-8



Ja to musiałem zrobić!

Witek, dobij mnie, proszę! Nie zostawiaj mnie tu rannego. „Mak”, ty mnie wykończ, bo ja nie chcę żyć wpaść w ręce Niemców...

Słuchałem tego z przerażeniem. Na swego dowódcę patrzyłem oziębiałym wzrokiem i nie docierało do mnie to, co się tu przed chwilą wydarzyło. „Wichura”, ten słynny „Wichura”, legenda i bohater Podlasia, leży tu ranny na paulinowskiej drodze, ciężko poraniony przez tę gestapowską szuję Sulerzyckiego. Całą twarz ma we krwi. Sulerzycki dwukrotnie trafił „Wichurę”. Pierwszy pocisk przebił mu brode, a drugi rozorał cały policzek. Wyglądało to strasznie. „Wichura” z powodu dużego upływu krwi powoli tracił przytomność. Byłem przerażony, gdyż wyglądało na to, że mój dowódca i serdeczny przyjaciel już umiera, że nie ma dla niego już żadnego ratunku. Klęknąłem przy nim, chcąc jakoś mu pomóc, trochę ulżyć. Głowę jego położyłem na swych kolanach. Po chwili całkiem spodnie miałem przesiąkniętą jego krwią.

— Heniek! Co ci jest? Co mam robić? — pytam się go z rozpaczą w głosie.

— Dobij „Mak”, dobij! Proszę! — powtarza słabnącym głosem.

— Heniek, jak to? Przecież tak nie można! Ja tego nie zrobię — mówię mu z rozpaczą.

— Witek, zrób to, ja i tak nie przeżyję. Nie chcę wpaść w ręce Niemców. Szwabę i tak mnie wykończą. Witek! Zrób to, o co cię proszę... I jeszcze jedno. „Papier”. Nie zapomnij ich zniszczyć.

Właśnie „papier”! Słowa te chwilowo mnie jakby otrzeźwiły. Przypomniałem sobie, że „Wichura” już wcześniej wspominał mi, że ma jakąś kartkę z nazwiskami i adresami naszych chłopców, należących do Armii Krajowej, których zamierzał przedstawić

dowództwu obwodu do awansów i odznaczeń. Tak, „Wichura” zawsze dbał o swych podkomendnych. Starał się o wyróżnienia dla nich, bo wszyscy oni, faktycznie, zastępowali na niego. Jeszcze tamtego ranka żartował sobie, że gdyby ta

lo. Miałem oddać strzały do legendarnego „Wichury”, strzały, które ostatecznie przerwą jego choć krótkie, ale bohaterskie życie. Choć on sam mnie o to prosił, błagał, choć mi to nakazywał, rozkazywał, to jednak nie wie-



Henryk Oleksiak ps. „Wichura”

kartka wpadła w ręce Niemców, to byłby dla nich najlepszy prezent mikołajkowy. Nic więc dziwnego, że z miejsca zacząłem szukać tych „papierów”. W kieszeni jego kurtki natknąłem się na jakieś małe zawiniątko w pergaminowym papierze. Rozwinąłem je i aż struchlałem z wrażenia, gdy zobaczyłem co ono zawiera. Same nazwiska, imiona, adresy, nawet pseudonimy tych, którzy działali i byli związani z naszym ruchem oporu. Faktycznie, nie daj Boże, gdyby to przypadkowo wpadło w ręce Niemców. Gestapo szybko rozbiłoby naszą AK-owską organizację w całym powiecie sokołowskim.

Szybko schowałem tę trefną kartkę do swojej kieszeni, by ewentualnie przekazać ją później komuś ze sztabu naszego dowództwa, a w razie jakiegos niebezpieczeństwa zniszczyć, by nie dostała się w niepowołane ręce. A „Wichura” coraz

działem, jak mam postąpić, co mam robić. To prawda, że „Wichura” niejednokrotnie nam powtarzał, że gdyby w jakiejś akcji został ciężko ranny i nie można było go już uratować, to lepiej aby go dobić. Nie chciał żywym dostać się w ręce Niemców. I nigdy bym nie przypuszczał, że akurat to ja znajdę się w takiej sytuacji, że to ja będę musiał podjąć taką decyzję — najtrudniejszą decyzję w całym swym życiu. I co najgorsze musiałem ją podjąć, musiałem coś zrobić, aby... nie zawieść swego ukochanego dowódcy.

Tak na dobrą sprawę, to ja do dnia dzisiejszego nie wiem, co ja wtedy, w ten grudniowy dzień roku 1943, powinienem najwłaściwszego zrobić. Ratować „Wichurę”? Przecież był ciężko ranny, nieprzytomny. Ja sam nie dałbym rady, by go dźwigać na plecach, by się gdzieś z nim ukryć. Zdawałem sobie spr-

chwila mogą się pojawić na sterydyńskiej szosie Niemcy i żandar-mi z Sokołowa Podlaskiego, których zapewne już wezwał telefonicznie Sulerzycki. Jeszcze wcześniej mogli się pojawić Kalmucy, którzy stacjonowali w Sterdyni. Nie, ucieczka by się nam nie powiodła. Szybko by nas wytropili. Na żadną pomoc też nie mogliśmy liczyć. Nikt z naszych ludzi nie wiedział przecież, że tego dnia akurat jesteśmy w Paulinowie.

A może zostawić tu rannego „Wichurę” — zastanawiałem się — a samemu pobiec po pomoc i lekarza. Może by go uratowali. Nie, to też odpadało. Przecież znacznie szybciej będą w Paulinowie Niemcy. Znajdą rannego „Wichurę” i... Lepiej nie mówić. Natychmiast przewieziliby go do sokołowskiego więzienia i tam by go na osobisty rozkaz starosty Gramssa torturowali, zamęczyli na śmierć. Żywego na wolność na pewno by go już nie wypuścili. Za bardzo przecież Niemcom zależało na skórze. Nie po to wyznaczali wysokie nagrody — 100. 200, a w ostatnim czasie nawet i 500 tysięcy złotych — za jego „głowę”. Chcieli go mieć żywego lub martwego.

Cóż, pozostało mi wówczas tylko jedno wyjście, to najgorsze, to najbardziej przerażające i najbardziej tragiczne dla wszystkich, a zwłaszcza dla mnie samego... Pozostało mi to o co mnie tak prosił, wręcz żądał, rozkazywał sam „Wichura”... Do ostatniej chwili wahałem się przed podjęciem takiej decyzji. Zwlekąłem czekając jakby na jakiś cud, czy też zbawienie. A „Wichura” od czasu do czasu wciąż powtarzał te same słowa: — „Mak”, dobij mnie... Wiesz co masz robić, nie zostawiaj mnie tu rannego...

A ja nie wiedziałem, jak to zrobić. Bałem się, drżałem cały... Wreszcie nabrałem powietrza, zamknąłem oczy i machinalnie odwróciłem „Wichurę” twarzą do ziemi. Szybko przeżegnałem się i ze łzami w oczach, ze ściśniętym gardłem powiedziałem jedno tylko słowo: „Zegnaj!!!” I strzeliłem... dwa razy w tył głowy „Wichury”...

Tak, ja musiałem to zrobić! Musiałem dobić „Wichurę”. Skróciłem jego męki, ochroniłem go przed torturami gestapowców. Tak, ja wtedy nie miałem innego wyjścia. Naprawdę, trudno mi powiedzieć, co się wówczas ze mną działo. Byłem jakby w jakimś amoku, jakby w jakimś nierealnym świecie. W pierwszym momencie sam też chciałem sobie strzelić w łeb, odebrać sobie życie. Z żalu i rozpacz... W tym momencie usłyszałem dolatujące od strony majątku w Paulinowie podniesione głosy i okrzyki. To Sulerzycki ze swymi ludźmi domyślając się, że „Wichura” jest ranny, i mając przewagę liczebną, postanowił nas złapać, okrążyć i uniemożliwić ucieczkę. To mnie z miejsca otrzeźwiło. Nie chciałem wpaść w ręce Niemców. Prędzej bym się zastrzelił, gdyż też bałem się gestapowskich tortur, bałem się, że moja dupa nie wytrzymałaby ich bicia. A poza tym byłem młody, chciałem jeszcze żyć, chciałem jeszcze pomóc śmierć „Wichury”, swego ukochanego dowódcy. Postanowiłem więc...

...karta... wciągnąłem się na jakieś małe zawiniątko w pergaminowym papierze. Rozwinałem je i aż struchlałem z wrażenia, gdy zobaczyłem co ono zawiera. Same nazwiska, imiona, adresy, nawet pseudonimy tych, którzy działali i byli związani z naszym ruchem oporu. Faktycznie, nie daj Boże, gdyby to przypadkowo wpadło w ręce Niemców. Gestapo szybko rozbiłoby naszą AK-owską organizację w całym powiecie sokolowskim.

Szybko schowałem tę trefną kartkę do swojej kieszeni, by ewentualnie przekazać ją później komuś ze sztabu naszego dowódcztwa, a w razie jakiegoś niebezpieczeństwa zniszczyć, by nie dostała się w niepowołane ręce. A „Wichura” coraz głośniej pojękiwał. Rany jego obficie krwawiły. Rzeził i co chwile słabnącym głosem mi powtarzał: — Wiesz „Mak” co masz teraz robić... A potem ratuj się jak możesz... Pamiętaj! Nie pozwól, aby Niemcy mieli mnie żywego. Z powodu ran coraz trudniej wypowiadał słowa i zdania, a ja w jego głosie wyczuwałem i rozkaz, i prośbę, i żal.

Co ja wtedy przeżywałem? Nie, tego nie da się ani opowiedzieć, ani opisać. Jeszcze dziś, choć minęło przecież czterdzieści pięć lat od tamtego, tragicznego wydarzenia, trudno mi o tym mówić spokojnie, bez emocji... Ja już w swym życiu nigdy nie przeżyję czegoś bardziej tragicznego. I nikomu też nie życzę, by się znalazł w podobnej sytuacji — sytuacji prawie bez wyjścia. Była wojna, to prawda, a na wojnie śmierć nikogo nie wybiera. My też walczyliśmy z wrogiem na naszym „cichym” froncie, też musieliśmy strzelać i zabijać w obronie własnej, naszego narodu i naszej Ojczyzny. Tak, na pierwszej linii frontu człowiek, każdy żołnierz nigdy się nie zastanawia strzelając, czy zabija człowieka. Po prostu strzela do wroga, którego trzeba unicestwić.

Niby i my też toczyliśmy wojnę, niby też walczyliśmy na nie mniej ważnym froncie, ale teraz mnie przyszło strzelać nie do śmiertelnego wroga, lecz do swego dowódcy, do swego przyjaciela i kolegi z konspiracji, z którym tyle się przeszło, tyle się przeży-

...był go już uratować, to lepiej aby go dobić. Nie chciałem żywym dostać się w ręce Niemców. I nigdy bym nie przypuszczał, że akurat to ja znajdę się w takiej sytuacji, że to ja będę musiał podjąć taką decyzję — najtrudniejszą decyzję w całym swym życiu. I co najgorsze musiałem ją podjąć, musiałem coś zrobić, aby... nie zawieść swego ukochanego dowódcy.

Tak na dobrą sprawę, to ja do dnia dzisiejszego nie wiem, co ja wtedy, w ten grudniowy dzień roku 1943, powinienem właściwie zrobić. Ratować „Wichurę”? Przecież był ciężko ranny, nieprzytomny. Ja sam nie dałbym rady, by go dźwigać na plecach, by się gdzieś z nim ukryć. Zdawałem sobie sprawę, że z ciężko rannym „Wichurą” nie mam żadnych szans na ucieczkę. Wiedziałem, że lada

jakims nierealnym świecie. W pierwszym momencie sam też chciałem sobie strzelić w łeb, odebrać sobie życie. Z żalu i rozpacz... W tym momencie usłyszałem dolatujące od strony majątku w Paulinowie podniesione głosy i okrzyki. To Sulerzycki ze swymi ludźmi domyślając się, że „Wichura” jest ranny, i mając przewagę liczebną, postanowili nas złapać, okrążyć i uniemożliwić ucieczkę. To mnie z miejsca otrzeźwiło. Nie chciałem wpaść w ręce Niemców. Prędzej bym się zastrzelił, gdyż też bałem się gestapowskich tortur, bałem się, że moja dupa nie wytrzymałaby ich bicia. A poza tym byłem młody, chciałem jeszcze żyć, chciałem jeszcze pomścić śmierć „Wichury”, swego ukochanego dowódcy... Postanowiłem więc uciekać. Uciekać za wszelką cenę...

(cdn.)

JANUSZ GRUDZIEN



1 listopada roku 1943 zaczął się dla mnie niezwykle obiecująco. Dowódca Okręgu AK „Proso” major „Socha” — Franciszek Świtalski oświadczył mi, że mianował mnie zastępcą grupy dywersyjnej sokolowskiego „Kedywu”. Oficjalnie byłem więc zastępcą samego „Wichury” — Henryka Oleksiaka. To duże było dla mnie wyróżnienie. Zdawałem sobie sprawę, że tę nominację dostałem trochę w spekulacyjnej sytuacji. „Wichury” przecież nie było, bo wyjechał nad Bug, by w ukryciu leczyć rany postrzałowe, które otrzymał od Gramssa podczas tej październikowej akcji na pałac w Przeździecku. A ktoś przecież musiał kierować naszą grupą specjalną. Z drugiej strony byłem przecież partyzantem z doświadczeniem konspiracyjnym i bojowym. Brałem udział w kilku dużych akcjach zbrojnych. Wybór padł na mnie, bym zastępował samego „Wichurę”, choć na początku polejrzewałem, że była to i jego sugestia...

W drugiej połowie listopada wreszcie pojawił się na naszym terenie i „Wichura”. Znad Buga wrócił wypoczęty, zdrowy i znów pełen energii, chęci do walki z Niemcami. Co z tego, jak dowództwo naszego okręgu zawiesiło go w czynnościach właśnie za tę samowolną akcję na rezydencję niemieckiego starosty Ernsta Gramssa. Niektórzy byli nawet za tym, aby go zdegradować, odsunąć od konspiracji. Chodziły też słuchy, że lada dzień „Wichura” zostanie przeniesiony na inny teren. Nie zlecano mu przeprowa-

dzenia jakiegokolwiek akcji zbrojnej, choć on sam do tego się palił. Zdawał sobie sprawę, że nad jego głową zbierają się „czarne chmury”. Starał się więc jakoś przeczekać ten „trudny” dla niego okres, powstrzymując się od wszelkich akcji i działań. Ten, kto znał „Wichurę”, wiedział, ile go to kosztowało...

Wieczorem 5 grudnia 1943 roku do mego domu w Niecieczy zawitał „Wichura”, mówiąc: — „Mak” szykuje się. Jutro rano pójdziesz ze mną

tam od pewnego czasu oddział Gwardii Ludowej. „Wichura” miał doprowadzić do spotkania dowódców obu organizacji konspiracyjnych, by ewentualnie omówić wstępne zasady współpracy, czy też współdziałania. To nie wszystko. „Wichura” zamierzał się też spotkać z dowódcą grupy partyzanckiej **Konfederacji Narodu**. A był nim nie kto inny jak powojenny założyciel i przewodniczący Słowarzyszenia PAX — **Bolesław Piasecki**. Jego oddziały słynęły z doskonałego uzbrojenia. „Wichura” zamierza wytar-

S zósteo grudnia roku 1943 — tę datę będę pamiętał do końca swego życia. Dzień był pochmurny. Od czasu do czasu pokazywało się słońce. Na polach leżał drobny śnieg. Trzymał lekki mróz. Idąc za Bug z „Wichurą”, gawędziliśmy sobie. Mijamy Sabnie. Kiedy weszliśmy do suchodołskie-go lasu, „Wichura” składała niespodziewaną propozycję: — „Wiesz co, „Mak”? Chodź sobie tak strzelimy do celu, do tych sosen. Dla wprawy, bo dawno akcji nie

Zwierzania adiutanta „Wichury”

Ostatnia akcja

za Bug. Mam się tam spotkać z kimś ważnym z partyzantki komunistycznej. Ucieszyłem się, że znów razem idziemy na jakąś akcję. „Wichura” przenocował u nauczycielki w Niecieczy. Następnego dnia rannym spotkaliśmy się u niej, by w niedługim czasie wyruszyć w drogę, zabierając ze sobą krótką broń, którą łatwo było ukryć w zimowych ubraniach.

Po drodze „Wichura” powiedział mi, że otrzymał polecenie od komendanta Okręgu „Sochy”, aby za Bugiem odnaleźć działający

gować od nich trochę broni, bo u nas ciągle było jej mało. My nie otrzymywaliśmy żadnych zrzutów z bronią i amunicją z Anglii. Jak nie kupiliśmy pistoletów, granatów od pokątnych handlarzy lub Niemców, to musieliśmy ją zdobywać, rozbijając żandarmerię, żołnierzy Wehrmachtu. Tak, broni to nam wtedy naprawdę brakowało. Co ciekawe, chodziliśmy słuchy, że nasze dowództwo miało nawet pieniądze na ten cel, ale podobno je przehelali. Tak ludzie gadali, ale jak naprawdę było, to nie wiem.

mieliśmy i broń była nieużywana, i ręka mogła się zastać”.

Propozycja mi się nawet spodobała, bo trochę byłem już zmęczony tym rannym marszem. Stanęliśmy w pewnej odległości od takich fajnych sosenek. Ja zza pazuchy wyjąłem swego niezawodnego „Waltera”. Trzy strzały i wszystkie celne. „Wichura” aż się uśmiechnął i z zadowoleniem pokijał głową. Wyjął swoją „maszynkę”, niemieckie parabellum z przedłużoną lufą. Pistolet cacko, mucha nie siada, jak to się u nas mówiło. A w czasie okupacji, jak ktoś miał dobrą broń, to cieszył się bardziej niż by wygrał 20 milionów złotych w Toto-lotka. Z kieszeni spodni wyciągnął trzy naboje i załadował je do magazynku. Raz strzelił — pudło, drugi trzeci raz — to samo. A przecież dobry był z niego strzelec. Nie przypuszczałem wtedy, że winna była zamknięta amunicja... „Wichura” tylko pod nosem zaklął i powiedział: — „Chyba dziś to nam się coś nie poszykuje, nie powiedzie...”

I jakby sobie wykrakał... Wiedocześnie te trzy niecelne strzały były dla „Wichury” jakimś znakiem ostrzegawczym, złym znakiem. Choć był on przesadnym człowiekiem, to jednak nie wziął sobie tego do serca, bo i któż mógł przewidzieć dalsze wydarzenia tego dnia... Wychodząc z lasu „Wichura” dał mi ze swego zapasu trzy naboje „dziewiątki”, abym uzupełnił magazynek w swoim „Walterze”. Mijamy Paulinów, a Heńka znów coś korci.

— „Mak”, tu w Paulinowie jest taki rzadca. Sulerzycki się nazywa. Ma broń i nam by się ona przydała. Choć złożymy mu wizytę, zabierzemy pistolet, a przy okazji trochę się z nim policzymy, za jego grzechy, bo ta gadzina z Niemcami kolaboruje. Długo tam nie zabawimy. No co, idziemy?

„Wichurze” trudno było odmó-

od pewnego czasu oddział
gardii Ludowej. „Wichura”
doprowadzić do spotkania
wódców obu organizacji kon-
kracyjnych, by ewentualnie o-
wść wstępne zasady współpra-
czy też współdziałania. To nie
ystko. „Wichura” zamierzał
też spotkać z dowódcą grupy
tyzanckiej **Konfederacji Naro-**
A był nim nie kto inny jak
wojenny założyciel i przewod-
zący Stowarzyszenia PAX —
esław Piasecki. Jego oddziały
ęły z doskonałego uzbrojenia.
ichura” zamierza wytar-

S zósteo grudnia roku 1943
— tę datę będę pamiętał
do końca swego życia.
Dzień był pochmurny. Od cza-
su do czasu pokazywało się
słońce. Na polach leżał drob-
ny śnieg. Trzymał lekki mróz.
Idąc za Bug z „Wichurą”,
gawędzimy sobie. Mijamy Sabnie.
Kiedy weszliśmy do suchodolskie-
go lasu, „Wichura” składa niespo-
dziewaną propozycję: — „Wiesz
co, „Mak”? Chodź sobie tak strze-
limy do celu, do tych sosen. Dla
wprawy, bo dawno akcji nie

utanta „Wichury”

ia akcja

ać od nich trochę broni,
i nas ciągle było jej mało. My
otrzymywaliśmy żadne
tów z bronią i amunicją
dli. Jak nie kupiliśmy pistole-
granatów od pokątnych han-
zy lub Niemców, to musieliś-
ją zdobywać, rozbrajając żan-
nów, żołnierzy Wehrmachtu.
broni to nam wtedy napraw-
brakowało. Co ciekawe, cho-
y słuchy, że nasze dowództwo
to nawet pieniądze na ten cel,
podobno je przechulali. Tak
ie gadali, ale jak naprawdę
to nie wiem.

mieliśmy i broń była nieużywana,
i ręka mogła się zastać”.

Propozycja mi się nawet spo-
dobała, bo trochę byłem już zmę-
czony tym rannym marszem. Sta-
nęliśmy w pewnej odległości od
takich fajnych sosenek. Ja z za-
pazuchy wyjąłem swego niezawod-
nego „Waltera”. Trzy strzały i
wszystkie celne. „Wichura” aż się
uśmiechnął i z zadowoleniem po-
kiwał głową. Wyjął swoją „ma-
szynkę”, niemieckie parabellum z
przedłużoną lufą. Pistolet cacko,
mucha nie siada, jak to się u na-
mówiło. A w czasie okupacji, jak
ktoś miał dobrą broń, to cieszył
się bardziej niż by wygrał 20 mi-
lionów złotych w Toto-lotka. Z
kieszeni spodni wyciągnął trzy
naboje i załadował je do maga-
zynku. Raz strzelił — pudło, drugi
trzeci raz — to samo. A przecież
dobry był z niego strzelec. Nie
przypuszczałem wtedy, że winna
była zamknięta amunicja... „Wi-
chura” tylko pod nosem zaklął i
powiedział: — „Chyba dziś to
nam się coś nie poszykuje, nie po-
wiedzie...”

I jakby sobie wykrakaç... Wi-
docznie te trzy niecelne strzały
były dla „Wichury” jakimś zna-
kiem ostrzegawczym, złym zna-
kiem. Choć był on przesadnym
człowiekiem, to jednak nie wziął
sobie tego do serca, bo i któż mógł
przewidzieć dalsze wydarzenia tego
dnia... Wychodząc z lasu „Wi-
chura” dał mi ze swego zapasu
trzy naboje „dziewiątki”, abym u-
zuppełnił magazynek w swoim
„Walterze”. Mijamy Paulinów, a
Heńka znów coś korci.

— „Mak”, tu w Paulinowie jest
taki rzadca. Sulerzycki się nazy-
wa. Ma broń i nam by się ona
przydała. Choć złożymy mu wizy-
tę, zabierzemy pistolet, a przy o-
kazji trochę się z nim policzymy,
za jego grzechy, bo ta gadzina z
Niemcami kolaboruje. Długo tam
nie zabawimy. No co, idziemy?

„Wichurze” trudno było odmó-
wić, a ponadto wiedziałem, że
chłopcy z Armii Krajowej już



WITOLD RECZMIŃ, ps. „Mak”:

Fot. Janusz Mazurek

bezpieczaj, a ja sobie w tym cza-
sie trochę z nim porozmawiam.

— Heniek — przypominam mu.
— Bądź ostrożny, miej broń go-
tową do strzału, bo być może to
jest jakaś zasadzka. Uważaj, bo
rzadca nie rozstaje się z pistole-
tem.

„Wichura” tylko ręką machnął i
pobiegł. Ja zatrzymałem się na
skraju tego małego lasku. „Wi-
chura” szybkim krokiem podszedł
do bryczki, ręce miał w kieszeni.
Coś tam krzyknął i wówczas... na
moich oczach rozegrała się tra-
gedia. Od miejsca tego wydarze-
nia oddalony byłem o jakieś 50
metrów. Usłyszałem, że „Wichu-
ra” znów stanowczym głosem coś
się spytał rzadcy, chyba o jego
dokumenty, chcąc się przekonać,
czy przypadkiem nie zatrzymał
kogoś innego. Dalsze wydarzenia
rozegrały się w mgnieniu oka...
„Wichura” stał z lewej strony
bryczki, podchodząc do wozu od
tyłu. Po drugim jego pytaniu
Sulerzycki sięgnął prawą ręką do
kieszeni, niby chcąc wyjąć doku-
menty. W lewej ręce zaś przez ca-
ły czas trzymał lejcę. Zamiast do-
kumentów rzadca błyskawicznie
z kieszeni wyciągnął swą broń i
przez lewe ramię z bryczki strze-
lił raz, drugi, trzeci w kierunku
„Wichury”, ruszając natychmiast

czął iść do przodu... Ja to wszy-
stko obserwowałem. Jak tylko us-
łyszałem strzały i zobaczyłem, że
„Wichura” się chwiewie, wiedzia-
łem, że stało się coś niedobrego,
że „Wichura” oberwał i to dość
porządnie. Z miejsca też wymie-
rzyłem ze swego pistoletu do Su-
lerzyckiego. Naciśkam spust, a tu
niewypał, drugi raz i znów nie-
wypał, trzeci raz — to samo. Pech
i tragedia. Mój „Walter” odezwał
się dopiero za czwartym razem,
ale Sulerzycki już był daleko, za
daleko, abym mógł mu zrobić ja-
kąś krzywdę z pistoletu.

Z miejsca też wybiegłem z za-
rosi na drogę by pomóc „Wichu-
rze”. Dobiegam do niego. Chwy-
tam go z tyłu za ramiona, ale on
chwiewie się i przewraca. Nie by-
łem w stanie go utrzymać, choć
mówili, że za młodu byłem szty-
wny, mocny w łapach. Słyszę, że
leżący „Wichura” mówi do mnie
po imieniu: — „Witek, schył się.
Gdzie jest moje parabellum?”.
Faktycznie, dopiero teraz dostrze-
głem, że na drodze leży jego czap-
ka, a w pobliżu ta parabelka Pod-
biegłem, by je zabrać i dać „Wi-
churze”. Widzę, że w tym czasie
Sulerzycki stoi we wrotach staj-
ni i strzela z pistoletu w naszym
kierunku. Ja czyję to samo, ale
to było takie pukanie ze złości,
bo przecież odległość była zbyt

dyły dla „Wichury” jakimś znakiem ostrzegawczym, złym znakiem. Choć był on przesadnym człowiekiem, to jednak nie wziął sobie tego do serca, bo i ktoś mógł przewidzieć dalsze wydarzenia tego dnia... Wychodząc z lasu „Wichura” dał mi ze swego zapasu trzy naboje „dziewiątki”, abym uzupełnił magazynek w swoim „Walterze”. Mijamy Paulinów, a Henka znów coś korci.

— „Mak”, tu w Paulinowie jest taki rządcą. Sulerzycki się nazywa. Ma broń i nam by się ona przydała. Choć złożymy mu wizytę, zabierzemy pistolet, a przy okazji trochę się z nim policzymy, za jego grzechy, bo ta gadzina z Niemcami kolaboruje. Długo tam nie zabawimy. No co, idziemy?

„Wichurze” trudno było odmówić, a ponadto wiedziałem, że chłopcy z Armii Krajowej już wcześniej chcieli się rozliczyć z Sulerzyckim. To był przedwojenny oficer polski. W czasie okupacji poszedł na współpracę z Niemcami. Był on odpowiedzialny za śmierć kilku polskich oficerów, którzy ukrywali się w Sokołowie i okolicy. Ich to właśnie wydał w ręce gestapo Sulerzycki. Była więc okazja, aby się rozliczyć z tym zdrajcą. Zachodzimy do Paulinowa. Rządcy nie ma ani w gorzelni, ani w biurze. Sekretarką, czy też jedną z pracownic majątku informuje, że godzinę temu wyjechał on na paśnię, by nadzorować załadunek buraków cukrowych dla Niemców. Cóż, nie było żadnego sensu czekać na powrót rządcy do Paulinowa.

Poszliśmy dalej w swoją stronę. Daleko nie uszliśmy. W porę dostrzeżliśmy nadjeżdżający samochód. To sokołowskie gestapo jechało do Sterdyni. Szybko skryliśmy się w przydrożnych krzakach. Trochę tam posiedzieliśmy, aby przekonać się, czy Niemcy nie będą za chwilę wracać. W pewnym momencie „Wichura” dostrzegł jadącą od strony Sterdyni bryczkę, którą powoził sam Sulerzycki. Przed zakrętem zatrzymał się, aby zabrać do domu swą córkę. „Wichura” długo się nie zastanawiał.

— „Mak”, ty tu zostań, a ja pobiegę przez ten las na skróty i zatrzymam rządcę. Ty mnie u-

„Wichura” tylko ręką machnął i pobiegł. Ja zatrzymałem się na skraju tego małego lasu. „Wichura” szybkim krokiem podszedł do bryczki, ręce miał w kieszeni. Coś tam krzyknął i wówczas... na moich oczach rozegrała się tragedia. Od miejsca tego wydarzenia oddalony byłem o jakieś 50 metrów. Usłyszałem, że „Wichura” znów stanowczym głosem coś się spytał rządcy, chyba o jego dokumenty, chcąc się przekonać, czy przypadkiem nie zatrzymał kogoś innego. Dalsze wydarzenia rozegrały się w mgnieniu oka... „Wichura” stał z lewej strony bryczki, podchodząc do wozu od tyłu. Po drugim jego pytaniu Sulerzycki sięgnął prawą ręką do kieszeni, niby chcąc wyjąć dokumenty. W lewej ręce zaś przez cały czas trzymał lejce. Zamiast dokumentów rządcą błyskawicznie z kieszeni wyciągnął swą broń i przez lewe ramię z bryczki strzelił raz, drugi, trzeci w kierunku „Wichury”, ruszając natychmiast bryczką do przodu.

Jak usłyszałem strzały, zobaczyłem, że „Wichura” gwałtownie się zachwiał. Zdołał jeszcze wyciągnąć swoje parabelum i oddać strzał do góry. Na więcej nie miał już siły. Znów się mocno zachwiał, aż mu czapka spadła z głowy, wypuścił też z ręki swoje ukochane parabellum. Chwiejnym krokiem powoli za-

newypał, drugi raz i znów nie wypał, trzeci raz — to samo. Pech i tragedia. Mój „Walter” odezwał się dopiero za czwartym razem, ale Sulerzycki już był daleko, za daleko, abym mógł mu zrobić jakąś krzywdę z pistoletu.

Z miejsca też wybiegłem z zarosli na drogę by pomóc „Wichurze”. Dobiegam do niego. Chwytam go z tyłu za ramiona, ale on chwije się i przewraca. Nie byłem w stanie go utrzymać, choć mówili, że za młodu byłem sztywny, mocny w łapach. Słyszę, że leżący „Wichura” mówi do mnie pod imieniem: — „Witek, schyl się. Gdzie jest moje parabellum?”. Faktycznie, dopiero teraz dostrzegłem, że na drodze leży jego czapka, a w pobliżu ta parabelka. Podbiegłem, by je zabrać i dać „Wichurze”. Widzę, że w tym czasie Sulerzycki stoi we wrotach stajni i strzela z pistoletu w naszym kierunku. Ja czynię to samo, ale to było takie pukanie ze złości, bo przecież odległość była zbyt duża.

Kiedy wróciłem do „Wichury” z jego czapką i pistoletem, zobaczyłem, że Heniek coraz bardziej krwawi. Całą twarz i głowę miał we krwi. Dostał postrzał w brodę i policzek. Strasznie to wyglądało...

(cdn)

JANUSZ GRUDZIEN

Smierć „Wichury”... Czterdzieści pięć już lat minęło od tego tragicznego wydarzenia, a ja wciąż zadaję sobie to samo pytanie. — Czy musiało do tego dojść? Czy „Wichura” musiał zginąć? Wciąż przypominam sobie tamte chwile i myślę, że był to przysłowiowy splot nieszczęśliwych wypadków. Ten dzień od początku zapowiadał się pechowo i nieszczęśliwie. I te niecelne strzały „Wichury” w suchodolskim lesie do sosny, jakby jakieś osrzeżenie, tajemniczy znak przez nas całkowicie zbagatelizowany... Gdyby „Wichura” zatrzymał orysek Sulerzyckiego przygotowany, z pistoletem w ręce gotowym do strzału, to zapewne nie dąłby się zaskoczyć temu konfidentowi gestapo. Gdyby „Wichura” nie pytał się grzecznie jego o dokumenty, tylko jak jak zawsze od razu kazał mu podnieść ręce do góry, to nie doszłoby do tego nieszczęścia. Nie wiem, ale tak sobie myślę, że w tamten grudniowy dzień to Pan Bóg pierwszy raz w życiu odebrał „Wichurze” rozum, bądź co bądź doświadczonemu wojskowemu i konspiratorowi.

Zwierzzenia adiutanta „Wichury”

Szczęście w nieszczęściu

I jeszcze jedno. Gdyby wtedy było więcej naszych ludzi, to zapewne rannemu „Wichurze” szybko byśmy zorganizowali skuteczną pomoc i natychmiast przewieźlibyśmy go do Sokołowa do współpracującego z naszą organizacją lekarza **Pertowskiego**. Gdyby tak było, to może i „Wichura” byłby żył, może by przeżył. Gdyby, gdyby... Dziś tak to wszystko sobie tłumaczę, ale wtedy nie było czasu na jakieś tam rozważania. Ja musiałem podjąć natychmiastową decyzję. I wybrałem... dobiłem rannego „Wichurę”, aby żywy nie dostał się w ręce Niemców, gestapo i samego Gramssa. Cóż, stało się. Widocznie tak być musiało.

A jak się skończył dla mnie ten dzień, w którym zginął legendarny „Wichura”? Po oddaniu tych dwóch ostatnich, śmiertelnych strzałów, strzałów litości do swego dowódcy, przez pewien czas nie wiedziałem co czynić. Byłem w szoku. Dopiero jak ustyszałem, że Sulerzycki z daleka znów do mnie strzela i ze swoimi ludźmi próbuje mnie okrążyć, by wziąć żywego, otrząsałem się z tej rozpacz. Postanowiłem uciekać i ratować swoje życie. Jeszcze zabrałem Henka dokumenty i zdjąłem mu zegarek z ręki, aby później to wszystko przekazać jego rodzinie, najbliższemu. Z kieszeni wyjąłem mu także dwa magazynki do parabellum oraz granat zaczepny. Ludzie Sulerzyckiego, a było z siedem osób, z bronią w ręku, podchodzili coraz bliżej. Nie było już co zwlekać. Rzuciłem się do ucieczki.

Aby jak najdalej i jak najszybciej oddalić się od szosy sterdyńskiej. To mi wtedy przyswiewało podczas tej ucieczki. Spodziewałem się, że lada moment pojawią się tam Kałmucy ze Sterdyni i Niemcy z Sokołowa, a wówczas nie miałbym żadnych szans, aby uratować swe życie. Biegłem przez pola do pobliskiego, małego zagajniczka, ciężko było. Ziemia pokryta świeżym śniegiem, a ja dodatkowo obciążony bronią i amunicją którą wziąłem od „Wichury”. W zagajniku tym na chwilę się zatrzymałem. Tam przy kamieniu zniszczyłem kartkę z adresami członków naszej sokołowskiej organizacji Armii Krajowej, którą wziąłem od „Wichury”. Wtedy jakby kamień z serca mi spadł, bo nie miałem przy sobie żadnych materiałów kogokolwiek obciążających.

Zagajnik był za mały, aby znaleźć w nim bezpieczne schronienie. Musiałem uciekać dalej, do oddalonego o jakieś dwa kilometry lasu. Pościg jednak był już blisko. Jedną z ludzi Sulerzyckiego

do środka. Fala ciepłego powietrza prawie z nogi mnie zwała. Gospodarze przestraszeni i wcale im się nie dziwiłem, bo rzeczywiście wyglądałem jak jakiś zjawia z innego świata. Cały umorusany we krwi i błocie, i na dodatek z pistoletami w rękach.

— Proszę się nie bać. Uciekam Niemcom. Dajcie mi coś do picia i pójdecie sobie. Powiedzcie mi tylko, gdzie ja jestem? — mówię do nich błagalnym głosem.

Gospodarze przestraszeni, ale w miarę dobrze mnie przyjęli. Po wypiciu ciepłego mleka od razu poczułem, jak wróciły mi siły. Dowiedziałem się, że znalazłem się w **Ratyncu**. Chłopaka poprosiłem, aby wskazał mi drogę do Siedlec, bo tam chcę uciekać. Chłopak potwierdził, że najpierw muszę się dostać do pobliskiej wsi **Buczyn**. Wiedziałem, że nie oszukiwał, bo przecież trochę znałem te strony. Na dodatek zaferował, że może mnie odprowadzić do Buczyna. Zgodziłem się. Przed Buczynem pożegna-

liśmy się, bo nie chciałem go narażać na jakiegokolwiek nieprzyjemności.

W Buczynie miałem dobrego znajomego **Michała Pogorzelskiego**. Zaszedłem do jego domu. Mówię: „Cześć”, a Michał popatrzył na mnie, nie poznając, kto zawitał do niego.

— Michał! Nie poznajesz? Witę jestem! „Mak” jestem.

— Boże, jak ty wyglądasz! Skąd ty wracasz?

— Uciekam z Paulinowa. „Wichura” zabity. Tam zginął. Pomóż, muszę jak najszybciej dostać się do domu do Niecieczy.

— Poczekaj, najpierw się umyj, coś zjedz i trochę odpocznij.

U Michała Pogorzelskiego nie zabawiłem zbyt długo. Dał mi konia, a do kieszeni wsunął kilka sztuk amunicji do pistoletu. Ruszyłem w drogę. Ciemna, jakby złowroga noc. Na sabniowskiej drodze w porę dostrzegłem urządzoną przez Niemców zasadzkę między szkołą a wsią Suchodół. Drogę oświetlały na przemian dwa samochody, czatując na partyzantów. Zaczaiłem się w kępie gęstych świerzków. W odpowiednim momencie przeskoczyłem szosę. Dalej już bez większych przygód dojechałem do **Nienadowej**, by wstąpić do swego przyjaciela **Stanisława Toczyskiego** pseudonim „**Jeleni**”. Obaj byliśmy żołnierzami „Wichury” i obaj byliśmy do niego mocno przywiązani. Opowiadając mu wydarzenia sprzed kilkunastu godzin, jeszcze raz przeżyłem śmierć swego dowódcy. U „Jelenia” w końcu nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Po tych wszystkich przeżyciach i przejściach coś mi się stało. Zacząłem szaleć, gorączkować się, krzyczeć: Gdzie jest Heniek? Gdzie jest „Wichura”? Domownicy musieli mi odebrać broń, bo wówczas mógłbym niechcący sobie i innym jakąś krzywdę zrobić...

Smierć „Wichury” odbiła się szerokim echem w całym powiecie sokołowskim. Jak było do przewidzenia, zawiadomieni przez Sulerzyckiego Niemcy, szybko pojawili się tam wraz ze starszą Gramssem, który niepomniernie się ucieszył ze śmierci tego, który wypowiedział mu prywatną wojnę na śmierć i życie. Ciało zabitego „Wichury” przewieźli do sokołowskiego więzienia. Gdzie go ostatecznie pochowali — do dziś nie wiadomo. Najprawdopodobniej Niemcy spalili je w Treblince, by przypadkiem jego grób nie stał się miejscem jakichś patriotycznych manifestacji.

Mnie inna rzecz zastanawia do dnia dzisiejszego. Przecież wtedy 6 grudnia 1943 roku zginął w tragicznych i w co najmniej dziwnych okolicznościach „Wichura” — **Henryk Oleksiak**, postać nietuzinkowa w sokołowskim ruchu oporu. Jeden z pierwszych, którzy podjęli na tym terenie zbrojną walkę z okupantem, założyciel Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, dowódca Komendy Dywersyj Obwodu AK „Proso” i członek ścisłego jego kierownictwa. Człowiek, który już za życia był dla mieszkańców Podlasia prawdziwą legendą. Dlaczego więc nikt nie zainteresował się jak zginął? Dlaczego? Dlaczego go nikt z dowództwa Obwodu AK „Proso” nie wszczął oficjalnego śledztwa, by wyjaśnić i rozwi-

było już co zwlekać. Rzuciłem się do ucieczki.

Aby jak najdalej i jak najszybciej oddalić się od szosy sterdyńskiej. To mi wtedy przyswiecało podczas tej ucieczki. Spodziewałem się, że lada moment pojawią się tam Kalmacy ze Sterdyny i Niemcy z Sokolowa, a wówczas nie miałbym żadnych szans, aby uratować swe życie. Biegłem przez pola do pobliskiego, małego zagajniczka. ciężko było. Ziemia pokryta świeżym śniegiem, a ja dodatkowo obciążony bronią i amunicją którą wziąłem od „Wichury”. W zagajniku tym na chwilę się zatrzymałem. Tam przy kamieniu zniszczyłem kartkę z adresami członków naszej sokołowskiej organizacji Armii Krajowej, którą wziąłem od „Wichury”. Wtedy jakby kamień z serca mi spadł, bo nie miałem przy sobie żadnych materiałów kogokolwiek obciążających.

Zagajnik był za mały, aby znaleźć w nim bezpieczne schronienie. Musiałem uciekać dalej, do oddalonego o jakieś dwa kilometry lasu. Pościg jednak był już blisko. Jeden z ludzi Sulerzyckiego zaczął mnie gonić na koniu. I on był najgroźniejszy. Wiedziałem, że w szczyrim polu nie ujdę mu, ale postanowiłem się bronić do ostatniego granatu, do ostatniej kulki. Ile sił w nogach biegłem w kierunku tego lasu. Po drodze gubię czapkę. Zrzucam z siebie kurtkę, aby nie kępowała mi ruchów. Co z tego? Człowiek Sulerzyckiego był coraz bliżej. Odwróciłem się i rzuciłem w jego kierunku granat. W porę uskoczył w bok i odjechał na bezpieczną odległość. A ja dalej uciekałem. Uciekałem i odwracałem się, aby strzelać do niego z pistoletu. W ten sposób opóźniałem pościg. Nie na długo. Skończyła mi się amunicja. Ostatni nabój zostawiłem dla siebie, aby w razie czego odebrać sobie życie. Do upragnionego lasu miałem jakieś 100 metrów. Wtedy to człowiek Sulerzyckiego zajechał mi drogę, krzycząc: „Już mi nie ujdiesz bandyto, ty skurwysynie!”.

Koniec ze mną, — myślę sobie. W chwili rozpaczy wyjąłem z kieszeni spodni latarkę, coś przy niej pomanipulowałem i rzuciłem jak granatem, krzycząc: — „I ty też mi nie ujdiesz!”. Jednocześnie padłem na ziemię. Ten, co mnie gonił, błyskawicznie zawrócił konia i odskoczył na bezpieczną odległość. Wykorzystałem to. Zerwałem się z ziemi i błyskawicznie dopadłem zbawczego lasu. Byłem uratowany. Zaczynało się powoli ściemniać. Wiedziałem, że jestem w ratyńskim lesie, ale nie znałem go zbyt dobrze. I poblądziłem. Z trudem udało mi się wydostać z tego ciemnego lasu, ale kompletnie nie wiedziałem, gdzie jestem. Mroź, zmęczenie i przedpołudniowe wydarzenia coraz bardziej dawały mi się we znaki. Ledwo trzymałem się na nogach.

Na szczęście w oddali dostrzegłem jakieś światła. Wieś, ale jaka? Trudno. Tam zdecydowałem się poszukać pomocy. Przez okno zajrzałem do pierwszej z brzegu chaty. Kilku mężczyzn zawzięcie grało w karty i pilo wódkę. Różni to mogli być osobnicy, więc się wycofałem. W drugim domu gospodyni akurat coś gotowała przy kuchni. Na zapiecku siedział staruszek, a przy nim krzątał się młody, może 18-letni chłopak. Zaryzykowałem, bo już mi sił nie starczało. Zapukałem do drzwi i wszedłem

rosta Gramsem, który niepomniernie się ucieszył ze śmierci tego, który wypowiedział mu prywatną wojnę na śmierć i życie. Ciało zabitego „Wichury” przewieźli do sokołowskiego więzienia. Gdzie go ostatecznie pochowali — do dziś nie wiadomo. Najprawdopodobniej Niemcy spalili je w Treblince, by przypadkiem jego grób nie stał się miejscem jakichś patriotycznych manifestacji.

Mnie inna rzecz zastanawia do dnia dzisiejszego. Przecież wtedy 6 grudnia 1943 roku zginął w tragicznych i w co najmniej dziwnych okolicznościach „Wichura” — Henryk Oleksiak, postać nietuzinkowa w sokołowskim ruchu oporu. Jeden z pierwszych, którzy podjęli na tym terenie zbrojną walkę z okupantem, założyciel Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, dowódca Komendy Dywersji Obwodu AK „Proso” i członek ścisłego jego kierownictwa. Człowiek, który już za życia był dla mieszkańców Podlasia prawdziwą legendą. Dlaczego więc nikt nie zainteresował się jak zginął? Dlaczego zginął? Dlaczego nikt z dowództwa Obwodu AK „Proso” nie wszczął oficjalnego śledztwa, by wyjaśnić i rozwiązać wszystkie wątpliwości i niejasności związane ze śmiercią „Wichury”? Dlaczego nikt ze mną się nie skontaktował, choć przecież byłem jedynym naoczny świadkiem tych wydarzeń. Pojawił się u mnie tylko łącznik „Sokol” z dowództwa Obwodu, aby odebrać parabellum „Wichury”. I nic więcej. Dlaczego?

Nie mnie wtedy było decydować i rozstrzygać o tych sprawach i dylematach, bo przecież byłem tylko szeregowym żołnierzem Armii Krajowej. Do dziś odnoszę jednak wrażenie, że wówczas stanowisko dowództwa Obwodu AK „Proso” było mniej więcej takie: „Był człowiek, zginął człowiek, nie ma człowieka i nie ma sprawy”. A ja takiej postawy do obecnej chwili nie potrafię sobie wytłumaczyć ani zrozumieć.

A koledzy z Kedywu jak zareagowali? Nie, nie potępił mnie za to, że dobiłem rannego „Wichurę”. Powiem szczerze — nikt mi z tego powodu nie robił żadnych wyrzutów. Pocieszali i tłumaczyli mi, że ja wykonałem tylko ostatni rozkaz „Wichury”. Byliśmy zgodni, my szeregowi żołnierze AK, żeby uderzyć na sokołowskie więzienie i odbić ciało naszego dowódcy, by pochować go godnie i z honorami, jak przystało żołnierzowi, kawalerowi orderu *Virtuti Militari* i Krzyży Walecznych. Niestety, nie było zgody na taką akcję.

To nie wszystko. Wystąpiliśmy do naszego dowództwa, aby jak najszybciej pomścić śmierć „Wichury”, wykonując wyrok na konfidencie Sulerzyckim. I znów czekaliśmy. Bez rezultatu. Zwlekano z wykonaniem tego wyroku, a w końcu zadanie to powierzono innym ludziom. Trzykrotnie organizowali na niego zamach, m. in. w Zembrowie. Efekt był taki, że Sulerzycki za każdym razem wychodził cało. Nas to bolało, bo nam Sulerzycki nie uszedłby już żywy. Musiałby ponieść zasłużoną karę... Cóż, nie wszystko uczyniono dla „Wichury”, by należyście uczcić jego pamięć...

I to wszystko co miałem i mam do powiedzenia o swym dowódcy, legendarnym „Wichurze” — Henryku Oleksaku, ja — jego żołnierz do ostatnich chwil i adiutant — WITOLD RĘCZMIEN pseudonim „MAK”.

JANUSZ GRUDZIEN

Wichura" utworzył partyzantkę na wzór sienkiewiczowskiego Kmicica. Atakował Niemców i władzę okupacyjną gdzie się tylko dało. Likwidował patrole żandarmerii, funkcjonariuszy gestapo i ich agentów, koniokraków i bandy podszywane pod partyzantów, a trudniące się rabunkiem. Wysadzał pociągi, palił Arbeitsamty i urzędy gmin, niszczył urzędy pocztowe, zakłady pracujące dla III Rzeszy, uwalniał więźniów. Do najśmieszniejszych akcji przeprowadzonych przez oddział „Wichury” należało: opanowanie sokołowskiego więzienia, posterunku żandarmerii w Kosowie Lackim, akcja na stacji kolejowej w Bielanych i na lotnisku w Bachorzy. Szczególny rozgłos zyskały, choć nieudane, trzy jego zamachy na niemieckiego starostę powiatów Sokołów i Węgrów — majora SD, dr Ernsta Gramssa, zwanego na Podlasiu „Krwawym Landratem”.

Akcje swe „Wichura” przeprowadzał z brawurą i z prawdziwie kmicicowską fantazją. Nie zaw sze to się podobało jego przełożonym ze sztabu dowództwa Obwodu AK, tym bardziej, że nie, które z nich wykonywał na własną rękę, samowolnie. Za to też przez pewien czas był zawieszony w czynnościach komendanta „Kedywu”. Jego podkomendni natomiast cenili swego dowódcę. Dla nich i dla ludności Podlasia

HENRYK OLEKSIAK — pseudonim „WICHURA”. Człowiek, który do dziś w pamięci starszych mieszkańców Sokołowa Podlaskiego i okolicznych wsi pozostał żywą legendą. Gorący i szczerzy patriota. Podporucznik Wojska Polskiego. Na wojnę 1939 r. poszedł jako ochotnik. Klęska wrześniowa i dla niego była tragedią. Nie chciał jednak się z tym pogodzić. Po kapitulacji jego oddziału wraca do rodzinnego Sokołowa. Nie chciał iść do niewoli, do stalagu. Rodzinie i swym znajomym powtarzał: „Chcę dalej walczyć, tylko walczyć”. I wszystko temu podporządkował. Był jednym z pierwszych organizatorów ruchu oporu w byłym powiecie sokołowskim. To właśnie on utworzył na tym terenie pierwszy oddział partyzancki Związku Walki Zbrojnej, przemianowanego później na Armię Krajową. Kierował Komendą Dywersji, czyli „Kedywem”, Obwodu AK „Proso” („Sep”), obejmującego swym zasięgiem cały powiat sokołowski.

Zwierzenia adiutanta „Wichury”

„Wichura” był symbolem nieprzejednanej walki ze zniechęconym okupantem, takiej walki, w której nie mierzy się swych sił na zamiary. Opowiadano więc o nim legendy i stawiano za wzór i przykład. „Wichura” nie doczekał końca wojny. Zginął w tragicznych okolicznościach w Paulibowie koło Sterdyni 6 grudnia 1943 roku w drodze na spotkanie ze swym dowódcą mjr. „Sochą” — Franciszkiem Świtalskim, komendantem Obwodu AK „Proso”. W miejscu tym na początku lat osiemdziesiątych postawiono „Wichurze” pamiątkowy głaz-obelisk.

Jaki był Henryk Oleksiak? Jaki pozostał w pamięci swych żołnierzy i mieszkańców ziemi sokołowskiej? Postać „Wichury” próbował uwiecznić Witold Retko w swej książce „Droga przez las” wydanej w roku 1964. Niestety, pozycja ta wywołała jednak spore kontrowersje, zwłaszcza wśród byłych żołnierzy AK powiatu sokołowskiego. Nie wszyscy zgadzali się i zgadzają z podanymi w

tej książce faktami i ich interpretacją. A przecież jeszcze dziś żyje wiele osób, które znały i pamiętają Henryka Oleksiaka. Jednym z nich jest mieszkaniec wsi Niciecz w gminie Sabnie — **WITOLD RĘCZMIEN**, żołnierz Armii Krajowej, pseudonim „Mak”, który był adiutantem „Wichury” przez pewien czas jego zastępcą w sokołowskim „Kedywie”. Dziś rozpoczynamy druk jego wspomnień o tamtych pamiętnych latach, okupacyjnych wydarzeniach, jego wspomnień o człowieku, który stał się legendą Podlasia.

Wojna — choć wszyscy spodziewali się, że wczesniej, czy później, mus. dojdę do wojny z Niemcami, to jednak jej wybuch był dla większości nas zaskoczeniem. Myślano, że Hitler nie zdecyduje się na ten krok w obawie przed reakcją Francji i Anglii, które gwarantowały Polsce pomoc w razie niemieckiej agresji. Niestety, wróg uderzył na nasz kraj. A ja tak szykowałem się do wyjazdu do Siedlec, by kontynuować naukę w tamtejszym Gimnazjum Mechanicznym. Za dwa dni przecież miał się rozpocząć kolejny rok szkolny. Cóż, te marzenia trzeba było odłożyć na później. Niemcy szybko wdzierali się w głąb naszego kraju i po miesiącu był koniec. Nastąpiły mroczne czasy hitlerowskiej okupacji. Z nauki musiałem zrezygnować. Zostałem tu w Nicieczy, by pomagać matce w prowadzeniu gospodarstwa

spiracji i miał pseudonim „Wilk”. Ucieszyłem się z tej propozycji i wyraziłem zgodę. Powiedział, że skontaktuje mnie z kimś ważnym, który podejmie ostateczną decyzję. Po kilku dniach Wacek Wytner pojawił się u mnie z jakimś mężczyzną. Znałem go trochę z widzenia, wiedziałem, że był to przedwojenny oficer. Nie przypuszczałem, że to właśnie on jest tym, który dowodzi oddziałem partyzanckim. Był to „Wichura” — Henryk Oleksiak. Kiedy pierwszy raz się spotkałem, dokładnie nie pamiętam, ale było to gdzieś na początku 1942 roku.

Polecono mi, abym w umówionym dniu zgłosił się na polanie w pobliskim lesie. Dobrze znałem to miejsce. Stała tam duża gruszczyka, a pobliski las był własnością mojej rodziny. Tam właśnie zostałem zaprzysiężony jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej. Było to dla mnie ogromne przeżycie. Obecny przy tym był sam „Wichura” oraz „Lot” — Salach i jeszcze ktoś trzeci, chyba brat Oleksiaka — Marian. Złożyłem przysięgę na wierność Ojczyźnie, że będę jej wierny i służył jej do ostatniej kropli krwi. Na ko-

niec spytałem się mnie, jaki wybieram sobie konspiracyjny pseudonim. Różne pomysły przychodziły mi do głowy, ale na nic nie byłem zdecydowany. „Wichura” popatrzył wtedy na mnie i rzekł: — Wiesz co, ja ci dam pseudonim „Mak”. — I tak zostało, ale dlaczego akurat „Mak”, tego do dziś nie wiem.

Jaki był „Wichura”? Wysoki, dobrze zbudowany. Włosy miał kręcone. Był to mężczyzna przystojny i elegancki. I trudno było się dziwić, że oglądały się za nim kobiety. Z jego zachowania i postawy widać było, że to przedwojenny oficer. Nawet w czasie okupacji ubierał się po wojskowemu. Czy był politykiem? Tak, był. Później, jak już lepiej się poznaliśmy, jak zostałem jego adiutantem i zastępcą, to od czasu do czasu mogłem mu coś powiedzieć, coś przettumaczyć. Zawsze uważał, że jego słowa nie powinny być w jego otoczeniu. Wskazywał, radził, spozstrzeżenia „Wichura” przyjmował, ale najchętniej dopiero po jakiejś akcji, po fakcie. Wcześniej naprawdę trudno było go przekonać. Bardzo rzadko zmieniał swój pierwotny plan akcji. Uważał i był przekonany, że to, co wyniósł, jest najlepsze, że to co robił, było słuszne. A przecież nie zawsze tak było. Każdy człowiek się myli, błądzi. Jeden częściej, drugi rzadziej, ale ludzi nieomylnych nie było i nie będzie.

Tak. „Wichura” pod tym względem był apodyktyczny. To prawda, że niejednokrotnie działał na własną rękę. Bywało, że nie czekał na rozkazy ze sztabu Komendy Obwodu, czy też na zgodę Komendy Głównej AK na przeprowadzenie jakiejś większej akcji. Nie wszystkim to się po-

Jaka była ta nasza konspiracja? Jej początki, tam rozpo-

ro kontrowersji, zwłaszcza wśród byłych żołnierzy AK powiatu sokołowskiego. Nie wszyscy zgadzali się i zgadzają z podanymi w

szego społeczeństwa ogromnym zaskoczeniem. Myślano, że Hitler nie zdecyduje się na ten krok w obawie przed reakcją Francji i Anglii, które gwarantowały Polsce pomoc w razie niemieckiej agresji. Niestety, wróg uderzył na nasz kraj. A ja tak szykowałem się do wyjazdu do Siedlec, by kontynuować naukę w tamtejszym Gimnazjum Mechanicznym. Za dwa dni przecież miał się rozpocząć kolejny rok szkolny. Cóż, te marzenia trzeba było odłożyć na później. Niemcy szybko wdzierali się w głąb naszego kraju i po miesiącu był koniec. Nastaly mroczne czasy hitlerowskiej okupacji. Z nauki musiałem zrezygnować. Zostałem tu w Niecieczy, by pomagać matce w prowadzeniu gospodarstwa.

Jaka była ta nasza konspiracja? Jej początki znam z opowiadań, bowiem ja żołnierzem podziemia stałem się znacznie później. Ale o tym za chwilę. Na początku było ich kilku, potem kilkunastu. Przeważnie oficerowie i podoficerowie przedwojennego Wojska Polskiego, miejscowi nauczyciele. Z czasem do konspiracji zaczęto wciągać ludzi młodych, chłopców 18–20-letnich z okolicznych wiosek. Już w roku 1940 zaczęto po cichu opowiadać sobie, że gdzieś tam doszło do sabotażu, że ktoś w biały dzień rozbroił Niemca, że zaatakowano jakiś patrol żandarmerii, że komuś wiano porządne baty za wysługiwanie i donoszenie Niemcom. Coraz głośniej było o akcjach przeciwko okupantowi. Kto to robił, nikt dokładnie nie wiedział. Mówiono, że to polska partyzantka, że to chłopcy z lasu, że dowodzi nimi jakiś „Wichura”. Szeptano, że w ostatniej akcji widziano tego lub tamtego chłopaka z Sokółowa, że partyzantom pomagają ci z sąsiedniej wioski. Czasami na ryuku sokołowskim pokazywano sobie grupę młodych ludzi, dodając, że są to chłopcy z lasu.

My, młodzi, z zainteresowaniem słuchaliśmy takich wieści. Niejeden z nas marzył, aby pójść w ślady chłopców z lasu. Często rozmawiałem o tym ze swym kolegą z Niecieczy — Wacławem Wytnerem. Któregoś wieczoru spytał mnie się, czy nie wstąpiłbym do ich tajnej organizacji. Okazało się, że mój kolega już działał w kon-

miar jednak swoje życie. Mimo uwagi, rady, spostrzeżenia „Wichura” przyjmował, ale najczęściej dopiero po jakiejś akcji, po fakcie. Wcześniej naprawdę trudno było go przekonać. Bardzo rzadko zmieniał swój pierwotny plan akcji. Uważał i był przekonany, że to, co wymyślił, jest najlepsze, że to co robił, było słuszne. A przecież nie zawsze tak było. Każdy człowiek się myli, błądzi. Jeden częściej, drugi rzadziej, ale ludzi nieomylnych nie było i nie będzie.

Tak, „Wichura” pod tym względem był apodyktyczny. To prawda, że niejednokrotnie działał na własną rękę. Bywało, że nie czekał na rozkazy ze sztabu Komendy Obwodu, czy też na zgodę Komendy Głównej AK na przeprowadzenie jakiejś większej akcji. Nie wszystkim to się podobało i oskarżano „Wichurę” o różne rzeczy, o niesubordynację. Zarzucano mu, że prowadził jakby prywatną wojnę z okupantem. Ja uważam, że w tym przypadku niektórzy po prostu mu zazdrościli sławy i sukcesów. A prawda była taka, że on nie chciał stać i czekać z bronią u nogi. Dla niego liczyła się tylko walka z Niemcami. Jedno nie ulega wątpliwości, że był to wspaniały dowódca. Stanowczy, konsekwentny i brawurowy. To ludziom, jego podkomendnym z Armii Krajowej, najbardziej się podobało. Odważny i ryzykujący aż do przesady, ale i podejmujący się najtrudniejszych akcji. Za to wszyscy go ceniliśmy i lubiliśmy. To był prawdziwy wojskowy dowódca — z krwi i kości.

Jednego „Wichura” najbardziej się obawiał, aby nie dostać się żywym w ręce Niemców. Wiedział, że w powiecie sokołowskim jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem przez gestapo. Za jego głowę wyznaczano wysokie nagrody, najpierw 100, a potem 200 tysięcy złotych. Wiedział, że gdy go złapią, zaarrestują, to najpierw czekają go ciężkie tortury, a potem śmierć. Bał się, że może nie wytrzymać. Powtarzał więc nam, swym podkomendnym i najbliższym, że gdyby w czasie jakiejś akcji został ranny i miał się dostać w ręce Niemców, to prosił, by raczej go dobito...

(CDN)

JANUSZ GRUDZIEN

TYGODNIK SIEDLECKI NR 50

...wpadliśmy do pokoju Gramssa. Starosta jednak już tutaj nie było. Otwarte okno i łopocząca firanka świadczyły, że tędy uciekli przed naszą partyzancką sprawiedliwością. Dobrze, ale przecież była jeszcze nasza obstawa — ludzie „Wilczka” z Jabłonny Lackiej. Oni mieli otoczyć cały pałac w parku w Przeździatce i baczyć, aby nikt z niego nie uciekł. Im Gramss nie powinien się wymknąć! Po to przecież „Wichura” kazał im tam stać!

Wyglądaliśmy przez okno. Ciemno i cisza. Nikogo ani widu, ani slychu. Słychać tylko szum parkowych drzew i dalekie szczykania psów. — Cholera! Gdzie „Wilczek?” — klniemy jeden przez drugiego. Wreszcie dociera do nas okrutna prawda. Nasza obstawa po prostu zwała. Zapewne „Wilczek” ze swoimi ludźmi, jak tylko usłyszeli strzały w pałacu, to się przestraszyli i bez zastanowienia dali nogi za pas, nie czekając na żaden rozkaz, nie zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest potrzebna nam pomoc...

Czasu na zastanawianie się i rozpamiętywanie tego, co się wydarzyło, wtedy nie było. Przede wszystkim trzeba było ratować naszego dowódcę. Gramss, strzelając przez zamknięte drzwi do nieznanych osobników, nie przypuszczał nawet, że ranił swego największego wroga. „Wichura” dostał postrzał w bok. Krwawił i jęczał. Jako jego adiutant objąłem dowództwo i nakazałem odwrót. Musieliśmy się spieszyć, bo Niemcy na pewno usłyszeli strzały w pałacu i zainteresują się, co tu się dzieje. Zaraz przecież mogły się pojawić patrole żandarmerii. Tutaj koło pałacu mogło być bardzo gorąco.

Razem z „Wichurą” zostało nas chyba z siedmiu. Pamiętam, że był Paduch, Januszewski, ktoś z Kupieńtyna, ktoś z Niecieczy... A przecież w tej akcji na pałac w Przeździatce brało udział ponad dwudziestu ludzi. Pozostali jak już wspominałem uciekli. Później się okazało, że każdy z nich uciekał na

własną rękę. Jeden z obstawy „zgubił”, czy też porzucił, swoją broń. Bał się, aby Niemcy nie złapali go z karabinem w rękę, ale co tu wspominać? Tak było, tak się zdarzyło. Ja oślaniałem tę naszą grupkę. Niemieckich wartowników zamknęliśmy w baraku. Wzięliśmy tylko ich pistolety maszynowe i mundury. Wszyscy byliśmy zdenerwowani takim postępkami ludzi z obstawy. Nie wiele brakowało, a w tym zamieszaniu, przez pomyłkę byłbym zastrzelił swego brata ciotecznego. Myślałem, że to niemieckiej żandarm.

„Wichura” polecił nam, abyśmy przedzierali się do leśniczówki Zabków. On miał tam jakiegoś dobrego znajomego, który nie odmówi mu pomocy. Po drodze

Gramssowi jednak znów szczęście dopisało. A przecież gdyby nasza obstawa nie uciekła, to starosta byłby w naszych rękach! Żal i pech! A przypominam sobie, że przed samą akcją rozmawiałem z „Wichurą”, kogo zabrać, na kogo można liczyć w każdej sytuacji. Mówiłem mu, aby nie brał za dużo ludzi, aby wziął tylko tych, którzy go na pewno nie zawiodą. Niestety, moje przypuszczenia się sprawdziły. A „Wichura” nawet nie mógł wyciągnąć żadnych konsekwencji wobec tych ludzi, którzy uciekli, gdyż akcja ta nie była uzgodniona z dowództwem Obwodu AK. „Wichura” robił ją na własną rękę. Za tę niesubordynację został nawet ukarany. Odsunięto go na pewien czas od kierowania soko-

gwaltowne ujadanie psów. To była leśniczówka w Zabkowie. Naganek w nocnej koszuli wyszła jakaś kobieta, uspokoiła psy. Domyśliła się, że coś się stało, biegała od strony Sokołowa w górę kładąc rakieta na rakieta, rozświetlając ciemne niebo. Od czasu do czasu rozlegały się serie z pistoletów maszynowych. To Niemcy wszczęli za nami pościg. Ostrzeliwali brzegi lasów, zagajniki, szedząc, że tam jesteśmy ukryci. Jednak szukali nas na ślepo, pomaćku, nie wiedząc kompletnie, w którym kierunku się wycofaliśmy.

W tej leśniczówce nie mogliśmy zbyt długo zabawić. Za blisko było Sokołowa i Niemcy wczesnym rankiem niechybnie

Zwierzchnia adiutanta „Wichury”

Szcześliwy odwrót

przyszła czas na rozmyślenia. Do dziś nie mogę przeboleć tego, że ta akcja nie zakończyła się naszym pełnym powodzeniem. A do szczęścia przecież tak niewiele brakowało. „Wichura” tę akcję dobrze przygotował. Planował wtedy nie zabić, lecz porwanie sokołowskiego starosty, a następnie zamierzał go wymienić za zwolnienie z więzienia wszystkich aresztowanych. Gdybyśmy zastrzelili Gramssa, to Niemcy zemściłoby się na mieszkańcach miasta. Mogłoby rozstrzelać 100—200 Polaków. A tego „Wichura” chciał uniknąć.

łowskim Kedywem i zabroniono przeprowadzać jakiegokolwiek akcje przeciwko okupantowi. Miano go nawet zdegradować, ale nie doszło do tego.

O odwrót z rannym „Wichurą” nie należał do łatwych. Dwóch chłopaków prowadziło go pod ręce, ale i tak zbyt szybko nie mogliśmy się poruszać. Przedzieraliśmy się przez niesamowity gąszcz Krzaki, zarosła Ciemna noc, nie dosłownie nie było widać. W pewnym momencie wydawało nam się, że pobłądził. Na szczęście usłyszeliśmy

tu zawitali. Tylko powierzchownie opatrzyliśmy rannego „Wichurę” i dalej w drogę. „Pożyczyliśmy” sobie od leśniczego wierzch koniem, bo nasz dowódca nie dał rady już iść. Sami też byliśmy niezłe zmęczeni tym odwrótem. Dźwigaliśmy broń, ciężką broń, ale wtedy za skarby nikomu byśmy jej nie oddali. Poszliśmy w kierunku wsi Weże, chcąc zmylić ścigających nas Niemców.

Zaczynało świtać, kiedy dotarliśmy do pierwszych zabudowań tej wsi. Musieliśmy gdzieś ukryć, bo taka duża grupa obywateli w tej okolicy mężczyźni zbyt łatwo by się rzucała w oczy. A usłyszanych i donosicieli wtedy nie brakowało. Zatrzymaliśmy się w budowlach miejscowego stajenka-macha-kołodzieja, człowieka zmiętego się wyrobem kół i innych części do wozów, bryczek. Nie znaleźmy go, ale okazał on porzucenym obywatelem. Po krótkim patriotą. Oczywiście, powdzieliśmy mu od razu, jak sprawy mają, że nas Niemcy ścigają. Zresztą nie było co ukrywać, bo przecież broń mieliśmy na wierzchu. Musieliśmy mu zaufać i nie zawiedliśmy

msowski jednak znów szczę-
dopisało. A przecież gdyby
obstawa nie uciekła, to sta-
byłby w naszych rękach!
pech! A przypominam sobie,
zed samą akcją rozmawia-
„Wichurę”, kogo zabrać, na
można liczyć w każdej sy-
tuacji. Mówiłem mu, aby nie brał
za dużo ludzi, aby wziął tylko
tych, którzy go na pewno nie za-
puścą. Niestety, moje przypuszc-
nia się sprawdziły. A „Wichu-
rę” nawet nie mógł wyciągnąć
z konsekwencji wobec
ludzi, którzy uciekli, gdyż
ta nie była uzgodniona z
działem Obwodu AK. „Wi-
churę” robił ją na własną rękę.
Niesubordynację został na-
ukarany. Odsunięto go na
czas od kierowania soko-

gwałtowne ujadanie psów. To
była leśniczówka w Ząbkowie. Na
ganek w nocnej koszuli wyszła
jakaś kobieta, uspokoiła psy. Do-
myśliła się, że coś się stało, bo
od strony Sokołowa w górę le-
ciała rakietą za rakieta, rozświe-
tlając ciemne niebo. Od czasu do
czasu rozlegały się serie z pisto-
letów maszynowych. To Niemcy
wszczęli za nami pościg. Ostrze-
liwali brzegi lasów, zagajniki, są-
dząc, że tam jesteśmy ukryci.
Jednak szukali nas na ślepo, po
omacku, nie wiedząc kompletnie,
w którym kierunku się wycofa-
liśmy.

W tej leśniczówce nie mogli-
śmy zbyt długo zabawić. Za bli-
sko było Sokołowa i Niemcy
wczesnym rankiem niechybnie by

Chłop troskliwie nami się za-
jął. Rozebrał wóz, którym przy-
jechaliśmy, a konia ukrył w
swym warsztacie za takim prze-
pierzaniem. Nie chciał, aby na-
wet sąsiedzi wiedzieli, że ma „go-
ści z lasu”. W chałupie pomagał
nam opatrywać rannego „Wichu-
rę”. Ani my, ani on nie mieliśmy
bandaży. Gospodarz porwał więc
na kawałki swą płócienną, wię-
kszą koszulę. Ranę zdezynfekowa-
liśmy spirytusem. Musieliśmy się
ratować tym, co było pod ręką.
Gospodarz ukrył nas na strychu.
Przez małe okienko widzieć było
siołający w pobliżu wiatrak, a w
oddali zabudowania wsi. Z dru-
giej strony, tuż za domem był l.s.
To stwarzało nam jakąś szansę
ucieczki, gdyż w okolicy poja-
wili się Niemcy.

Byliśmy zmęczeni i głodni, a
gospodarz nie miał tyle jedzenia,
aby nakarmić siedmiu chłopów.
Poszedł więc do wsi coś poży-
czyć. Wychodząc, zapewniał nas:
„Panowie, nie bójcie się. Nie wy-
dam was. Jakże mógłbym to zro-
bić? Wydać w ręce Szkopów pol-
skich żołnierzy? Nie, za żadne
skarby. Gdyby Niemcy przypad-
kiem was odkryli w mej chałupie,
to ja zgine razem z wami. Nie
bójcie się, nie zdradzę”. Faktycz-
nie, to był porządny chłop. Po
pewnym czasie przyniósł nam na
strych trochę jedzenia. Nie za-
brakło i wódki i dobrej zaką-
seczki. Posilił się, odrocze-
dził się. Cały boży dzień przesie-
dzeliśmy na tym strychu. Go-
spodarz przyniósł jednak i złe
wieści. Niemcy krają wokół So-
kołowa i kogoś szukają. Przeczeka-
ją brzegi lasów i niektóre wsie.

Zbliżał się wieczór. Dłużej
nie mogliśmy przebywać u
tego gościnnego gospodarza.
Musieliśmy jakoś przedostać
się do swych domów. Przecież na-
sze rodziny nic nie wiedziały że
wychodzimy na jakąś akcję. Go-
spodarz przygotował nam wóz do
drogi. Musieliśmy oszczędzać siły
rannego „Wichury”. Pojechaliśmy
w stronę Sokołowa. Bacznie roz-
glądaliśmy się, aby przewodkiem
nie natknąć się na Niemców. Pech
jednak nas nie opuszczał. Przed
wsią Przywózki w zapadającym
zmroku dostrzegamy podejrzany

ruch. Na drodze stały dwa wojs-
kowe samocyny, świecące na
przemian światłami. Tędy nie
przeskoczmy. To niemiecka ob-
ława. We wsi słychać jakieś krzy-
ki, nawoływania. Co robić? Ktoś
wpadł na niezły pomysł. Zsiadli-
śmy wszyscy z wozu. Lejce przy-
wiązaliśmy do kłonic, a konia
pognaliśmy batem. Pusty wóz po-
jechał w stronę wsi.

To zmyliło Niemców, a nam po-
zwoliło bez przeszkód przeskoczyć
przez tę drogę. Skryliśmy się w
tamtejszym lesie. „Wichura” był
słabiuteńki. Musieliśmy go pro-
wadzić pod ręce. Szczęśliwie uda-
ło nam się dojść do samego So-
kołowa. Na przedmieściu spokój.
Jakiś nic się nie wydarzyło. Kie-
dy przechodziliśmy w pobliżu pa-
łacu w parku w Przeździatce, w
którym „gościliśmy” ubiegłej no-
cy, „Wichura” wpadł na szaleń-
czy pomysł: — „Zobaczcie, nikt
pałacu nie pilnuje. Chodźcie, zaj-
rzymy do środka, bo moja noga
już więcej tam nie stanie”.

I poszliśmy. W pałacu cisza, ni-
kogusieńko nie ma. Ani Gramssa,
ani niemieckich wartowników.
Tak, my też ryzykowaliśmy, ale
wola dowódcy była dla nas świę-
tością. Najgorsze było to, że „Wi-
chura” sobie przepowiedział, że
już więcej nie będzie w rezyden-
cji sokołowskiego starosty... Cóż,
widocznie tak być musiało. Po
wyjściu z pałacu opłotkami prze-
dostaliśmy się do Kupientyna.
„Wichurę” zostawiliśmy u pań-
stwa Januszów, miejscowych nau-
czycieli. Oni też byli w konspi-
racji — w Armii Krajowej. Ich
mieszkanie było jedną z wielu
partyzanckich melin szefa soko-
łowskiego Kedywu. My zaś roz-
eszliśmy się do swoich domów.
Kilka dni później państwo Janu-
szowie przewieźli „Wichurę” do
jednej z nadbużańskich wiosek.
Tam się leczył i dochodził do sie-
bie. Ze trzy tygodnie go nie było...

(cdn.)

JANUSZ GRUDZIEN

tanta „Wichury”

liwy

Kim Kedywem i zabroniono
prowadzić jakiegokolwiek ak-
tywności przeciwko okupantowi. Miano
nawet zdegradować, ale nie
o tego.

dwór z rannym „Wichurą”
nie należał do łatwych.
Dwóch chłopaków prowa-
go pod ręce, ale i tak zbyt
o nie mogliśmy się poru-
Przedzieraliśmy się przez
nowity gąszcz Krzaki, zaro-
ciemna noc, nie dosłownie nie
widać. W pewnym momencie
wstało nam się, że pobłądzi-
li. Na szczęście usłyszeliśmy

tu zawitali. Tylko powierzchow-
nie opatryliśmy rannego „Wi-
churę” i dalej w drogę. „Poży-
czyliśmy” sobie od leśniczego wóz
z koniem, bo nasz dowódca nie
dał rady już iść. Sami też byli-
śmy niezłe zmęczeni tym odwro-
tem. Dźwigaliśmy broń, ciężką
broń, ale wtedy za skarby niko-
mu byśmy jej nie oddali. Poszli-
śmy w kierunku wsi Weże, chcąc
zmylić ścigających nas Niemców.

Zaczynało świtać, kiedy dotar-
liśmy do pierwszych zabudowań
tej wsi. Musieliśmy gdzieś się
skryć, bo taka duża grupa obcych
w tej okolicy mężczyźni zbyt-
by się rzuciła w oczy. A usłu-
nych i donosicieli wtedy nie bra-
kowało. Zatrzymaliśmy się w za-
budowaniach miejscowego stel-
macha-kołodzieja, człowieka zaj-
mującego się wyrobem kół i in-
nych części do wozów, bryczek.
Nie znaliśmy go, ale okazał się
on porządnym obywatelem, Pola-
kiem-patriotą. Oczywiście, powie-
dzieliśmy mu od razu, jak się
sprawy mają, że nas Niemcy
ścisają. Zresztą nie było co ukry-
wać, bo przecież broń mieliśmy
na wierzchu. Musieliśmy mu
zaufać i nie zawiedliśmy się.

Zwierzzenia adiutanta „Wichury”

Bylem więc w konspiracji. W niedługim czasie Związek Walki Zbrojnej przekształcono w Armię Krajową. Na początku nie miałem specjalnego przydziału. Nie angażowano mnie praktycznie do żadnych akcji sabotażowych czy zbrojnych, wymierzonych przeciwko okupantowi. Raczej obserwowano, chcąc jakby upewnić się co do mojej osoby Zbiórki, spotkania, szkolenia. Nadszedł jednak czas, abym i ja zdał swój egzamin bojowy, abym przekonał wszystkich, że nadaję się do konspiracji i że będzie można na mnie polegać w każdej, najtrudniejszej sytuacji. Od samego „Wichury” otrzymałem rozkaz, aby zlikwidować pana **Lanieckiego**. To był konfident niemiecki, który wydał w ręce gestapo kilku ukrywających się polskich przedwojennych oficerów.

Laniecki był dyrektorem „Pagedu” — składu drzewa w Sokołowie Podlaskim. Biura jego firmy mieściły się przy ul. Kolejowej i on tam też najczęściej urzędował. Do pomocy dostałem dwóch ludzi, jednak ich nazwisk dziś już nie pamiętam. Każdy z nas był uzbrojony. Mieliśmy ze sobą pistolety. Niestety, ta pierwsza moja akcja bojowa nie zakończyła się powodzeniem. Kiedy przyszedłem do biura „Pagedu”, pod pozorem załatwienia jakiejś tam sprawy, dyrektora Lanieckiego nie zastałem w pracy. Nie zdołałem mu więc odczytać i wykonać wyroku Sądu Podziemnego Polski Walczącej. Tym razem konfidentowi temu udało się uciec z życiem. Dopiero kilka tygodni później Lanieckiego zlikwidował pluton AK z **Kupientyna**, dowodzony przez **Paducha**. Oni mieli więcej szczęścia niż ja.

Oddział „Wichury” w roku 1942 nie przeprowadził jakichś większych akcji zbrojnych. Likwidował konfidentów i osoby współpracujące z okupantem. Działaczom zadającym się z Niemcami strzyżono dla przestrogi włosy Karano koniokradów i różne grupy bandyckie, podszywające się pod partyzantów. Rozbrajano Niemców zdobywając broń, której i tak mieliśmy bardzo mało. W tym celu partyzanci „Wichury” zaatakowali posterunek straży lotniska polowego w **Bachorzy**. W akcji na wieś **Kostki** zdobyto sześć niemieckich automatów, cztery karabiny, trzy pistolety, skrzynkę granatów zaczepnych i skrzynkę amunicji. Każda broń,

piętrze. Na przedmieściach Sokołowa „Wichura” rozdzielił zadania. Do budynku mieli wejść „Wilk”, Strus i chyba Heniek Oszał, choć być może tym trzecim był ktoś inny. Pozostali mieli zostać na zewnątrz i ostaniać ich odwrót po wykonaniu akcji.

DZIEN był chłodny, pochmurny. Na rynku pełno ludzi. To mogło nam pomóc podczas odwrotu. Tuż przed akcją któremuś z chłopaków dałem swoją kurtkę, aby mógł łatwiej ukryć broń. „Wichura” dał im znak, aby rozpoczynali. „Wilk” Adolek Strus i Oszał szybko zniknęli w drzwiach budynku. Co się tam działo, wiem z ich późniejszego opowiadania. W środku

chura” nakazał, abyśmy wycofywali się na **Rogów**. Odskokczyliśmy niezauważeni. Jak się później okazało, patrol żandarmerii też usłyszał ten wystrzał. Wpadli na rynek, ale nie wiedzieli dokładnie, co się stało. Jeden z nich zajrzał do budynku KKO. Wówczas to zorientowali się, że był napad na kasę. Wszczęto alarm. Rozpytywali się ludzie, między innymi i polskiego policjanta granatowego, w którym kierunku uciekli „bandyci”. Powiedziano im, że na **Sterdyni**. A tam to mogli sobie nas szukać.

Akcja na KKO zakończyła się pełnym powodzeniem i szczęśliwie bez żadnych strat. Zdobyliśmy 120 tysięcy zło-



Witold Ręczmień ps. „Mak” — jeden z uczestników akcji na Komunalną Kasę Oszczędności w Sokołowie Podlaskim.

Fot. Janusz Mazurek

Akcja na KKO

każdy nabój był jak na wagę złota.

Ruch oporu potrzebował nie tylko broni, ale i pieniędzy. Pieniądzy na różne cele. A to na zakup od Niemców, czy spekulantów, broni, a to na kupno żywności, ubrań i lekarstw dla

jeden z nich zerwał kabel telefoniczny, aby nikt nie mógł Niemców zawiadomić o napadzie na kasę KKO. Szybko weszli na pięterko. Pistoletami sterylizowali pracowników kasy i przypadkowych klientów. Do przygotowanych worków zaczęli pakować pieniądze przeznaczone na kon-

tych. Przekazaliśmy je dowódcy Okręgu AK — majorowi Świtalskiemu, który przeznaczył je na cele organizacyjne. Cało i zdrowo dotarliśmy do swych domów „Wichura” zaś poszedł do **Kupientyna**, gdzie u miejscowych nauczycieli, państwa **Januszów**, szczerych patriotów, miał jedną ze swych konspiracyjnych kryjówek. W okolicy Sokołowa miał ich kilka. Starał się niezbyt długo przebywać w jednym miejscu, aby Niemcy nie natrafili na jego ślad. Poszukiwali już go od wielu

cztery karabiny, trzy pistolety, skrzynkę granatów zaczepnych i skrzynkę amunicji. Każda broń,

Witold Ręczmień ps. „Mak” — jeden z uczestników akcji na Komunalną Kasę Oszczędności w Sokołowie Podlaskim.

Fot. Janusz Mazurek

Akcja na KKO

każdy nabój był jak na wagę złota.

Ruch oporu potrzebował nie tylko broni, ale i pieniędzy. Pieniądzy na różne cele. A to na zakup od Niemców, czy spekulantów, broni, a to na kupno żywności, ubrań i lekarstw dla oddziału partyzanckiego, a to na wykupienie kogoś z rąk okupanta. Nic dziwnego, że i na naszym terenie przeprowadzano tego typu akcje. Wczesną wiosną 1943 roku nadarzyła się ku temu szczególna okazja. Niemcy nałożyli na mieszkańców Sokołowa kontrybucję, najprawdopodobniej za nieoddanie w terminie kontyngentów. Nasze dowództwo dowiedziało się, że w południe tego a tego dnia pieniądze te mają być złożone w Komunalnej Kasie Oszczędności w Sokołowie. Zdecydowano się je zdobyć, tym bardziej że spodziewano się większej ilości gotówki. Komendant Obwodu AK — mjr „Socha” — Franciszek Świtalski zlecił Henrykowi Oleksiakowi — „Wichurze” przeprowadzenie tej akcji.

Jak pamiętam, zbytnich przygotowań nie robiono. Pewnego dnia rankiem w Niecieczy pojawił się „Wichura”. Spotkał mnie i „Wilka” — Wacka Wytnera. Od razu też wyjawiał, po co przybył.

— Chłopaki. W południe robimy akcję na KKO w Sokołowie. Potrzeba mi kilku ludzi. Powiadomcie kogo trzeba, tylko szybko, bo czasu mało. Weźcie ze sobą broń, bo może się przydać.

Szybko zawiadomiliśmy tych, którzy akurat byli pod ręką. Ostatecznie w akcji tej uczestniczyli „Wichura”, który dowodził, „Wilka”, „Lot” — Salach, Karpiński, Adolek Strus, Heniek Oszał i ja. Teren i miejsce akcji dobrze wszyscy znaliśmy. Niejeden raz byliśmy przecież w Komunalnej Kasie Oszczędności. Budynek ten znajdował się w centrum miasta, tuż koło sokołowskiego targowiska. Dziś mieści się w nim dworzec PKS. KKO mieściła się na

jeden z nich zerwał kabel telefoniczny, aby nikt nie mógł Niemców zawiadomić o napadzie na kasę KKO. Szybko weszli na pięterko. Pistoletami straszyli pracowników kasy i przypadkowych klientów. Do przygotowanych worków zaczęli pakować pieniądze przeznaczone na kontrybucję dla Niemców. Błyskawicznie z tym się uporali.

Naraz w budynku rozległ się strzał. Okazało się, że kiedy już się wycofywali, jednemu z nich, temu, któremu pożyczyłem kurtkę, niesczekiwanie wypalił pistolet. Usłyszeliśmy i my ten wystrzał. Nie wiedzieliśmy, co się tam w środku stało. Czyżby naszym chłopcom ktoś przeszkodził w przeprowadzeniu akcji? Czy zakończyła się ona szczęśliwie? Jednocześnie wszyscy z obawy zaczęliśmy się bacznie i nerwowo rozglądać na wszystkie strony. Inni przecież też usłyszeli ten strzał. Patrzymy, a tu pod górę w stronę rynku idzie patrol niemieckiej żandarmerii. Czy i oni usłyszeli wystrzał? Tego nie byliśmy pewni. Czekaliśmy na znak „Wichury”, by ewentualnie przystąpić do akcji i zacząć ostrzeliwać zbliżający się patrol, by w ten sposób dać czas na wycofanie się naszym kolegom. „Wichura” jednak czekał. I on, i my, zdawaliśmy sobie sprawę, że przewaga ogniowa jest po stronie Niemców i możemy się znaleźć w niezwykle trudnej sytuacji. „Wichura” nie chciał dopuścić do strzelaniny. Złapał sobie sprawę, że gdybyśmy zaatakowali żandarmów, to Niemcy w odwecie zemściłoby się na miejscowej ludności. Zapewne rozstrzelaliby ze 30 zakładników.

Na szczęście w tym momencie z budynku KKO wybiegli nasi chłopcy. Wszyscy trzej mieli w rękach worki z pieniędzmi. Teraz każdy z nas myślał tylko o jednym — aby szybko i bezpiecznie się wycofać. Całą grupą wzmieszaliśmy się w tłum. „Wi-

tych. Przekazaliśmy je dowódcy Okręgu AK — majorowi Świtalskiemu, który przeznaczył je na cele organizacyjne. Cało i zdrowo dotarliśmy do swych domów. „Wichura” zaś poszedł do Kupientyna, gdzie u miejscowych nauczycieli, państwa Januszów, szczerych patriotów, miał jedną ze swych konspiracyjnych kryjówek. W okolicy Sokołowa miał ich kilka. Starał się niezbyt długo przebywać w jednym miejscu, by Niemcy nie natrafili na jego ślad. Poszukiwali już go od wielu miesięcy, wyznaczając nawet za jego głowę nagrodę w wysokości 100 tysięcy złotych, którą w niedługim czasie podwyższyli do 200 tysięcy. „Wichury” nikt jednak nie zdradził.

Jeszcze dziś przechodzą mi ciarki, jak przypominam sobie tę akcję na sokołowską Komunalną Kasę Oszczędności. Przecież byliśmy bardzo słabo uzbrojeni. Ja wtedy w łufie swego „Waltera” miałem tylko jeden pocisk. Tak, dosłownie jeden pocisk. Inni podobnie. Jeden nabój — jeden strzał i nic więcej. W starciu z Niemcami nie mielibyśmy żadnych szans. Ale byliśmy gotowi bronić swych kolegów. Do końca, by mogli się bezpiecznie wycofać. Tak, igraliśmy ze śmiercią i to nieraz. Cóż, młodzi byliśmy, chcieliśmy walczyć z Niemcami i walczyliśmy. Akcję musieliśmy przeprowadzić, by okupant nie czuł się na naszych ziemiach zbyt pewnie i bezpiecznie.

Tacy byliśmy. Nieraz jednak zadaję sobie pytanie, czy i dzisiejsza młodzież tak samo by zareagowała. Ja twierdzę, że tak, a nawet, że z większym, niż my, zaangażowaniem by to robiła. Bo przecież dzisiejsza młodzież jest bardziej wykształcona, lepiej rozumiejąca obecne problemy. Nieprawda, że jest ona nijaka, apoleczna. Wręcz przeciwnie — jest wspaniała i tak jak my, wtedy przed czterdziestu pięciu laty, tak i ona dziś przelewałaby krew, oddawała życie za Ojczyznę, za Polskę, gdyby tylko zaszła taka potrzeba. Ja w to wierzę...

(cdn)

JANUSZ GRUDZIEŃ

WICHURA" nie mógł sobie darować tych wszystkich wcześniejszych, nieudanych zamachów i zasadzek na niemieckiego starostę powiatu sokołowskiego Ersta Gramssa. Cały czas myślał po jednym — jak dopaść kata Podlasia i zemścić się na nim. I wykombinowali „Wichura” postanowił dopaść Gramssa tam, gdzie i on, i Niemcy najmniej mogli się tego spodziewać. A miejscem takim był pałac w sokołowskim parku w Przędziatce, w którym starosta stale rezydował i mieszkał. To ten budynek, w którym po wojnie, jeszcze do niedawna, mieścił się szpital miejski. Akcja niezwykle ryzykowna, bo przecież pałac był mocno strzeżony, a w pobliżu stacjonował Wehrmacht i Schupo. Okolice tego terenu często patrolowała niemiecka policja i żandarmeria. Gramss faktycznie czuł się tam bezpiecznie i bezpiecznie.

Taki plan mógł tylko wymyślić Jeleniek Oleksiak — człowiek niezwykle odważny, pełen fantazji i lubujący się w przeprowadzaniu ryzykownych, brawurowych akcji. Dowództwo AK jednak nie godziło się na jej przeprowadzenie. Uważano, że z góry jest ona skazana na niepowodzenie i może przynieść tylko nieobliczalne straty. „Wichura” jednak był przekonany o słuszności i realności swego pomysłu i nie zamierał rezygnować z tej akcji. Postanowił ją przeprowadzić na własną rękę, w tajemnicy przed innymi przełożonymi z Armii Krajowej.

Pewnego jesiennego dnia „Wichura” zawiadomił mnie, abym zebrał kilku odważnych i pewnych chłopaków. Domyślałem się, że szykuje się jakaś poważniejsza akcja. Następnego dnia, a było to 26 października 1943 roku, stawiłem się w umówionym miejscu. Zapadał zmierzch. Chłopcy z kupientyna już na nas czekali. Był Marjan Piduś, Januszewski i inni. „Wichura” sprowadził też grupę „Wilczka” — kilku AK-owców z Jabłonny Lackiej. Jego ojciec wydawał w tamtejszym urzędzie kennkarty i pomagał naszym ludziom z konspiracji. W umie było nas dwudziestu.

Zapadła noc. Oplotkami, omijając miasto, by nie natknąć się na patrole niemieckiej żandarmerii, przedostaliśmy się na drugą stronę Sokołowa. Byliśmy już w pobliżu parku i pałacu w Przędziatce. Zatrzymaliśmy się już koło dużego spichlerza, stojącego przy drodze na Ząbków. Wtedy wszyscy dowiedzieli się, jaka to robota nas czeka.

— Robimy akcję na pałac i Gramssa — powiedział „Wichura”. Zapadła cisza. Niejednemu z chłopaków zrzędała mina. Byliśmy przecież niezbyt dobrze uzbrojeni. Przeważała broń krótka. Trochę granatów zaczepnych i to wszystko. Automatów nie mieliśmy żadnego. A Niemcy i wartownicy uzbrojeni po uszy. Na wycofanie się było już za późno. „Wi-

chura” zaczął wydawać rozkazy, tłumaczyć — co kto ma robić.

— Wszyscy przeskakujemy przez mur, bo tu na drodze można się natknąć na patrol żandarmerii. Ukrywamy się w parku. „Wilczek” ze swymi ludźmi są w obstawie. Musimy najpierw rozbroić wartownika przy bramie, a następnie pozostałych Niemców, którzy o tej porze powinni siedzieć w tym drewnianym baraku. Pamiętajcie, w parku zachowujemy ciszę. Żadnych rozmów i hałasów. Zrozumiano?!

Zwierzzenia adiutanta „Wichury”

Co tu było do tłumaczenia? Trzeba było działać i już. „Wichura” dał znak i wszyscy po kolei przedostawali się przez mur koło małej kępki świerków do przypałacowego parku. Szybko to poszło. Chłopcy skryli się pod murem. Teraz najważniejszym było, aby po cichu unieszkodliwić strażnika przy głównej bramie, a następnie pozostałych wartowników. Musieliśmy się spieszyć, gdyż obawialiśmy się, że lada chwila nastąpi zmiana warty i Niemcy dostrzegą obcych ludzi w parku. To mogło spalić na panewce całą naszą akcję. Słyszę szept „Wichury”:

— Dwóch na ochotnika do mnie!

Powtórzył to jeszcze raz, potem drugi, ale nikt nie reagował. A czas uciekał. Wtedy zgłosiłem się ja i mój bardzo dobry kolega Stanisław Toczyski pseudonim „Jeleń”. Podeszliśmy do dowódcy, a „Wichura” z przekąsem stwierdził:

— No tak. Spodziewałem się, że to akurat wy będziecie. Na innych zbyt mało liczyłem. To do brze, że to wy, bo potrzeba mi pewnych i odważnych ludzi. Pozostali niech czekają na nasz znak. Idziemy!

Po drodze „Wichura” mówi do mnie: — „Słuchaj „Mak”! Akcja jest poważna i niebezpieczna. Nie wiem, czy nam się powiedzie, kto przeżyje. Wyspowiadajmy się więc Bogu, bezpośrednio Bogu, bo kapłana nie ma”. — I we trzech to zrobiliśmy. Cicho skradamy się pod główną bramę. Bacznie obserwujemy wartownika. Jest sam, to dobrze. Wartownik leniwym krokiem spaceruje w tę i z powrotem. Co pewien czas patrzy, co się dzieje za murem, za bramą. Jesteśmy już blisko, bardzo blisko. „Wichura” pistoletem w rękę pierwszy doskakuje do wartownika i krzyczy: „Hande hoch”. Niemiec zatrzymał się zbaraniał. Nie wiedział, co się stało. Nie spodziewał się kompletnie, że ktoś może go zaatakować od strony parku. W tym czasie doskakujemy i my z „Jeleniem”, każąc mu podnieść ręce do góry. Zareagował od razu. Przestraszony, zaczął się jękać:

— Pa... Panowie, ja, ja wiem po... po co wy żeście przy... przyszli...

Nie zamierzaliśmy jednak z nim dyskutować. Rozbroiliśmy go, a „Wichura” kazał mu otworzyć bramę, abyśmy po akcji mogli się szybko wycofać. Zadaje też Niemcowi kolejne pytania.

— Gdzie reszta wartowników?

— Wszyscy są w baraku.

— A hasło? — Tym razem, mimo powtarzania pytania, Niemiec milczy. „Wichura” przeprowadza więc z nim rozmowę po męsku”

mykane. A starosta w nocy nisko mu ich nie oworzy. Nawet swoim, nawet własnej żonie, gdyby teraz przyjechała nie wiem skąd. Tak się boi partyzantów. Nie otworzy nawet nam wartownikom.

Co robić w tej sytuacji? Mogliśmy się zadowolić zdobyciem broni i mundurów i wycofać bez strat. Mogliśmy zabrać Niemców ze sobą do lasu i tam się z nimi rozprawić. To nie to. Przecież naszym głównym celem było do-

Ucieczka Gramssa

— leje go ręką w twarz. Pomógł. Chcieliśmy bez zgłoszenia dostać się do baraku, gdzie byli pozostali wartownicy. A bez hasła musiałoby dojść do strzelaniny.

Bierzemy z „Jeleniem” wartownika w środek i idziemy do baraku. W międzyczasie „Wichura” dał znać pozostałym chłopakom, aby otoczyli ten budynek. W oknach palą się światła. W baraku słychać niemiecki szwargot. Stukamy w drzwi.

— Wer ist da? — rozlega się gardłowe pytanie. A wartownik, czując lufy naszych pistoletów na swych plecach, bez namysłu recytuje hasło. Drzwi się otwierają. My we trzech, popychając wartownika, gwałtownie wpadamy do środka baraku z pistoletami w rękę. Część Niemców porzuca grę w karty. Krzyczą z przerażenia i chowają się pod piętrowymi łózkami. Wartownia jest nasza. W kącie dotrzegamy ustawioną w kozły broń. Takie krótkie karabinki i pistolety maszynowe. Błyszczące, eleganckie. Na widok tej broni aż się nam oczy roześmiały. Była już nasza, zdobyczna.

Broń, amunicję i granaty od razu porozdawaliśmy chłopakom. Niemcom kazaliśmy się rozebrać do bielizny, a ich mundury zabraliśmy. Mogły się przecież przydać w przyszłych akcjach. Któryś z naszych chłopaków przybiega i mówi, że w pałacu wszystkich drzwi i okna są pozamykane. Konsternacja. Co robić dalej? „Wichura” pyta wartowników, czy starosta jest w teraz w pałacu i jak się dostać do środka. Niemcy znacząco spoglądają jeden na drugiego. Wreszcie jeden odważniejszy, był to volksdeutsch, odpowiada po polsku:

— Starosta jest w pałacu, ale żadne skarby nie dostaniecie się do środka. Wszystkie drzwi poza-



Witold Ręczmień, ps. „Mak”: — Wł...

Nie zamierzaliśmy jednak z nim dyskutować. Rozbroiliśmy a „Wichura” kazał mu otworzyć bramę, abyśmy po akcji mogli szybko wycofać. Zadaje Niemcowi kolejne pytania.

— Gdzie reszta wartowników?

— Wszyscy są w baraku.

— A hasło? — Tym razem, mimo powtarzania pytania, Niemiec ledzi. „Wichura” przeprowadza z nim rozmowę po męsku”

„Wichury”

Jcieczka Gramssa

Wyciąga go ręką w twarz. Pomoc. Chcieliśmy bez rozgłosu dotrzeć się do baraku, gdzie byli postawieni wartownicy. A bez hasła musiałoby dojść do strzelaniny.

Wierzymy z „Jeleniem” wartownika w środek i idziemy do baraku. W międzyczasie „Wichura” dał znać pozostałym chłopakom, aby otoczyli budynek. W oknach palą światła. W baraku słychać smiechki szwargot. Stukamy w drzwi.

— Wer ist da? — rozlega się rdołowe pytanie. A wartownik, ujmując lufy naszych pistoletów na swoich plecach, bez namysłu recytuje hasło. Drzwi się otwierają. W trzech, popychając wartownika, gwałtownie wpadamy do środka baraku z pistoletami w rękach. Część Niemców porzuca grę w karty. Krzyczą z przerażenia i chowają się pod piętroowymi ławkami. Wartownia jest nasza. W kącie dostrzegamy ustawioną w kącie broń. Takie krótkie karabniki i pistolety maszynowe. Błyszące, eleganckie. Na widok tej broni aż się nam oczy roześmiały. Była już nasza, zdobycza.

Broń, amunicję i granaty od razu poroźdzawaliśmy chłopakom. Niemcom kazaliśmy się rozebrać do bielizny, a ich mundury zabrać. Mogły się przecież przydać w przyszłych akcjach. Jeden z naszych chłopaków szybko biegnie i mówi, że w pałacu wszystkie drzwi i okna są pozamykane. Konsternacja. Co robić dalej? „Wichura” pyta wartowników, czy starosta jest w pałacu i jak się dostać do środka. Niemcy znacząco spoglądają jeden na drugiego. Wreszcie jeden odważniejszy, był to volksdeutscher, odpowiada po polsku:

mykane. A starosta w nocy niko mu ich nie owoży. Nawet swoim, nawet własnej żonie, gdyby teraz przyjechała nie wiem skąd. Tak się boją partyzantów. Nie otworzy nawet nam wartownikom.

Co robić w tej sytuacji? Mogliśmy się zadowolili zdobyciem broni i mundurów i wycofać bez strat. Mogliśmy zabrać Niemców ze sobą do lasu i tam się z nimi rozprawić. To nie to. Przecież naszym głównym celem było do-

stać się z nią nawet wtedy, kiedy kładł się spać. A „Wichura” chciał uniknąć strzelaniny, bowiem zaalarmowałaby ona stajonujących w pobliżu pałacu Niemców i często krążące w tej okolicy patroli żandarmerii. To mogłoby źle się skończyć dla naszego oddziału.

„Pomoc” przyszła z najmniej spodziewanej strony. Jeden z wartowników, też volksdeutsch, podszedł do nas i powiedział szeptem: — „Z tyłu pałacu są drzwi zamknięte nie na klucz, lecz na trzy zasuwki. Trzeba jednak wejść do środka, by je odsunąć”. — To była szansa. „Wichura” natychmiast kazał Niemcowi, by zaprowadził nas na miejsce. Pod broń wzięliśmy też innych wartowników. I dla osłony, i po to, by pokazali, w którym pokoju przebywa Gramss. Zgodnie z wcześniejszym planem „Wilczek” ze swoimi ludźmi otoczyli pałac, aby nikt nie wymknął się z naszych rąk.

Wreszcie nadszedł kulminacyjny moment tej akcji. Drzwi rzeczywiście okazały się solidne i zamknięte na cztery spusty. Nad nimi było małe okieneczko. „Jeleń” sam się zgłosił, że wejdzie przez nie do środka i otworzy drzwi do pałacu. Oddał komuś broń, aby mu nie przeszkadzała we wspinaczce, a mnie powiedział, aby go podsadził. Wszedł na moje ramiona i pięści uderzył w szybę okienka. Tylko łoskot poszedł. Ja i jeszcze któryś z chłopaków zaczęliśmy go za nogi podsadzać do góry. „Jeleń” błyskaw-

nie prześliznął się przez to okienko i wskoczył do środka. Rzyknął wiele, bo przecież Gramss mógł usłyszeć brzęk tłuczonej szyby...

„Jeleniowi” jednak dopisało szczęście. Rozległ się szcęk odsuwanych zasuw i drzwi do pałacu stanęły otworem. Błyskawicznie wpadliśmy do środka, prowadząc przed sobą volksdeutscherów. Zatrzymujemy się przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami. „Wichura” pierwszy chwytając za klamkę, powoli naciska ją i... w tym momencie zza drzwi rozlega się seria pistoletu maszynowego. „Wichura” zachwiał się i krzyknął: — „Jestem ranny. Ratujcie mnie!”

To strzelał starosta Gramss, bo przecież nikogo innego w tym czasie nie było w pałacu. My też z miejsca odpowiedzieliśmy ogniem. Ci, co stali najbliżej, puścili w tę drzwi serie ze zdobycznych pistoletów. Cisza. Gwałtownie otwieramy drzwi. W tym korytarzu już nikogo nie było. Biegniemy dalej. Wpadamy do jakiegoś pokoju. Na podłodze widzimy porzucony pistolet maszynowy. W pokoju otwarte okno. Tylko wiatr targa firankami. Klniemy na czym świat stoi. Gramss znów nam się wymknął. Uciekł przez okno...

(cdn)

JANUSZ GRUDZIEŃ



Witold Ręczmień, ps. „Mak”; — Właśnie przez to okno uciekł nam z pałacu Gramss..

— Starosta jest w pałacu, ale za żadne skarby nie dostaniecie się do środka. Wszystkie drzwi poza-

Czas przejść do wspomnień o swoistym pojedynku, o walce na śmierć i życie, jaką prowadził nasz dowódca, komendant grupy dywersyjnej sokołowskiego Kedywu „Wichura” — Henryk Oleksiak ze starostą niemieckim na powiaty Sokołów i Węgrów — dr. Ernstem Gramsem. Właśnie on był bezpośrednio odpowiedzialny za masowe prześladowania i represje wobec miejscowej ludności za łapanki, aresztowania, publiczne egzekucje, za zsyłkę do obo-

ślano w specjalnych obwieszczeniach rozlepianych na ulicznych słupach. Kazał aresztować i uwięzić matkę „Wichury”, a dom Oleksiaków w Sokołowie rozebrać do fundamentów. Z cegły tej zaś polecił wybudować szalet miejski. Tak, szalet. W rewanżu „Wichura” zapowiedział, że już wkrótce utopi starostę w tym szalecte. I być może by to zrealizował. W międzyczasie przeprowadził brawurową i udaną akcję na sokołowskie więzienie. Uwolnił więźniów, między innymi „Mściciela”

A Niemcy byli coraz bliżej. Już byli na odległość strzału karabinowego. A my czekaliśmy aż podejda jeszcze bliżej, jeszcze bliżej... Czekaliśmy tylko na znak „Wichury”, by wreszcie definitywnie rozprawić się z Gramsem. Niestety. „Wichura” nie zdążył wydać rozkazu, by rozpocząć ogień, gdyż.. nieoczekiwanie z naszej strony rozlega się strzał karabinowy. Konsternacja i chwilowa cisza. Pierwsi ocknęli się Niemcy i otworzyli w naszym kierunku gwałtowny ogień z pistoletów

Zwierzienia adiutanta „Wichury” (2)

Zasadzka w lesie Przeździatka

zów pracy i obozów koncentracyjnych, jak też na roboty do III Rzeszy. On też był głównym inicjatorem utworzenia w Treblince karnego obozu pracy. Tu u nas, na Podlasiu, zwano go „Krwawym Landratem”.

„Wichura” kilka razy organizował zamachy na Gramssa. To prawda, że niektóre z nich przeprowadzał na własną rękę, nie mając na nie zgody Komendy naszego Okręgu AK. Pierwszą próbą zasadzek na starostę sokołowskiego były całkowicie nieudane. Gramss albo jechał inną drogą, albo w ostatniej chwili rezygnował z wyjazdu w teren. Dopiero pod koniec maja 1943 roku „Wichurze” po raz pierwszy udało się dopaść „Krwawego Landrata”. Nie, ja w tej akcji nie brałem udziału. Przebieg jej znam z późniejszych relacji chłopców i samego „Wichury”.

Akcję tę przeprowadził nasz czteroosobowy patrol AK. Dowodził oczywiście sam „Wichura”. Zasadzkę zorganizowano w samym Sokołowie na ulicy Lipowej tuż przed przelazem kolejowym. Tędy właśnie Gramss bardzo często jeździł do swojej rezydencji w pałacu w Przeździatce. Tym razem „Wichurze” szczęście dopisało, ale nie do końca. Choć zaatakowano i ostrzelano samochód, w którym jechał Gramss, jemu samemu udało się wyjść cało z tego zamachu. A następnego dnia starosta w trosce o swe bezpieczeństwo zamknął dla ruchu publicznego wszystkie ulice prowadzące do majątku Przeździatka, w tym także i ulicę Lipową. Tylko policja, wojsko i Niemcy mogli się po nich swobodnie poruszać.

Gramss nie poprzestał na tym. Wyznaczył wysoką nagrodę za złapanie przywódcy „sokołowskiej bandy morderczej”, jak to okre-

— Stanisława Małyszewskiego, żołnierza Armii Krajowej, aresztowanego kilkanaście dni wcześniej przez Niemców, oraz swoją matkę. Długo o tym rozpowiadano w całej okolicy.

„Wichura” rozważył różne możliwości, by dopaść i zlikwidować Gramssa. Nasz wywiad ustalił, że starosta sokołowski dość często wyjeżdżał na polowania do pobliskiego lasu koło Przeździatki. Współpracujący z Armią Krajową leśnicy i gajowi przekazali wiele cennych informacji. Wiedzano więc mniej więcej w jakie dni i w której części przeździatckiego lasu najczęściej Gramss poluje, jaką ma obstawę, którymi przecinkami i leśnymi drogami zazwyczaj się porusza. I „Wichura” postanowił to wykorzystać. Zaplanował więc zorganizować zasadzkę na starostę właśnie w tym lesie. I otrzymał na to zgodę swych przełożonych.

Pewnego dnia do nas do Niemceży przyjechał „Wichura”. Mówił, abyśmy zebraли kilku chłopaków i jutro czekali na niego w lesie koło Przeździatki. Czuliśmy, że szykuje się jakaś poważniejsza akcja. Na punkt zborny w lesie tuż za Sokołowem przyszło nas siedmiu. Było to 12 października 1943 roku. Pamiętam to dobrze, edyż następnego dnia obchodziłem swoje 21 urodziny. Punktualnie na punkcie zbornym pojawił się „Wichura”. Przywitał się z każdym i oznajmił:

— No chłopaki, dzisiaj robimy akcję na Gramssa. Tu w lesie przeździatckim. Dostaliśmy cynk, że starosta z kilkoma osobami wybiera się tutaj na polowanie. I dobrze, my też sobie na niego zapolujemy.

Akcję tę „Wichura” dobrze zaplanował. Zasadzkę zorganizowaliśmy na skrzyżowaniu dwóch głównych dróg leśnych. Byliśmy dobrze ukryci. Czekaliśmy na

maszynowych. Tylko kule bzykały nad naszymi głowami, strącając liście i gałązki z krzaków. Aż strach było unieść głowę. Wszyscy przywarliśmy do ziemi. Po chwili i my rozpoczęliśmy ostrzeliwać Niemców. Tylko co to była za wymiana ognia? Niemcy pruli z automatów do nas ile wlezie, a my do nich z karabinów i pistoletów. I jeszcze ta świadomość, że mamy po kilka lub kilkanaście nabo-

Niemcy jednak zaczęli się powoli wycofywać. Oni panicznie bali się lasu. Bali się, że nas jest znacznie więcej. Strzelaliśmy jeszcze do nich, ale bez rezultatu. Gramss z obstawą nawet nie chcieli skorzystać ze swego samochodu, którym przyjechali na polowanie, tylko uciekali przez las. Ich sylwetki migaly nam między drzewami. Ruszyliśmy nawet za nimi w pościg, ale co z tego. Po pewnym czasie zaprzestaliśmy tej gonitwy. Gramssowi po raz kolejny udało się uciec z życiem.

Wszyscy żalowaliśmy, że przez nieuwagę, nieostrożność jednego z nas ta zasadzka nie zakończyła się powodzeniem. Gdyby nie ten przedwczesny strzał, to Gramss wszedłby w naszą zasadzkę. Byliśmy dobrze i sprytnie ukryci. Starosta podszedłby ze swymi ludźmi nawet na 10 metrów i nie dostarczyłby ukrytych chłopaków. A taki zamiar miał „Wichura”, by Niemców podpuścić jak najbliższej i wtedy otworzyć gwałtowny ogień. Z tak bliskiej odległości to nie ma cudów — żaden ze szwabów nie wyszedłby żywy.

Cóż, tak to jest, że Bóg zawsze komuś w nieodpowiednim momencie rozum odbierze. Wiedzieliśmy, oczywiście, kto się pospieszył i bez rozkazu otworzył ogień. Nie i dziś mało ważne jest jego nazwisko, bo i po co. Stało się. Mógł „Wichura” po akcji wyciągnąć wobec niego jakieś konsekwencje. Ale po co? Przecież nasza partyzantka to nie było jakieś regularne wojsko, to nie armia, to nie czynna służba wojskowa. W Armii Krajowej, jak też i w innych oddziałach konspiracyjnych, wielu było chłopaków młodych, nieprzeszkolonych. I co od nich było wymagać? Chcieli walczyć i walczyli. A że czasami dochodziło do takich sytuacji jak podczas tej zasadzki na Gramssa w lesie przeździatckim, cóż, trudno. Chęć powiedzieć, że przed tą akcją „Wichura” miał dobre

Tędy właśnie Gramss bardzo często jeździł do swojej rezydencji w pałacu w Przeździatce. Tym razem „Wichurze” szczęście dopisało, ale nie do końca. Choć zatakowano i ostrzelano samochód, w którym jechał Gramss, jemu samemu udało się wyjść cało z tego zamachu. A następnego dnia starosta w trosce o swe bezpieczeństwo zamknął dla ruchu publicznego wszystkie ulice prowadzące do majątku Przeździatki, w tym także i ulicę Lipową. Tylko policja, wojsko i Niemcy mogli się po nich swobodnie poruszać.

Gramss nie poprzestał na tym. Wyznaczył wysoką nagrodę za złapanie przywódcy „sokołowskiej bandy morderczej”, jak to okre-

że szykuje się jakaś poważniejsza akcja. Na punkt zborny w lesie tuż za Sokołowem przyszło nas siedmiu. Było to 12 października 1943 roku. Pamiętam to dobrze, gdyż następnego dnia obchodziłem swoje 21 urodziny. Punktualnie na punkcie zbornym pojawił się i „Wichura”. Przywitał się z każdym i oznajmił:

— No chłopaki, dzisiaj robimy akcje na Gramssa, tu w lesie przeździatki. Dostaliśmy cynk, że starosta z kilkoma osobami wybiera się tutaj na polowanie. I dobrze, my też sobie na niego zapolujemy.

Akcję tę „Wichura” dobrze zaplanował. Zasadzkę zorganizowaliśmy na skrzyżowaniu dwóch głównych dróg leśnych. Byliśmy dobrze ukryci. Czekaliśmy na Gramssa, choć nie byliśmy w stu procentach pewni, czy się pojawi. Czy, jak to miał w zwyczaju, znów w ostatniej chwili nie zrezygnuje z wyjazdu na polowanie. Każdy z nas w duchu jednak myślał, że tym razem dopadniemy zniechodzonego starostę powiatu sokołowskiego i wreszcie policzymy się z nim „Wichura” co pewien czas przypominał: „Zabezpieczyć dobrze broń. Strzelać tylko na mój rozkaz. Powtarzam, że by mi nikt wcześniej nie otworzył ognia!” Cóż, człowiek jest człowiekiem, a nasz dowódca obawiał się, że jak ktoś z nas zobaczy tu w lesie Gramssa, to bez namysłu otworzy ogień, by wreszcie sprzątnąć z tego świata karta Sokołowa i Podlesia. Na nieszczęście, sprawdziły się te jego przypuszczenia.

Wszyscy czekamy w zasadzce. Każdy trochę się już niecierpliwi. Tuż przy drodze leży „Wichura” i bacznie obserwuje przez lornetkę teren. Ja zajmuję stanowisko tuż obok niego. Wszyscy zachowujemy ciszę. Słychać tylko szum drzew. Naraz „Wichura” podaje mi lornetkę i mówi: „Zobacz Mak”. W oddali widzimy idące skrajem leśnej drogi trzy osoby. Podchodzą bliżej. To Gramss i dwóch żandarmów z automatami w rękę. Za nimi na końcu drogi stał samochód, którym przyjechali do lasu. Krzątał się przy nim kierowca. — „No to Gramss jest już nasz” — pomyślałem sobie. „Wichura” jeszcze raz przypominał, aby czekać na jego rozkaz i dopiero wtedy otworzyć ogień.

Cóż, tak to jest, że Bóg zawsze komuś w nieodpowiednim momencie rozum odbierze. Wiedzieliśmy, oczywiście, kto się pospieszył i bez rozkazu otworzył ogień Nie i dziś mało ważne jest jego nazwisko, bo i po co Stało się. Mógł „Wichura” po akcji wyciągnąć wobec niego jakieś konsekwencje. Ale po co? Przecież nasza partyzantka to nie było jakieś regularne wojsko, to nie armia, to nie czynna służba wojskowa. W Armii Krajowej, jak też i w innych oddziałach konspiracyjnych, wielu było chłopaków młodych, nieoprzekolowanych. I co od nich było wymagać? Chcieli walczyć i walczyli. A że czasami dochodziło do takich sytuacji jak podczas tej zasadzki na Gramssa w lesie przeździatki, cóż, trudno. Chcę powiedzieć, że przed tą akcją i „Wichura” miał dobre zdanie o tym chłopaku. Był pewny, odważny i zdyscyplinowany. Można było na niego liczyć. I wcześniej nikt się na nim nie zawiodł, ot choćby podczas akcji na stację i podjazd w Bielszynie...

Po tej nieudanej zasadzce w lesie Przeździatki wracamy do domu markotni. Zatrzymaliśmy się na chwilę u pana Lecha, masarza w Sokołowie. Jego synowie należeli do Armii Krajowej. Peni Lachowi często dostarczałem mięso, a on wyrabiał wedliny dla partyzantów, dla tych którzy musieli przebywać w leśnych oddziałach. Trochę tam wypiłem, aby ukołoić nerwy i żal. Chcę w tym momencie powiedzieć że „Wichura”, jak szedł na jakąś akcję, nigdy nie pił wódki. Inni nie powiem, pili przed i po akcji. Chcieli sobie dodać odwagi, pewności. Nie zawsze im to „na zdrowie” wychodziło. Odwaga odwagą, brawura brawurą, ale podczas akcji trzeba myśleć, by nie popełnić takiego głupstwa, które zniweczy wysiłek wszystkich. Różnie też kończyło się „oblewanie” udanej akcji...

(cdn.)

JANUSZ GRUDZIŃ

PS. Być może zamach na Gramssa w lesie Przeździatka miał miejsce dwa dni wcześniej, bowiem starosta powiatowy w Sokołowie Podleskim Ernst Gramss w specjalnym obwieszczeniu nr 274 z 11 października 1943 roku poinformował społeczeństwo o napadzie „sokołowskiej bandy morderców” na samochód ciężarowy w lesie Przeździatka. Wezwał jednocześnie ludność do pomocy w wyśledzeniu tych „bandytów” (przyp. — JGR).

Wwiad i kontrwiad oraz referat VII (wojskowy) Armii Krajowej w poszczególnych okręgach, obwodach i ośrodkach zajmowały się zbieraniem nie tylko informacji o wiadomości o wł dzach okupacyjnych, o dyslokacji i sile stacjonujących i przejeżdżających oddziałów wermachtu o ludziach współpracujących z Gestapo, żandarmerią i władzami niemieckimi. Mieli też za zadanie rozpracowywanie organizacji prokomunistycznych i lewicowych, a zwłaszcza wszystkiego, co było związane z Polską Partią Robotniczą. Pisałem o tym szerzej w poprzednim numerze „TS”.

Rozpracowywano i inwigilowano, oczywiście, też i ludzi z innych organizacji i ugrupowań o całkiem odmiennych zapatrywaniach politycznych. Chodziło tu o grupy i oddziały partyzanckie wrogie lub nie podporządkowane Armii Krajowej, działające na własną rękę. Zadania te precyzował tajny rozkaz komendanta AK Obwodu Sokołów Podlaski — mjra Franciszka Światalskiego ps. „Socha” z 21 września 1943 roku. I ludzie z referatu II i VII w terenie starali się, w miarę swych możliwości, realizować wytyczne z tego dowództwa.

W archiwaliach i dokumentach lat okupacji, dotyczących powiatu sokołowskiego, natknąłem się na tajny raport z końca 1943 roku. Wpłynął on do szefa wywiadu AK na gminę Kosów Lacki — inżyniera Czesława Pogorzelskiego ps. „Kalisz”, „Cis”, „Jawor”. Jego nadawcą był Edward Pawlicki ps. „Jur”. Z zawodu był on nauczycielem przesiedlonym przez Niemców na teren powiatu sokołowskiego z Wielkopolski. Tu zatrudnił się w Urzędzie Gminy w Kosowie Lackim. Zarazem aktywnie działał też w miejscowej konspiracji, pełniąc funkcję dowódcy kompanii w tym Ośrodku AK. „Jur” w swym raporcie do „Jawora” pisał wówczas:

„Personel agronomów gminnych odpowiada zadaniom. Agrom rejonowy p. MIKISZKO WŁODZIMIERZ podaje się za Polaka. Ostatnio jednak, jak stwierdził p. JAWORSKI z Dębowa, agronom gminny z Chruszczewki p. MIKISZKO należy do ukraińskiej organizacji ukraińskiej z planami specjalnymi na tutejszym terenie gminy Kosów, Olchów, Chruszczewka...”

Z dostępnych źródeł i dokumentów nie udało mi się stwierdzić, co to była za ukraińska organizacja, działająca w końcu roku 1943 w północnych rejonach powiatu sokołowskiego.

Z innych ugrupowań, występujących na tym terenie, dowództwo Armii Krajowej szczególną wagę przykładano do ludzi związanych z KONFEDERACJĄ NARODU. To konspiracyjne ugrupowanie polityczno-wojskowe powstało pod koniec września 1940 roku. W jego skład weszły takie organizacje jak: Tajna Armia Polska (TAP), Gwardia Obrony

zreformowana gospodarczo, politycznie i kulturalnie. Polska miała być swoistym imperium obejmującym ziemie piastowskie i Polski Jagiellońców. Wsuwano hasła nacjonalizacji wielkiego przemysłu, banków, kopalni, rolnictwo zaś miało być oparte na samodzielnych, niepodzielnych, samowystarczalnych gospodarstwach chłopskich. W warunkach okupacyjnych nastawiano się na zbrojną wal-

Piasecki uważał, że w polityce zwycięża, kto atakuje, kto działa, nie ten, kto czeka na międzynarodowe opinie, plebiscyty. Pisząc, „Polskę niepodległą musimy wywalczyć sami”, uważał, że konspiracji oddziały wojskowe nie powinny stać z bronią u nogi, lecz winny być z razu rzucone do walki partyzanckiej z niemieckim okupantem.

W połowie października 1943 roku właśnie w Lasach Sterdy

Z archiwów AK

Żołnierze Batalionów Uderzeniowych



Narodowej (GON), Związek Czynu Zbrojnego (ZCZ), „Pobudka”, „Wawel”, „Znak”. Inicjatorami utworzenia Konfederacji Narodu byli: mjr. Jan Włodarkiewicz z TAP, późniejszy komendant organizacji wywiadowczo-bojowej AK „Wachlarz”, mecenas Witold Kosciszewski z „Pobudki” i Bolesław Piasecki, powojenny organizator i przywódca Stowarzyszenia „PAX”.

Co do politycznego zabarwienia Konfederacji Narodu w minionych latach narosło wiele nieporozumień. W żadnym wypadku nie była to bezpośrednia kontynuacja przedwojennego ruchu narodowo-radykalnego, kładącego nacisk na totalitaryzm i antysemityzm. Naczelne hasła KN to: „Jedność — Wolność — Bóg”. Konfederacja Narodu dążyła do tego, aby Polska była wielka, sprawiedliwa,

Upowszechnianiu ideologii i propagowaniu działalności Konfederacji Narodu służyła ich konspiracyjna prasa, m.in. „Nowa Polska”, „Do Broni”, miesięcznik „Sztuka i Naród”, którego redaktorem naczelnym w pewnym okresie był znany poeta Tadeusz Gajcy. Wydawano też pisma młodzieżowe „Młodzież Imperium” i „Iskrę”.

Jak wspominałem, Konfederacja Narodu od początku stawiała na zbrojną walkę z niemieckim okupantem z „ofiarną gotowością przelania krwi własnej w walce o niepodległość”. W pierwszym okresie utworzono pion wojskowy — Konfederację Zbrojną, do której weszły oddziały skonfederowanych organizacji. W połowie 1942 roku pierwszoplanową rolę w Konfederacji Narodu zaczął odgrywać Bolesław Piasecki, używający pseudonimu „Sablewski”. Zreformował on pion wojskowy tworząc Uderzeniowe Bataliony Kadrowe. Te zbrojne oddziały miały być skierowane na tereny zabużańskie, by tam prowadzić walkę partyzancką.

skich na północ od Sokołów Podlaskiego przeprowadzono pierwszą większą koncentrację Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. Obnażyła ona wiele błędów organizacyjnych. Znacznej części partyzantów kano powrócić do Warszawy. Ponad 20 z nich zostało wziętych z łapanych przez żandarmerię niemiecką u różnych stacjach kolejowych Podlasia. Doszło też do zbrojnych starć z Niemcami. Oddziały Konfederacji Narodu poniosły straty, mając dwóch zabitych i dwóch rannych.

Właśnie koncepcje polityczne i wojskowe były źródłem różnorodnych konfliktów między Konfederacją Narodu, Delegaturą Rządu, Związkiem Walki Zbrojnej i wreszcie Armią Krajową. Już w listopadzie 1943 roku przeprowadzono wiele rozmów. Nie doprowadziły one do jednoznacznych ustaleń. Rok później podjęto kolejne rozmowy, efekcie których 17 sierpnia 1944 roku ukazał się oficjalny rozkaz generała Tadeusza „Bora” Komarowskiego, Komendanta Głównego AK o podporządkowaniu oddziałów wojskowych Konfederacji Narodu dowództwu Armii Krajowej. Uderzeniowe Bataliony Kadrowe zachowały jednak pewną autonomię w sprawie ideowo-politycznych i kadrowych

Komórki i oddziały Konfederacji Narodu również i na terenach dzisiejszego województwa siedleckiego działały. W północnej części powiatu sokołowskiego szczególnie aktywny był oddział Uderzeniowych Batalionów Kadrowych dowodzony przez porucznika Czesława Gradzkiego ps. „Krzemień”. Operował on właśnie w lasach w rejonie Kosowa Lackiego, Ceranów, Sterdyni i Sabni. Dowództwo tamtego Obwodu AK starało się nawiązać kontakt i współpracę z tym oddziałem. Po sierpniowym rozkazie generała „Bora” z roku 1943 starano się nawet pomagać w różny sposób miejscowym członkom Konfederacji Narodu. Świadczy o tym meldunek „Cielca” — Kazimierza de Larzaka z

formowana gospodarczo, politycz-
nie i kulturalnie. Polska miała być
członkiem Imperium obejmującym
nie tylko ziemie piastowskie i Polski Jagiello-
wej. Wyszukiwano hasła nacjonalizacji
rolniczego przemysłu, banków, ko-
łarstwa, rolnictwo zaś miało być oparte
na samodzielnymi, niepodzielnymi,
niezależnymi gospodarstwach
rolniczych. W warunkach okupacyj-
nych nastawiano się na zbrojną wal-

Piasecki uważał, że w polityce ten
zwycięzca, kto atakuje, kto działa, a
nie ten, kto czeka na międzynarodowe
opinie, plebiscyty. Pisząc, że
„Polskę niepodległą musimy wywal-
czyć sami”, uważał, że konspiracyjne
oddziały wojskowe nie powinny stać
z bronią u nogi, lecz winny być od-
razu rzucone do walki partyzanckiej
z niemieckim okupantem.

W połowie października 1942
roku właśnie w Lasach Sterdyń-

grudnia 1943 roku do dowódcy II Ba-
talionu Podlaskiego AK, kpt. „Zego-
ty” — Jana Buraczewskiego.

„W związku z zaarrestowaniem
przez żandarmerie FRANCISZ-
KA HISZPAŃSKIEGO syna Lu-
cjana, z Lubieszyn oraz odgrą-
żaniem się przez tegoż Lucjana, że
w razie zabrania jego syna, spro-
wodzi wywiezienie przynaj-
mniej pół wsi, uprzejmie proszę

4-16
wsach Ratyniec, Zalesie i Zawa-
dy znajdują się większe grupy
KN.

Z udzielonej mi informacji
przez ob. Jura (pseudonim Edwarda
Pawlickiego, dowódcy kompanii
AK — przyp. JGR) wynika, że ob.
ZBIGNIEW (pseudonim
por. Kazimierza Budnego, szefa
wyszkolenia bojowego w Ośrodkach
AK Kosów Lacki, Sterdyń, Jabłonna
Lacka — przyp. JGR) kontaktował się
z przywódcą KN, a mianowicie 37 84 26 34 59
73 39 76 (szyfr „Starowina”, a za-
kodowane słowo brzmi: „GRADZKIM” —
przyp. JGR). I zapewne ob. ZBIGNIEW
wyłowił od niego nazwiska KN-istów, któ-
rzy będą wcieleni w szeregi armii
czynnej. Pozostali KN-isci zdaniem
naszym nie przedstawiają wartości
poważniejszej w WSOP (Wojskowa
Służba Ochrony Powstania — przyp. JGR).
Jedynie mogliby być użyci jako policjanci.

Pojedynczo rozrzucony po ośrodku
KN-istów dotychczas byli wykorzysty-
wani przez KN jako punkty przerzutowe
dla przechodzących oddziałów KN. Gdyby
te dane dla Ob. były niewyczerpujące,
to radziłbym uzyskać kontakt z przy-
wódcą KN, czego mimo chęci z mej
strony nie udało mi się dokonać z po-
wodu zbyt krótkiego okresu czasu na tę
sprawę. Względnie radzę skontaktować
się w tej sprawie jeszcze z ob. ZBIGNIEWEM...”

W późniejszych miesiącach za-
pewne doszło do bezpośrednich
kontaktów dowódców Obwodu AK
Sokołów Podlaski z komendantem
Uderzeniowych Batalionów Kadrowych
Konfederacji Narodu na tym terenie —
z por. „Krzemieniem” — Czesławem
Grądzkim. Jednak ta współpraca
chyba nie układała się najlepiej.
Dowodzący tego meldunek „Cisa” —
czyli Czesława Pogorzelskiego z 23
czerwca 1944 roku. Alarmował on ów-
czesnego szefa referatu II Komendy
Obwodu AK „Proso” (drugi krypto-
nim Sokołowa Podlaskiego) porucznika
„Judyma” pisząc:

„Mam nadzieję, że w najbliż-
szym czasie skontaktujecie się ze
mną. Mam do omówienia pewne
„delikatne” sprawy dotyczące ka-
rygodnych wykróceń ze strony
poszczególnych jednostek z KN”.

Ostatecznie jednak załagodzono te
wszystkie konflikty i nieporozumienia
z oddziałami Konfederacji Narodu.
Przygotowania do rozpoczęcia akcji
„Burza” i powstania zbrojnego
przeciwko niemieckiemu okupantowi,
wchodziły w decydującą fazę. Od-
dział Uderzeniowy Batalionów Kad-
rowych Konfederacji Narodu, dowo-
dzony przez por. „Krzemienia” —
Czesława Grądzkiego, zgodził się na
scalenie i wszedł w skład 82 Pułku
Piechoty 30 Dywizji Armii Krajowej.

JANUSZ GRUDZIEN

W AK

Batalionów Uderzeniowych

skich na północ od Sokołowa
Podlaskiego przeprowadzono
pierwszą większą koncentrację
Uderzeniowych Batalionów Kad-
rowych. Obnażyła ona jednak
wiele błędów organizacyjnych.
Znaczącej części partyzantów ka-
zano powrócić do Warszawy. Po-
nad 20 z nich zostało wówczas
złapanych przez żandarmerię ni-
emiecką na różnych stacjach kole-
jowych Podlasia. Doszło też do
zbrojnych starć z Niemcami. Od-
działy Konfederacji Narodu po-
niosły straty, mając dwóch zabi-
tych i dwóch rannych.

Właśnie koncepcje polityczne
i wojskowe były źródłem
różnorodnych konfliktów
między Konfederacją Narodu a
Delegaturą Rządu, Związkiem
Walki Zbrojnej i wreszcie Armią
Krajową. Już w listopadzie 1941
roku przeprowadzono wiele roz-
mów. Nie doprowadziły one do
jednoznacznych ustaleń. Rok póź-
niej podjęto kolejne rozmowy, w
efekcie których 17 sierpnia 1943
roku ukazał się oficjalny rozkaz
generała Tadeusza „Bora” Komo-
rowskiego, Komendanta Głównego
AK o podporządkowaniu się
oddziałów wojskowych Konfede-
racji Narodu dowództwu Armii
Krajowej. Uderzeniowe Bataliony
Kadrowe zachowały jednak
pewną autonomię w sprawach
ideowo-politycznych i kadrowych.

Komórki i oddziały Konfederacji
Narodu również i na terenach dzisiejszego
województwa siedleckiego działały.
W północnej części powiatu sokołowskiego
szczególnie aktywne były oddziały
Uderzeniowych Batalionów Kad-
rowych dowodzone przez porucznika
Czesława Grądzkiego ps. „Krzemień”.
Operował on właśnie w lasach w re-
jonie Kosowa Lackiego, Ceranowa,
Sterdyni i Sabni. Dowództwo tamtejszego
Obwodu AK starało się nawią-
zać kontakt i współpracę z tym od-
działem. Po sierpniowym rozkazie
generała „Bora” z roku 1943 starano się
nawet pomagać w różny sposób miej-
scowym członkom Konfederacji
Narodu. Świadczy o tym meldunek „Or-
licza” — Kazimierza de Larzaka z 15

Pana komendanta o natychmiastowe
spowodowanie przeciwko
niemu akcji terrorystycznej w ce-
lu zastraszenia. Jednocześnie za-
znaczam, że najbardziej zagrożeni
są nasi dwaj KN-owcy, którzy
od dwóch dni w domu nie nocują.
Sprawa ta jest o tyle groźna,
że wartości osobiste wspomnianego
LUCJANA HISZPAŃSKIEGO
są — 0 (zero).”

Oddziały Konfederacji
Narodu w powiecie sokołowskim
nadal jednak zachowywały
spórą samodzielność i nie
kwapiły się zbyt do bez-
pośredniej i ścisłej współpracy
z dowództwem AK, które niewiele
wówczas wiedziało o ich sile,
stanie uzbrojenia. Nic dziwnego,
że 11 listopada 1943 roku referat
wojskowy Komendy Obwodu AK
„Sep” polecił „Jaworowi” — Cze-
śławowi Pogorzelskiemu, szefowi
wywiadu na Kosów Lacki, aby
jak najszybciej zebrał i przesłał
wszelkie dane o członkach Kon-
federacji Narodu na podległym
sobie terenie. Prośbę tę ponowiono
również w rozkazach z 2 i 11
grudnia 1943 roku. „Jawor” w
swym raporcie z 16 grudnia 1943
roku do „Podkowy” — inż. Ło-
zińskiego, szefa referatu wojsko-
wego Komendy Obwodu AK
„Proso” — Sokołów Podlaski, in-
formował:

„Po nawiązaniu kontaktów
w wielu punktach naszego
ośrodka, a nie mając możliwości
skontaktowania się z przywódcą
miejscowym KN (Konfede-
racji Narodu — przyp. JGR), gdyż
jest nieuchwytny, ustaliłem, że
członkowie i sympatycy KN na
terenie gmin Lew i Orzeł (krypto-
nymy gmin Chruszczewka i Kosów
Lacki — przyp. JGR) znajdują się
pojedynczo gdzieś w poszczególnych
wsiach. Nazwisk nie mogłem
ustalić. Jedynie na terenie gm.
Olsza (kryptonim gminy Olszew) —
przyp. JGR) we

Niemcami. Upowszechnianiu
i propagowaniu działalności
Konfederacji Narodu służyła ich kon-
fidentna prasa, m.in. „Nowa Pol-
ska”, „Do Broni”, miesięcznik „Sztu-
rator”, którego redaktorem na-
stąpił w pewnym okresie był znany
Tadeusz Gajewy. Wydawcą
pisma młodzieżowe „Młodzież
i „Iskrę”. Konfederacja
od początku stawiała na
walkę z niemieckim okupantem
„ofiarną gotowością przełania-
nia własnej krwi w walce o niepodle-
głość. W pierwszym okresie utwo-
rzenia wojskowego — Konfederację
— do której weszły oddziały
zreformowanych organizacji. W po-
łowie 1942 roku pierwszoplanową
rolę w Konfederacji Narodu zaczął
odgrywać Bolesław Piasecki, używający
kryptonimu „Sablowski”. Zreformo-
wany wojskowy tworząc Ude-
zeniowe Bataliony Kadrowe. Te
oddziały miały być skierowane
na teren zabużański, by tam
walczyć w walce partyzanckiej.

Razem z „Wichurą”

Czy napad na ambulans pocztowy, jaki miał miejsce w drugiej połowie lipca 1943 roku na stacji kolejowej w Bielanach, był rzeczywiście samowolną akcją komendanta Kedywu Armii Krajowej Obwodu „Proso” (owład sokołowski) — Henryka Oleksiaka ps. „Wichura”, czy przeprowadził ją na własną rękę? Czy rzeczywiście nie była ona uzgodniona ze sztabem i dowództwem tego Obwodu AK? Takie opinie krążyły już podczas okupacji, a zwłaszcza po tragicznej śmierci „Wichury”. Tak jakby chciano choć trochę pomniejszyć zasługi tego sławnego dowódcy partyzanckiego na Podlasiu. I nie były to odosobnione poczynania. Jak więc było naprawdę z tą akcją na ambulans pocztowy w Bielanach?

Rok 1943 to okres znacznego i burzliwego rozwoju organizacyjnego Armii Krajowej. Również i w powiecie sokołowskim. Siłą rzeczy działalność konspiracyjną pochłaniała coraz więcej pieniędzy. Potrzebowano ich przecież na różne cele — na zakup broni, amunicji, żywności, lekarstw dla partyzanckich oddziałów, na łapówkę dla Niemców i przedstawicieli władz okupacyjnych, by kogoś wykupić i wyciągnąć z aresztu, wzięcia lub nawet obozu. Pieniądże były też potrzebne na pomoc dla członków ruchu oporu i ich rodzin, którzy musieli się ukrywać przed hitlerowskimi represjami.

I ruch oporu pieniądze na potrzeby konspiracyjne najczęściej musiał zdobywać na wrogu. Organizowano więc napady na okupacyjne urzędy i niemieckie instytucje, akcje zbrojne na transporty przewożące pieniądze, na kasy i banki. Tak też było i w powiecie sokołowskim. Tamtejsze dowództwo AK wielokrotnie inicjowało takie akcje. Najczęściej zlecano je „Wichurze” i jego ludziom. Oni to właśnie wczesną wiosną 1943 r. przeprowadzili udaną akcję na Komunalną Kasę Oszczędności w Sokołowie Podlaskim, zdobywając 100 tys. zł.

Na przełomie czerwca i lipca 1943 r. pojawiła się kolejna szansa zdobycia większej ilości gotówki. Komenda sokołowskiego Obwodu AK otrzymała informację, że na poczcie w Kosowie Lackim zgromadzono sporą ilość pieniędzy, które w niedługim czasie Niemcy prześlą do ba-

nku w Siedlcach. Wiadomość tę przekazał naczelnik tamtejszego Urzędu Poczтового — Paweł Kozysa, który działał również i w ruchu oporu. Był kwatermistrzem Komendy Ośrodka AK „Łosica”, której podlegały gminy Kosów Lacki, Chruszczewka i Olszew. W konspiracji znany był pod pseudonimem „Skarbek”. W swych meldunkach nalegał, aby zdobyć te pieniądze.

Dowództwo sokołowskiego AK zainteresowało się tą sprawą. Jednakże odrzucono możliwość zdobycia tych pieniędzy w bezpośredniej akcji na Urząd Pocztowy w Kosowie Lackim. W miejscowości tej stacjonowały bowiem silne jednostki żandarmerii i Wehrmachtu. Postanowiono je zdobyć w inny sposób. Z informacji przekazanych przez „Skarbka” wynikało, że pieniądze Niemcy wożą do Siedlec najczęściej kolejowym ambulansiem pocztowym, choć czasami bywało, że i samochodem. Transportowano je w specjalnej drewnianej skrzyni, ważącej przeszło 20 kg. Jeden klucz do niej był na poczcie w Kosowie, a drugi mieli Niemcy w Siedlcach. „Skarbek” jednak był w posiadaniu jeszcze jednego klucza do tej skrzyni. Dorobił mu go Zgmunt Blyszczyński, którego ojciec miał mały zakład ślusarski w Kosowie. Na jednej z porad dowództwa AK ustalono, że jedyna szansa, bezpieczna dla wszystkich, zdobycia tych pieniędzy istnieje podczas przewożenia ich do Siedlec.

Przygotowanie i przeprowadzenie tej akcji zlecono „Wichurze”. Siłą rzeczy musiano mu też pozostawić wolną rękę co do terminu, sposobu i miejsca jej przeprowadzenia. Niemcy przecież dopiero w ostatniej chwili podejmowali decyzje, kiedy i czym będą przewozić pieniądze. „Wichura” skontaktował się ze „Skarbkiem”. Otrzymał od niego niezbędne informacje i klucz od skrzyni, w której miały być przewożone pieniądze. Pozostało tylko czekać na sygnał od naczelnika poczty w Kosowie. Po kilku dniach „Wichura” otrzymuje od „Skarbka” upragnioną wiadomość. Pieniądże będą przewożone jutro popołudniowym pociągiem osobowym do Siedlec. Informację tę otrzymał w przeddzień akcji późnym popołudniem. Czasu nie było więc za wiele. Trzeba było powiadomić ludzi, przygotować broń, omówić w szczegółach plan akcji. Zapew-

ne z braku czasu nie zdołano powiadomić kogokolwiek z dowództwa, że akcja zostanie przeprowadzona następnego dnia. Trzeba było działać szybko. Z tego też względu niektórzy chyba sądzili, że była to nieuzgodniona, samowolna akcja „Wichury”. Stąd też te nieporozumienia i drobne niedomówienia.

Wszelkie wątpliwości związane z akcją na stacji kolejowej w Bielanach rozwiewa jedynie żyjący do dziś jej uczestnik — Wacław Wytwer pseudonim „Wilk”. Mieszka we wsi Nieciecz w gminie Sabnie. Mimo upływu przeszło 45 lat od tamtych wydarzeń ze szczegółami odtwarza przebieg akcji na ambulans pocztowy.

— Akcja ta na pewno była uzgodniona z dowództwem Armii Krajowej. Na kilka dni przed nią pojawił się w naszej okolicy „Wichura” Paru chłopakom z Niecieczy i okolicznych wsi, którzy byli w konspiracji, powiedział, aby byli gotowi, bo szykuje się akcja. Dodał, że chodzi o zdobycie pieniędzy na potrzeby naszej podziemnej organizacji. Nie powiedział jednak, gdzie i kiedy ma się ona odbyć. Mieliśmy czekać na sygnał od niego. W Niecieczy nagle pojawił się dzień przed akcją. Przyjechał rowerem tuż przed wieczorem. Omówił z nami plan akcji. Mieliśmy zaatakować ambulans pocztowy na stacji w Bielanach. Wszyscy mieliśmy się spotkać następnego dnia około trzeciej po południu w małym brzoźowym lasku koło przystanku kolejowego. „Wichura” nie nocował w Niecieczy, lecz pojechał dalej, by innych uczestników powiadomić o terminie akcji.

Umówiłem się ze swoim kolegą z Niecieczy Wacławem Salachem ps. „Lot”, że razem pójdziemy na akcję. Dzień był słoneczny i ciepły. Na polach złociło się dojrzewające zboże. Żniwa były tuż, tuż. Zabraliśmy ze sobą pistolety i granaty. Przez Dębinę Rogowską bocznymi drogami doszliśmy do Bielan. W umówionym miejscu nikogo nie zastaliśmy. Gwiżdżemy, ale w brzoźowym lasku nie było żywej duszy. Po pewnym czasie pojawił się „Orkan” — Zdzisław Maliszewski. Czekał, ale nikt się nie zjawia. Denerwujemy się, bo przecież do przyjazdu pociągu jest coraz mniej czasu. Może coś się stało.

może akcję odwołano. A może już wszyscy są na stacji.

I dziemi więc i my. Na przystanku kolejowym nie ma jednak nikogo z naszych. Wszyscy trzej nerwowo się rozglądamy. Nikogo nie widać, a tu już słychać gwizd lokomotywy. Kiedy pociąg zbliżał się do Bielan dostrzegliśmy wpadających biegiem chłopaków, którzy szybko zajmują wyznaczone stanowiska. Oddechaliśmy z ulgą. „Lot” szybko wchodzi do budynku stacyjnego. Przecina druty telefoniczne by nikt nie powiadomił Niemców o napadzie. Pociąg powoli zatrzymuje się na stacji. W dwóch pierwszych wagonach pełno było żołnierzy niemieckich jadących na front. W dwóch następnych przeznaczonych dla Polaków nie za wiele było ludzi. Widzę jak „Wichura” staje przed dyżurnym ruchu i terroryzuje go pistoletem. Zabiera mu lizak sygnalizacyjny i jego czerwoną kolejarzką czap-



Wacław Wytwer ps. „Wilk” — Akcja w Bielanach była za-

„Wichurą”

z braku czasu nie zdołano podomnić kogokolwiek z dowództwa, że akcja zostanie przeprowadzona następnego dnia. Trzeba było działać szybko. Z tego względu niektórzy chyba sąli, że była to nieuzgodniona, nowolna akcja „Wichury”. Stąd te nieporozumienia i drobne domówienia.

Wszelkie wątpliwości związane z akcją na stacji kolejowej w Bielanych rozwiąza jedyny żyjący do dziś jej uczestnik — **Wacław Wytwer** pseudonim „Wilk”. Mieszka we wsi Nieciecz w gminie Sabnie. Mimo wieku przeszło 45 lat od tamtych darzeń ze szczególną odwagą i odwagą akcji na ambulans pocztowy.

Akcja ta na pewno była uzgodniona z dowództwem Armii Krajowej. Na kilka dni przed nią awił się w naszej okolicy „Wirra” — paru chłopaków z Niecieczy i okolicznych wsi, którzy byli w konspiracji, powiedział, aby być gotowi, bo szykuje się akcja. Dodał, że chodzi o zdobycie pieniędzy na potrzeby naszej podziemnej organizacji. Nie powiedział jednak, gdzie i kiedy ma się odbyć. Mieliśmy czekać na sygnał od niego. W Niecieczy o zmierzchu pojawił się dzień przed akcją. Przyjechał rowerem tuż przed wieczorem. Omówił z nami plan akcji. Mieliśmy zaatakować ambulans pocztowy na stacji w Bielanych. Wszyscy mieliśmy się spotkać następnego dnia o trzeciej po południu w marmarozowym lasku koło przystanku kolejowego. „Wichura” nocował w Niecieczy, lecz poszedł dalej, by innych uczestników powiadomić o terminie ak-

cji. Mówiłem się ze swoim kolegą z Niecieczy **Wacławem Salasem** ps. „Lot”, że razem pójdziemy na akcję. Dzień był słoneczny i ciepły. Na polach złociło się zewijające zboże. Żniwa były już. Zabraliśmy ze sobą pistolety i granaty. Przez Dębinię i wską bocznymi drogami dojechaliśmy do Bielanych. W umówionym miejscu nikogo nie zastaliśmy. Wyszliśmy, ale w brzoźowym lasku nie było żywej duszy. Po pełnym czasie pojawił się „Orkan” — **Józef Maliszewski**. Czekał, ale nikt się nie zjawia. Deceujemy się, bo przecież dojazdu pociągu jest coraz bliżej. Może coś się stało.

może akcję odwołano. A może już wszyscy są na stacji.

Idziemy więc i my. Na przystanku kolejowym nie ma jednak nikogo z naszych. Wszyscy trzej nerwowo się rozglądamy. Nikogo nie widać, a tu już słychać gwizd lokomotywy. Kiedy pociąg zbliżał się do Bielanych, dostrzegliśmy wpadających biegiem na stację „Wichurę” i resztę chłopaków, którzy szybko zajmują wyznaczone stanowiska. Odetchnęliśmy z ulgą. „Lot” szybko wchodzi do budynku stacyjnego. Przecina druty telefoniczne, by nikt nie powiadomił Niemców o napadzie. Pociąg powoli zatrzymuje się na stacji. W dwóch pierwszych wagonach pełno było żołnierzy niemieckich jadących na front. W dwóch następnych przeznaczonych dla Polaków nie za wiele było ludzi. Widzę jak „Wichura” staje przed dyżurnym ruchu i terroryzuje go pistoletem. Zabiera mu lizak sygnalizacyjny i jego czerwoną kolejarską czap-

kę, którą zakłada sobie na głowę. Zachowuje się jak dyżurny ruchu, przetrzymując pociąg na stacji, abyśmy my zdążyli wykonać akcję.

Główne zadanie przypadło mnie i „Orkanowi”. Obaj z pistoletami w ręku wpadamy do wagonu pocztowego. Pytamy, gdzie jest kasa? Gdzie są pieniądze? Przestraszeni kolejarze wskazują na dużą drewnianą skrzynię stojącą w końcu wagonu. Wycnosimy ją z „Orkanem”. Przy wagonie są już i inni chłopcy. Pomagają nam wynieść z wagonu. Machamy „Wichurze”, że wszystko w porządku, że pieniądze już mamy. Czas kończyć akcję. „Wichura” podnosi lizak i daje znak maszyniście, że pociąg może jechać.

Wycofujemy się i my. Chłopcy po kolei biegiem uciekają w kierunku pobliskiego lasu. Ja oddaję swe granaty „Orkanowi” i razem z **Olesiem** — **Aleksandrem Adamskim** niesiemy skrzynię z pieniędzmi.



Wacław Wytwer ps. „Wilk” — „Akcja na ambulans pocztowy na stacji w Bielanych była zaplanowana i uzgodniona”.

Fot. Janusz Mazurek

Pociąg ruszył, ale po chwili zatrzymał się. Najprawdopodobniej ktoś z obsługi wagonu pocztowego pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Zaniepokojeni Niemcy zaczęli wyglądać przez okna wagonów. Zapewne dostrzegli nas uciekających do lasu, ale nie wiedzieli co się stało i nie reagowali. Wtedy to niektórzy z naszych strzelił w kierunku pociągu. Niemcy zorientowali się, że mają do czynienia z partyzantami. Kilkunastu z nich wyskoczyło z pociągu z karabinami maszynowymi, zawzięcie strzelając do nas. Zrobiło się naprawdę gorąco. Szczególnie ostro Niemcy ostrzeliwali skraj lasu, do którego biegaliśmy, by się schronić.

Kiedy nad naszymi głowami zagwizdały kulki, **Oleś Adamski** niespodziewanie puścił skrzynię z pieniędzmi i uskokzył w bok, znikając mi z oczu. Skrzynia uderzyła mnie w nogi. Upadłem. Zostałem skrzynią na polu, a sam przeczłogałem się w bezpieczniejsze miejsce. Drogę do lasu miałem odciętą, gdyż Niemcy bez przerwy pruli z karabinów maszynowych w tym kierunku. Dostrzegłem, że był tam już „Wichura” oraz „Lot”, „Klon” — **Czesław Karpiński** i „Granat” — **Zygmunt Czub**. Wtedy to „Lot” wyciągnął „francuza”, taki granat zaczepny i rzucił go w kierunku pociągu. Wybuch granatu ostudził zapalę Niemców. Przerwali ogień i zaczęli wsiaść do pociągu, który po chwili ruszył w kierunku Siedlec.

Dołączyłem do „Wichury” i pozostałych chłopców. Po akcji w tym lesie zebrało się nas tylko pięciu. „Orkan” jak też „Dab” — **Paweł Galecki**, „Skok” — **Adolf Strus**, **Wacław Galecki**, **Józef Głowacz** wybrali inną drogę odwrotu. Chwilę czekaliśmy na nich, ale już się nie pojawili. Podobnie jak i **Oleś Adamski**. „Wichura” spytał, gdzie jest skrzynia z pieniędzmi? Powiedziałem, że jak Niemcy zaczęli strzelać, to upuściliśmy ją i zostawiliśmy tam na polu. Kazał więc wrócić się po nią. Skrzynia nieśliśmy na zmianę, bo lekka nie była. Kawalek dalej w głąb lasu chcieliśmy przepakować pieniądze, bo ze skrzynią daleko byśmy nie uszli. Okazało się, że klucz od skrzyni „Wichura” dał „Orkanowi”. A ten po akcji gdzieś zniknął. Skrzynię rozbiliśmy więc kamieniami. Pieniądze zaś zapakowaliśmy w tobolek zrobiony z płaszcza Wichury”. Sporo ich było. Chyba ze 150 tysięcy złotych.

Akcja na ambulans pocztowy na stacji w Bielanych zakończyła się więc powodzeniem. Jednakże miała ona i tragiczny finał.

JANUSZ GRUDZIEN

Akcja na ambulans pocztowy, przeprowadzona w drugiej połowie lipca 1943 roku na stacji kolejowej w Bielanych przez 11-osobowy oddział Komendy Dywersji Armii Krajowej Obwodu Sokółka Podlaski, dowodzony przez „Wichurę” — Henryka Oleksiaka, zakończyła się pełnym powodzeniem. Zdobyto ponad 150 tysięcy złotych, które przeznaczono na potrzeby miejscowego ruchu oporu. Jednakże akcja ta miała tragiczny finał. Podczas odwrotu zginął jeden z jej uczestników. Różne wersje krążyły co do okoliczności, w jakich poniósł on śmierć. Czy po upływie 45 lat od tych wydarzeń można jeszcze rozwikłać i tę zagadkę, rozwiązać wszelkie wątpliwości związane z tą sprawą?

Okupacyjne historie (III)

Jak zginął „Granat”?

Jednym ze świadków akcji na ambulans pocztowy na stacji w Bielanych był Henryk Pytelewski. W czasie okupacji był komendantem posterunku Policji Granatowej w Bielanych, ale zarazem od samego początku ściśle współpracował z miejscowym ruchem oporu. Pod pseudonimem „Piast” był zaprzysiężonym członkiem Armii Krajowej. Oto jak on w swych wspomieniach przedstawia okoliczności śmierci jednego z żołnierzy „Wichury”, uczestniczącego w akcji na ambulans pocztowy.

Niemcy zrezygnowali z posęgu za partyzantami. Szybko wsiadli do wagonów i pociąg ruszył w dalszą drogę. Na stacji jeszcze przez chwilę przeważał spokój. Ja zrezygnowałem z wyjazdu do Siedlec. Spostrzegam, że dyżurny ruchu biegnie do budynku stacyjnego, by zawiadomić Niemców o napadzie na ambulans pocztowy. W ostatniej chwili uniemożliwiłem mu to i rozkazałem, aby przecął przewody telefoniczne.

— Mój Niemco mówi, że to partyzanci zerwali przewody — dodaje. Chodziło mi, aby „Wichura” ze swymi ludźmi zyskał czas na bezpieczny odskok.

Dopiero dwie godziny po zakończonej akcji do Bielanych przyjeżdżają cztery samochody z uzbrojonymi po zęby schupowcami i żandarmanami. Razem z nimi pojawił się i sam strażnik sokółkowski, major SS — Ernest Gramss. Mnie wychodząc z samochodów, wreszcie: — Wo ist Banditen? Lama-ą niemczyzną informuje ich, że uciekli w kierunku Lasów Rucheńskich, będąc przekonani, że „Wichura” ze swymi

ludźmi wybrał inną drogę odwrotu. Niespodziewanie Gramss rozkazuje mi: — Wsiadaj do samochodu i prowadź! Cóż było robić. Z całym spokojem każę im lechać drogą do Rozbitego Kamienia, sądząc, że żadnego z partyzantów tam nie spotkamy.

Nie cni bez namysłu ruszają w pościg. Tuż przed Kudelczynem spostrzegają dwóch młodych mężczyzn szybko jadących rowerami. Część schupowców wyskokuje z samochodów. Rozsypuje się w tyralierę i otwiera ogień z karabinów maszynowych. Spostrzegam, że jednego z rowerzystów trafili. Spada z roweru. Po chwili jednak podnosi się i kulejąc ucieka w kierunku pierwszych zabudowań wsi Kudelczyn. Niemcy są szybsi. Dopadają go na podwórku rolnika Kudelskiego i dobijają kilkoma strzałami. Nad ciałem zabitego z jeszcze dymiącym MP staje rozwścieczony Gramss. Rozkazuje, aby otoczyć całą wieś. Schupowcy przy zabitym znajdują dwa granaty, pistolet i ke karę na nazwisko Wierzbickiego ze wsi Wierzbice zza Sokółki Podlaskiej. To uratował Kudelczyn. Gdyby zabity był z wsi te Gramss na pewno kazałby spalić wszystkie zabudowania, a mieszkańców rozstrzelać.

Kiedy Gramss dowiedział się, że drugi z rowerzystów uciekł, nakazał odwrót do Sokółki. Mnie zostawili w Kudelczynie. Pieszo poszedłem do Rozbitego Kamienia, aby zbadać dlaczego ci dwaj partyzanci znaleźli się w tej okolicy. Ustaliłem, że obaj odłączyli się od oddziału „Wichury” i wpadli do Edka Buczyńskiego w Rozbitym Kamieniu, by trochę pomóc sobie na intencje udanej akcji. Przy kieliszku głośno rozpowiadał kto i jak ją przeprowadził. Chwalili się, że Niemcom zakosi-

li milion złotych. To nie koniec. Następnego dnia Niemcy w odwecie spalili zabudowania Wierzbickich i ich sąsiadów, a wielu mieszkańców tej wsi wysłali na roboty do III Rzeszy. Tak więc przez niesubordynację i lekko-myślność tę udaną akcją na ambulans pocztowy niepotrzebnie oplacono życiem człowieka. Wprawdzie „Wichura” przekazał pieniądze rodzinie zabitego i pogrozelcom ze ws Wierzbice, ale w żadnym wypadku nie zrekompensowało to poniesionych strat.

inną wersję tych tragicznych wydarzeń pod Kudelczynem przedstawia jedyny żyjący do dziś uczestnik akcji na ambulans pocztowy w Biela-

ech na stacji w Bielanych w pobliskim lesie zebrało się nas tylko pięciu: nasz dowódca „Wichura” — Henryk Oleksiak, właśnie „Granat”, Waclaw Salach ps. „Lot”, Czesław Karpiński ps. „Klon” i ja. Chwilę czekaliśmy na pozostałych. Z powodu niemieckiej strzelaniny rozproszyliśmy się i wycofaliśmy się na własną rękę. Trudno „Wichura” przypomniał sobie, że w pobliżu stacji zostawił w krzakach swój rower i teczkę, w której były granaty. Po rower wysłał Zygmunta Czuba i Czesława Karpińskiego, którzy wiedzieli, gdzie jest on ukryty. Umówiliśmy się z nimi, że będziemy czekać na nich koło kępy olch.

Mijają minuty, a „Klon” i „Granat” nie pojawiają się. Naraz od strony Bielanych słyszymy syreny niemieckich wozów policyjnych. Ktoś ich musiał jakoś zawiadomić o napadzie. Okazało się, że choć „Lot” zerwał przewody telefoniczne, to w drugim pomieszczeniu był jeszcze jeden telefon. Z niego to kolejarze zadzwonili do Siedlec, a stamtąd powiadomiono bezpośrednio Gramssa o napadzie. Dlatego też tak szybko Niemcy pojawili się w Bielanych i rozpoczęli pościg za nami. Nie było więc na co czekać. Musieliśmy brać nogi za pas. Napotkanego nastucha pytamy się

Wacław Wytwer ps. „Wilk”, mieszkający w Nieleczy. Przede wszystkim wówczas zginął tam nie Wierzbicki z Wier-



Wacław Wytwer: „Wichura” mocno przeżywał śmierć „Granata”, tak jak każdy z nas.

Fot. J. Mazurek

bie, jak podaje Henryk Pytelewski, lecz Zygmunt Czub ps. „Granat” ze wsi Wyrąb. Dlaczego i jak zginął ten partyzant AK? Wacław Wytwer uważa, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

— Z naszego jedenastoosobowego oddziału po zakończonej ak-

czy widział dwóch mężczyzn na rowerze? Ten potwierdził, że przejeżdżali i pojechali drogą do Rozbitego Kamienia. W umówionym miejscu musieli być w tym czasie, kiedy my przepakowywaliśmy zdobyczne pieniądze ze skrzyni do piaszka „Wichury”.

milion złotych. To nie koniec. Następnego dnia Niemcy w odzie spalili zabudowania Wierzbickich i ich sąsiadów, a wielu mieszkańców tej wsi wysłali na boty do III Rzeszy. Tak więc bez niesubordynację i lekkośność tę udaną akcją na ambulans pocztowy niepotrzebnie odciono życiem człowieka. Wprawdzie „Wichura” przekazał pieniądze rodzinie zabitego i pogodziłom ze ws Wierzbice, ale w tym wypadku nie zrekompenowało to poniesionych strat.

inną wersję tych tragicznych wydarzeń pod Kudelczynem przedstawia jedyny żyjący do dziś uczestnik akcji ambulans pocztowy w Biela-

cji na stacji w Bielanach w pobliskim lesie zebrało się nas tylko pięciu: nasz dowódca „Wichura” — Henryk Oleksiak, właśnie „Granat”, Waclaw Salach ps. „Lot”, Czesław Karpiński ps. „Klon” i ja. Chwilę czekaliśmy na pozostałych. Z powodu niemieckiej strzelaniny rozproszyliśmy się i wycofaliśmy się na własną rękę. Trudno. „Wichura” przypomniał sobie, że w pobliżu stacji zostawił w krzakach swój rower i teczkę, w której były granaty. Po rower wysłał Zygmunta Czuba i Czesława Karpińskiego, którzy wiedzieli, gdzie jest on ukryty. Umówiliśmy się z nimi, że będziemy czekać na nich koło kępy olch.

Mijają minuty, a „Klon” i „Granat” nie pojawiają się. Naraz od strony Bielan słyszymy syreny niemieckich wozów policyjnych. Ktoś ich musiał jakoś zawiadomić o napadzie. Okazało się, że choć „Lot” zerwał przewody telefoniczne, to w drugim pomieszczeniu był jeszcze jeden telefon. Z niego to kolejkarze zadzwonili do Siedlec, a stamtąd powiadomiono bezpośrednio Gramssa o napadzie. Dlatego też tak szybko Niemcy pojawili się w Bielanach i rozpoczęli pójść za nami. Nie było więc raco czekać. Musieliśmy brać nogi za pas. Napotkanego pastucha pytamy s'e

W trójkę więc poszliśmy dalej, niosąc na zmianę tłumok z pieniędzmi. Wybraliśmy drogę na Czerwonkę. Napotkany nieznajomy rowerzysta ostrzegł nas, abymy uważali, bo tam za górką stoją Niemcy. Zmieniliśmy więc kierunek ucieczki. Do Czerwonki postanowiliśmy się dostać okrężną drogą. Dla ostrożności szliśmy pojedynczo. Pierwszy „Wichura”, 50 metrów za nim ja, a na końcu „Lot”. Późnym popołudniem dotarliśmy wreszcie do Czerwonki. Zaszliśmy tam do sklepu, aby sobie coś kupić do jedzenia, bo byliśmy już potwornie głodni. Po zachodzie słońca poszliśmy dalej w kierunku Sokółowa. Kiedy przechodziliśmy koło baraków, w których stacjonowali żołnierze „Legionu Azerbejdżajskiego”, „Wichura” zaproponował aby zrobić im niespodziewaną pobudkę, obrzucając baraki granatami. Zrezygnowaliśmy jednak z tego, gdyż wszyscy byliśmy już potwornie zmęczeni, a jeszcze przed nami było parę kilometrów do przebycia. I to pieszko.

Około 3 nad ranem dotarliśmy wreszcie do Kuplentyna. Zatrzymaliśmy się u Adolfa Wojtkowskiego, który od dawna pomagał partyzantom AK. On pierwszy przekazał nam tragiczną wiadomość o śmierci „Granata” oraz o spaleniu przez Niemców zabudowań jego rodziców. Choć akcja się udała i pieniądze zdobyliśmy, wszyscy trzej byliśmy przygnębieni śmiercią Zygmunta. A co się stało z „Klonem”, który przecież był razem z Czubem? Czyżby dostał się w ręce Niemców? Tego Wojtkowski nie wiedział.

Dopiero następnego dnia poznaliśmy okoliczności, w jakich zginął „Granat”. Okazało się że „Klonowi” udało się uciec z życiem i on opowiedział nam jak doszło do tej tragedii. Otóż „Klon” z „Granatem” szwako uwinęli się z przyprowadzeniem roweru „Wichury”. Na miejscu wyznaczonego spotkania koło kępy olch przyjechali, jak się okazało, przed nami. Chwilę oczekali. Pastucha pasącego w pobliżu krowy spytali się, czy widział jakichś mężczyzn. Ten odpowiedział, że tak. Widocznie wcześniej przechodziło ta droga dwóch, trzech mężczyzn. Być może to byli nawet nasi ludzie, którzy na własną rękę, nie czekając na innych, odskakiwali po zakończonej akcji. „Klon” i „Granat” myśleli, że to my byliśmy. Pojechali więc rowerem drogą na Kudelczyn.

Jechali spokojnie. Byli jeszcze zaafektowani niedawno zakończoną akcją bojową. To ich chyba zgubiło. Nie usłyszeli jadących za nimi „bud” z Niemcami. Widocznie Szkopy zjeżdżali z górki, mając w samochodach wylaczone silniki. W pewnym momencie „Klon” obejrzał się do tyłu i zorientował się, że grozi im niebezpieczeństwo. Mieli przecież przy sobie broń. Błyskawicznie zeskoczył z roweru, krzyjąc:

„Zygmunt! Szwaby!” „Granat” przewrócił się z rowerem na drogę. W tym czasie Niemcy otworzyli do nich ogień z pistoletów maszynowych. „Klon” zaczął uciekać w pole, kryjąc się za łanami zbóż. Zatoczył spore koło i widząc, że Niemcy na chwilę przestali go ścigać, zatrzymał się i z daleka obserwował dalszy przebieg wypadków.

„Granat” zaś postanowił uciekać w kierunku wsi i w zabudowaniach szukać schronienia. Po drodze jednak musiał pokonać dość wysokie ogrodzenie. Widocznie o coś się zaczepił, bo za pierwszym razem nie udało mu się pokonać tej przeszkody. Próbuje jeszcze raz i w tym momencie serca z niemieckiego pistoletu trafiła go w brzuch. Pada pod płotem. Wie, że już nie ujdzie Niemcom. Ostatnim wysiłkiem wyciąga swą karkartę, rwie ją na drobne kawałki i resztki zagrzebuje w ziemi. Niemcy byli już blisko i dostrzegli te jego poczynania. Ostrożnie zbliżali się do rannego mężczyzny. „Granat” wyciąga wtedy pistolet i strzela sobie w skroń.

Niemcy byli wściekli, że nie udało im się ująć żywego partyzanta. Spędzili mieszkańców Kudelczyna, pytając się, czy ktoś zna zabitego. Choć niektórzy zapewne znali z widzenia Czuba, ale nikt się do tego nie przyznał. Starosta sokółowski, major SS — E. Grams kazał wykopać koło pobliskiej obory dół i tam zakopać zwłoki „Granata”. Niemcy odnaleźli bez trudu porwane kawałki karkarty Czuba. Wiedzieli więc skąd pochodził. Jeszcze tego samego dnia pojechali do wsi Wyrab i spalili zabudowania jego rodziców.

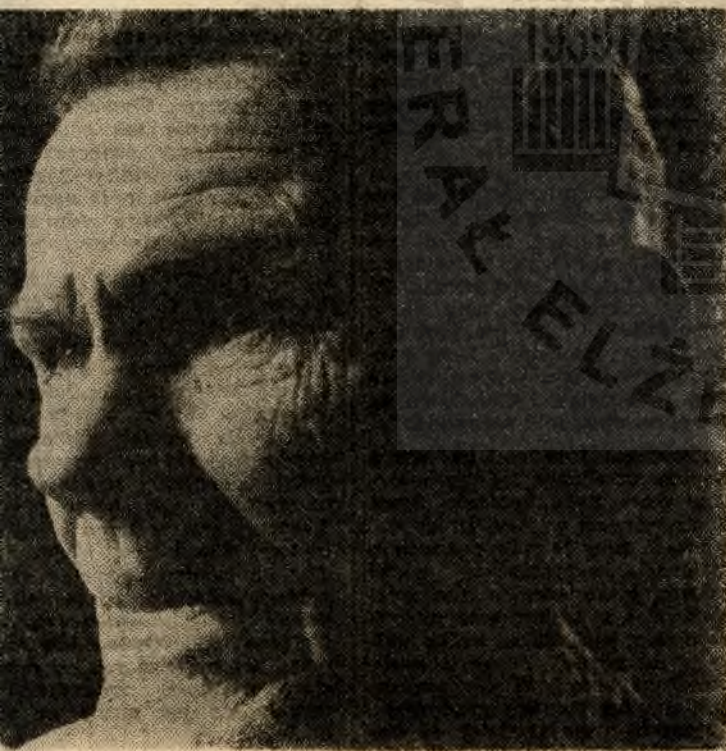
„Wichura” mocno przeżywał śmierć „Granata”. Jego rodzinie dał około 40 tysięcy złotych z pieniędzy zdobytych w akcji na ambulans pocztowy w Bielanach, aby mogli odbudować ze zgliszcz swe gospodarstwo. Ponadto postanowił, aby „Granata” pochować w godnym miejscu. Dwa dni później dzieciaku chłopaków z Niemiecy wjechało wozem do Kudelczyna. Wszyscy mieliśmy ze sobą broń. Odkopaliśmy ciało „Granata”, a następnie przewieziliśmy je na orientarż w Niemiecy i tu go pochowaliśmy. Tak jak zasłużył na to partyzant Armii Krajowej.

Dwie wersje śmierci Zygmunta Czuba ps. „Granat”, żołnierza AK, uczestnika akcji na ambulans pocztowy na stacji w Bielanach. Być może jeszcze ktoś żyje, kto uzupełni okoliczności śmierci „Granata”.

JANUSZ GRUDZIEŃ

„Granat”?

Wacław Wytwer ps. „Wilk”, mieszkający w Niemiecy, gdzie wszystkim wówczas zginił tam nie Wierzbicki z Wier-



Wacław Wytwer: „Wichura” mocno przeżywał śmierć „Granata”, tak jak każdy z nas.

Fot. J. Mazurek

... jak podaje Henryk Pytelew, lecz Zygmunt Czub ps. „Granat” ze wsi Wyrab. Dlaczego i jak zginął ten partyzant AK? Wacław Wytwer uważa, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

— Z naszego jedenastoosobowego oddziału po zakończonej ak-

... czy widział dwóch mężczyzn na rowerze? Ten potwierdził, że przejeżdżali i pojechali drogą do Rozbitego Kamienia. W umówionym miejscu musieli być w tym czasie, kiedy my przepakowywaliśmy zdobyczne pieniądze ze skrzyni do płaszcza „Wichury”.

Jest czerwiec roku 1943. Czekam na stacji Bielany Podlaskie na pociąg do Siedlec. Wybieram się, aby załatwić tam kilka spraw konspiracyjnych. Na stacji ludzi mało, ale to tylko pozory. Zza budowań starszego torowiska A. Sikorskiego co chwilę wychylają się jakieś postacie. To „zwiadowcy” miejscowych szmuglerów. Sprawdzają, czy przypadkiem Niemcy nie zamierzają tu zorganizować obławy. Większość szmuglerów z bagażem rąbanki, mąki, masła, jaj, czeka na pociąg w ukryciu. Jedni skryci są za żywopłotem karłowatych świerków, inni w łąkach pobliskiego zboża.

Wreszcie od strony baraków kolejowych na Bartoszu pod Przywózkami słychać gwizd lokomotywy. Szmuglerzy jeszcze czekają. Uważnie się rozglądają, czy okolica jest „czysta” i bezpieczna. W tym momencie jak spod ziemi pojawiają się przy domu torowego Sikorskiego i budynku stacyjnym jacyś nieznani osobnicy. Młodzi, wysocy mężczyźni bez żadnych paczek i bagaży. Ręce trzymają głęboko w kieszeniach. Pod marynarkami widać kształty jakichś obłych przedmiotów. Oni też uważnie się rozglądają. Z ich postawy i zachowania domyślam się, że to „chłopcy z lasu”.

Czyżby tu na stacji zanosilo się na partyzancką akcję? Jeżeli tak, to przecież powinienem o tym wiedzieć. Na wczorajszej odprawie KO „Socha” (major Franciszek Świtalski, komendant Obwodu „Proso” Armii Krajowej, obejmującego swym zasięgiem działania były powiat sokołowski — przyp. JGR), o niczym takim nie wspomina! Ustalił przecież, że o każdej przeprowadzanej przez AK akcji zbrojnej będę wcześniej powiadamiany. Czyżby to byli ludzie z innego terenu lub z innej organizacji? A może to ktoś z naszych znów przeprowadza akcję na własną rękę?



Fot. J. Mazurek

Okupacyjne historie

Napad na ambulans pocztowy

Nie czas na rozmyślenia. Od strony Sokolowa Podlaskiego nadjeżdża pociąg. Na peronie pojawia się dyżurny ruchu z nieodłącznym lizakiem i czerwoną czapką na głowie. Naraz koło niego staje „Wichura” (Henryk Oleksiak, komendant sokołowskiego Kedywu AK — przyp. JGR). Daje mi dyskretny znak, abym przyskakał do wagonu. Więc to nasi. Nie zastanawiam się, bo wiem, że za chwilę może być tu „gorąco”. W wagonie staję przy oknie i obserwuję dalszy przebieg wydarzeń. „Wichura” staje plecami do wagonów. Odsłania pole marynarki, pokazując dyżurnemu ruchu łufę swego parabellum. Następnie zabiera mu lizak i kolejarzką czapkę. Na kilka minut przedzierzgnął się w dyżurnego ruchu. Przechwytuje na stacji pociąg, by

szczęśliwie jednak dopadli zbawczego lasu. Poczuli się na tyle bezpiecznie, że z daleka szyderczo wymachiwali czapkami. Niemcy nie zamierzali gonić partyzantów, bojąc się jakiejś zasadzki. Zaprzestali też strzelaniny. Paskudnie przeklinając, wsiadli z powrotem do pociągu, który po chwili ruszył w dalszą drogę na front wschodni...”

Tak, w niezwykłe barwny sposób, opisuje w swych wspomnieniach akcję partyzantów na ambulans pocztowy na stacji kolejowej w Bielanych pan Henryk Pytelewski z Reszla. W czasie okupacji mieszkał w pod-sokołowskich Bielanych. Był komendantem miejscowego posterunku polskiej Policji Granatowej, a zarazem działał w ruchu

sztabu i dowództwa Komendy Obwodu AK „Proso”. Henryk Pytelewski niejednokrotnie bywał też na rozmaitych naradach i odprawach u komendanta sokołowskiego Obwodu AK majora „Sochy” — Franciszka Świtalskiego. Wiedział więc o wielu sprawach i tajemnicach podlaskiej konspiracji.

Powróćmy jednak do akcji na stacji kolejowej w Bielanych. Choć Henryk Pytelewski był jej naocznym świadkiem, to jednak świadkiem przypadkowym. Siłą rzeczy jego relacja, choć barwna i sugestywna, jest niepełna. Pojawiają się w niej też drobne nieścisłości i dwuznaczne stwierdzenia. Od tamtych wydarzeń minęło już 45 lat. Większość ich uczestników i świadków już nie żyje. Warto jednak

jednak strony wręcz sugeruje, że akcję tę przeprowadzono samowolnie, nie mając na to zgody dowództwa obwodu AK. A w warunkach wojny, w czasach okupacji było to poważne wykroczenie przeciwko zasadom konspiracji i przeciwko dyscyplinie wojskowej.

Całą winę kładzie na karb lekkomyślności i niesubordynacji „Wichury”. W swych wspomnieniach tak ocenia jego postawę. — „Wiele akcji „Wichura” przeprowadził samowolnie. Obok rozgłosu, sławy nieustraszonego i sprytnego bohatera precyzyjnych akcji akowskich, przysparzał także dużo kłopotów, wprowadzając rozpręczenie w naszych dotychczasarnych szeregach. Jego śladami poszli inni — „Marynarz”, „Burza”, „Rymsza”, „Młot”. Był to czas, kiedy lamali się ludzie, łamały się charaktery, a więc i ci najlepsi z najlepszych, chodząc w glorii głośnych sukcesów, nie uniknęli tej ludzkiej słabości. Skutki ich bohaterstwa często ponosili inni.”

Czy faktycznie Henryk Oleksiak ps. „Wichura”, legendarny partyzant Podlasia, zasłużył na

Okupacyjne historie

Napad na ambulans pocztowy

Nie czas na rozmyślania. Od strony Sokołowa Podlaskiego nadjeżdża pociąg. Na peronie pojawia się dyżurny ruchu z nieodłącznym lizakiem i czerwoną czapką na głowie. Naraz koło niego staje „Wichura” (Henryk Oleksiak, komendant sokołowskiego Kedywu AK — przyp. JGR). Daje mi dyskretny znak, abym przyskakał do wagonu. Więc to nasi. Nie zastanawiam się, bo wiem, że za chwilę może być tu „gorąco”. W wagonie staję przy oknie i obserwuję dalszy przebieg wydarzeń. „Wichura” staje plecami do wagonów. Odsłania połą marynarki, pokazując dyżurnemu ruchu łufę swego parabellum. Następnie zabiera mu lizak i kolejarską czapkę. Na kilka minut przedzierzgnął się w dyżurnego ruchu. Przetrzymuje na stacji pociąg, by jego chłopcy mogli wykonać zadanie. A ci wiedzą co robić. Blyskawicznie wpadają do ostatniego wagonu. To ambulans pocztowy, z którego po chwili wynoszą worki z pieniędzmi i znikają w pobliskich łąkach zboża.

Na stacji spokój, jakby nie szczególnego się nie działo. Z pierwszych wagonów „Nur für Deutsche” dobiega zapijaczony śpiew żołnierzy niemieckich. Z niektórych okien wychylają się rozweselone głowy „panów światła”, ale nic nie budzi ich podejrzeń. Jedyne w zatłoczonych „polskich” wagonach szmuglerzy zaczynają się denervować przedłużającym się postojem pociągu. Wreszcie koniec akcji. „Wichura” podnosi lizak, dając sygnał odjazdu. Pociąg ruszył. „Wichura” bez zbitego pośpiechu oddał dyżurnemu jego kolejarską czapkę i lizak. Szybko dołącza do swoich chłopaków, uciekających w kierunku Lasu Kudelskiego.

Po przejechaniu kilkuset metrów pociąg niespodziewanie staje. Być może któryś z Niemców zauważył uciekających do lasu młodych mężczyzn. Być może to obsługa ambulansu pocztowego oprzytomniała po niespodziewanym napadzie i chwyciła za hamulec bezpieczeństwa. Ze stojącego pociągu natychmiast wysypali się niemieccy żołnierze, wrzeszcząc niemilosiernie: „Polnische Banditen” i strzelając gdzie popadnie. Kilku ustawiło na Kopcach Sikorskiego karabiny maszynowe, prując seriami po łąkach zboża. Chłopcy „Wichury”

szczęśliwie jednak dopadli zbawczego lasu. Poczuli się na tyle bezpiecznie, że z daleka szycerco wymachiwali czapkami. Niemcy nie zamierzali gonić partyzantów, bojąc się jakiegokolwiek zasadki. Zaprzestali też strzelaniny. Paskudnie przeklinając, wsiadli z powrotem do pociągu, który po chwili ruszył w dalszą drogę na front wschodni...

Tak, w niezwykle barwny sposób, opisuje w swych wspomnieniach akcję partyzantów na ambulans pocztowy na stacji kolejowej w Bielanach pan Henryk Pytelewski z Reszla. W czasie okupacji mieszkał w pod-sokołowskich Bielanach. Był komendantem miejscowego posterunku polskiej Policji Granatowej, a zarazem działał w ruchu oporu, w Armii Krajowej. Władze hitlerowskie w Generalnej Guberni utworzyły Policję Granatową dla swoich potrzeb. Funkcjonariuszami byli Polacy. To prawda, że wielu z nich gorliwie wysługiwał się okupantom, i zarazem jednak wielu z nich jednocześnie działało w konspiracji, oddając nieocenione usługi ruchowi oporu. W Policji Granatowej byli więc zdrajcy i kolaboranci, jak też gorący patrioci, którzy z narażeniem życia prowadzili podwójną grę, starając się wszelkimi sposobami przysłużyć w walce ze zniechodzoną okupantem.

W powiecie sokołowskim praktycznie na każdym posterunku Policji Granatowej Armia Krajowa miała swoich ludzi. Prawdziwym enementem był właśnie posterunek Policji w Bielanach. Wszyscy jego funkcjonariusze działali w ruchu oporu — byli zaprzysiężonymi żołnierzami Armii Krajowej, a mianowicie: komendant posterunku — starszy sierżant Henryk Pytelewski ps. „Piast”, plutonowi — Romańczyk i Piotr Gdula, kaprale — Glazer, Harasim, Grzegorz Makarow i Stanisław Brzeziński. Często powierzano im odpowiedzialne zadania. Przewozili broń, amunicję, tajne dokumenty, meldunki. Często oni to czuwali nad bezpieczeństwem przedstawicieli Komendy Głównej AK czy też Delegatury Rządu Londyńskiego, którzy pojawiali się ze specjalnymi misjami w powiecie sokołowskim. Często pełnili rolę ochrony

sztabu i dowództwa Komendy Obwodu AK „Proso”. Henryk Pytelewski niejednokrotnie bywał też na rozmaitych naradach i odprawach u komendanta sokołowskiego Obwodu AK majora „Sochy” — Franciszka Światłowskiego. Wiedział więc o wielu sprawach i tajemnicach podlaskiej konspiracji.

Powróćmy jednak do akcji na stacji kolejowej w Bielanach. Choć Henryk Pytelewski był jej naoczny świadkiem, to jednak świadkiem przypadkowym. Siłą rzeczy jego relacja, choć barwna i sugestywna, jest niepełna. Pojawiają się w niej też drobne nieścisłości i dwuznaczne stwierdzenia. Od tamtych wydarzeń minęło już 45 lat. Większość ich uczestników i świadków już nie żyje. Warto jednak przynajmniej spróbować rozwiłać, wyjaśnić i uzupełnić te nasze „małe” lokalne tajemnice historii.

Akcję na ambulans pocztowy na stacji w Bielanach przeprowadzono nie w czerwcu, jak podaje H. Pytelewski, lecz miesiąc później — najprawdopodobniej w drugiej połowie lipca 1943 r. Wykonawcą był jedenastoosobowy oddział sokołowskiej Komendy Dywersji „Kedywu” Armii Krajowej Akcją dowodził osobiście „Wichura” — Henryk Oleksiak, a ponadto uczestniczyli w niej: „Wilki” — Wacław Wytwer, „Łoś” — Czesław Salach, „Dąb” — Paweł Galecki i jego brat Wacław, „Skok” — Adolf Strus, Aleksander Adamski, Józef Głowacz (wszyscy z Niecieczy gm. Sabnie), „Granat” — Zygmunt Czub ze wsi Wyrab, „Klon” — Czesław Karpiński i „Orkan” — Zdzisław Maliszewski z Sokołowa Podlaskiego.

Znacznie więcej kontrowersji wzbudza inna sprawa. Chodzi o ocenę postawy i działalności samego „Wichury”. Z jednej strony H. Pytelewski w swej relacji nie szczędi pochwał uczestnikom akcji w Bielanach za sprawne, wręcz brawurowe jej przeprowadzenie. Nie ukrywa, że główna w tym zasługa samego „Wichury”, o którym w swych wspomnieniach pisze, że „ten zdolny absolwent gimnazjum Ojców Salezjanów zasłużył na miano bohatera Podlasia”. Z drugiej

jednak strony wręcz sugeruje, że akcję tę przeprowadzono samowolnie, nie mając na to zgody dowództwa obwodu AK. A w warunkach wojny, w czasach okupacji było to poważne wykroczenie przeciwko zasadom konspiracji i przeciwko dyscyplinie wojskowej.

Całą winę kładzie na karb lekomyślności i niesubordynacji „Wichury”. W swych wspomnieniach tak ocenia jego postawę. — „Wiele akcji „Wichura” przeprowadził samowolnie. Obok rozgłosu, sławy nieustraszonego i sprytnego bohatera precyzyjnych akcji akowskich, przysparzał także dużo kłopotów, wprowadzając rozprężenie w naszych dotychczasarnych szeregach. Jego śladami poszli inni — „Marynarz”, „Burza”, „Rymsha”, „Młot”. Był to czas, kiedy jamali się ludzie, jamały się charaktery, a więc i ci najlepsi z najlepszych, chodząc w glorii głośnych sukcesów, nie unikali tej ludzkiej słabości. Skutki ich bohaterstwa często ponosili inni.”

Czy faktycznie Henryk Oleksiak ps. „Wichura”, legendarny partyzant Podlasia, zasłużył na tak surową ocenę? O jego działalności, nieustraszonego walca z Niemcami, wielokrotnie już pisaliśmy na łamach „Tygodnika Siedleckiego”. To prawda, że „Wichura” niektóre akcje przeciwko hitlerowskiemu okupantowi, przeciwko kolaborantom i zdrajcom, przeprowadził samowolnie, nie czekając na stosowny rozkaz swych przełożonych z Komendy Obwodu AK czy nawet z Komendy Głównej AK. On nie chciał „stać z bronią u nogi”, czekać, lecz walczyć z wrogiem. I temu wszystko podporządkował. Choć Henryk Pytelewski często kontaktował się i spotykał z komendantem Obwodu AK mjr. „Sochą”, choć zapewne często wcześniej informowano go o planowanych akcjach zbrojnych i represyjnych, to jednak nie we wszystkie sprawy musiano go wtajemniczać, nie o wszystkim mówić. I to z różnych względów. W świetle dostępnych dzisiaj dokumentów, przekazów i faktów okazuje się, że akcja na ambulans pocztowy przeprowadzona przez „Wichurę” i jego ludzi na stacji kolejowej w Bielanach była zaplanowana i zaaprobowana przez dowództwo sokołowskiego AK...

JANUSZ GRUDZIEN

Akcję zaplanował „Wichura” — dowódca oddziału. Zebrali się wszyscy poprzedniego dnia, wieczorem, w domu Czesława Karpińskiego w Jasieniu. „Wichura” przydzielił zadania: on sam wraz z „Lotem”, „Wilkiem” i Zygmuntem Czubem stanowić będą grupę atakującą. Z lasu Przeździadka dojadą do miasta na rowerach, które ukryją pod mostem kolejowym — zaopiekują się nimi Adamski. Poem przejdą pieszo do skrzyżowania i zajmą stanowiska w przylegających do Lipowej ogródkach.

Codziennie pomiędzy ósmą a dziewiątą rano Gramss wyjeżdża do pracy w starostwie. Może jechać prosto — ulicą Lipową albo drogą okrężną w kierunku cukrowni i ulicy Węgrowskiej (obecnie ul. Wolności). Stojący przy torach łącznik ma zasignalizować, którą drogę wybierze tego ranka. Jeżeli pojedzie prosto — ostrzelają samochód przy skrzyżowaniu, jeżeli wyruszy drogą okrężną — grupa ma szybko przebiec z Lipowej na Węgrowską i tam do auta otworzyć ogień. „Prąd”, Karliński i Oszał zostawiają rowery na skraju miasta i podobnie jak grupa atakująca, pieszo przejdą na cmentarz. Od miejsca akcji będą oddaleni o około 600 m. Ich zadaniem będzie opóźnienie ewentualnego pociągu Niemców stacjonujących w tej części miasta...



Godzina dziewiąta trzydzieści — „Wichura” co pewien czas spoglądał na zegarek. Czas włókł się nadzwyczaj powoli. A może starosta dzisiaj nie wyjedzie? Nagle, tuż przed dziewiątą, łącznik machnął chusteczką. Gramss jedzie najkrótszą drogą — wprost na nich. Rzeczywiście, za chwilę zobaczyli sunący ulicą samochód. Kiedy wóz znalazł się w polu ostrzału, czterej zamachowcy o worysły ogień. Dziurawione pociskami auto jechało przez chwilę z przeskakiwaniem, od pobocza do pobocza i wkrótce stanęło. Drzwi otworzyły się — Gramss wysunął się z wozu i upadł w rynsztok.

„Wichura” wybiegł na ulicę i zbliżył się do samochodu. Starosta leżał na jezdni nieruchomo, w samochodzie krył się przerażony kierowca, siedział zastrzelony żandarm...

— Kat ludności polskiej został zabity — krzyknął „Wichura”, kopnął Gramssa nogą i dał sygnał do odwrotu.

Wycofywali się spieszenie polnymi drogami aż dotarli do lasu Przeździadka. Żołnierze z obstawy nie musieli użyć broni — wybiegli z cmentarza na ścieżki i ruszyli w kierunku Niecieczy.

— Kiedy zamachowcy oddalili się Ernest Gramss otworzył oczy, ostrożnie rozejrzał się dookoła, wsadził rękę do kieszeni i zaczął również uciekać. Na Węgrowskiej zobaczył zdążającego w jego stronę żandarma i sądząc, że to przebrany zamachowiec zastrzelił go. Przy budynku dawnego syndykatu natknął się na jakąś kobietę, którą także zastrzelił.

We wszystkich niemieckich placówkach wojskowych ogłoszono alarm. Grupy poszowe w ciągu godziny przetrzasnęły okolice Sokołowa Podlaskiego ale nie natrafily na żaden ślad zamachowców. Kierujący poszukiwaniami Gramss był wściekły. W odwet za akcję AK kazał rozstrzelać pięciu mężczyzn więzionych w areszcie miejskim. Egzekucji dokonano następnej nocy w pobliżu gajówki Zielona — Wyrab.

Ernest Gramss — kapitan Gestapo w latach 1942—1944, starosta powiatów Sokółów, Sokółki i Węgrów, odznaczony Orderem Krwi, inicjator utworzenia w Treblince obozu pracy. Pochodził z miejscowości Goslar nad Neckarem w górach Harzu. W czasie opisanych tu wydarzeń miał około 40 lat. Był wysoki, szczupły, o włosach ciemnoniebieskich, na twarzy miał szramę. Podobno zanim został starostą pracował jako radca w Ministerstwie Rolnictwa III Rzeszy. Znany z działalności represyjnej wobec ludności polskiej i żydowskiej — inicjator licznych egzekucji, wysiedleń, rabunkowych napadów na domy itp. W swoich poczynaniach wielokrotnie wykorzystywał słynące z bezwzględności oddziały Schupo, Kripo, Gestapo i Żandarmierli.

O godzinie ósmej żołnierze grupy dywersyjnej znajdowali się już na wyznaczonych stanowiskach. O tej porze ruch na Lipowej był niewielki, skrzyżowanie z Kolejową widzieli stąd jak na dłoni.

Niedaleko, w pobliżu torów kolejowych przechadzał się łącznik — obserwował otoczony parkiem pałac w którym mieszkał starosta. Łącznik odchodził i zawracał, ale wciąż jeszcze nie dawał znaku ręką...

Ci z obstawy czekali teraz podenerwowani na cmentarzu — pomiędzy Lipową a Węgrowską. Nasłuchiwali trzasku wystrzałów i czujnie rozglądali się dookoła. Ale tam, na krzyżówce wciąż panowała cisza...

Historia tej ziemi

Trzy zamachy

„Wichura” był zdumiony. Do głowy mu nie przyszło, że Gramss może udawać zabitego, że nie został nawet ranny...

ZASADZKA W LESIE

Mineły cztery miesiące. We wrześniu wywiad przekazał „Wichurze” informację, że starosta po pracy lubi wycofywać się w przeddzień w lasy. Spaceruje Gramssa trwały niekiedy do samego wieczora, a jego ochrona osobista nie była duża, stanowiła ją dwóch — trzech żandarmów. Pojawiała się więc nowa możliwość zlikwidowania gestapowca. Każdego dnia od początku października grupa dywersyjna przygotowywała zasadzkę w lesie, ale wszystkie kończyły się niepowodzeniem. Gramss nie miał ulubionej trasy spacerowej, przechadzał się różnymi drogami. Ale po kilku dniach żołnierze natknęli się w lesie na gajowego zwanego „Wójciem”.

— W tym miejscu możecie czekać na Gramssa rok i go nie spotkacie — powiedział gajowy i poprowadził akowców ku skrzyżowaniu leśnych dróg. Las po obydwu stronach był tutaj wycięty — przecinka o szerokości 100 m miała zapewnić bezpieczeństwo spacerującemu staroście. Zamachowcy ukryli się wśród drzew, a „Wichura” i „Prąd” zajęli stanowiska obserwacyjne. Wkrótce dostrzegli na leśnej drodze jakiś ruch — w ich kierunku zbliżał się Gramss i dwóch żandarmów. „Wichura” ręką dał żołnierzom rozkazy „padnij” i „czołgaj się”. Cała szóstka zaczęła pełznąć powoli w kierunku drogi. Kryjąc się za pniami drzew zbliżali się ku niej także „Prąd” i „Wichura”. Nagle padł strzał — to jeden z zamachowców niechcący zaczepił językiem spustowym za gałązkę.

Gramss natychmiast zrozumiał co się święci. Strzelając, zaczął wycofywać się z lasu. Obydwaj żandarmi skutecznie go osianiali. Po chwili Niemcy zniknęli wśród drzew. Gramss wybiegł z lasu, ale jego służbowego samochodu nie było: kierowca przestraszony strzelaniną odjechał. Mimo to staroście jeszcze raz udało się uniknąć śmierci.

O godzinie ósmej żołnierze grupy dywersyjnej znajdowali się już na wyznaczonych stanowiskach. O tej porze ruch na Lipowej był niewielki, skrzyżowanie z kolejową widzieli stąd jak na dłoni.

Niedaleko, w pobliżu torów kolejowych przechadzał się łącznik — obserwował otoczony parkiem pałac w którym mieszkał starosta. Łącznik odchodził i zawracał, ale wciąż jeszcze nie dawał znaku ręką...

Ci z obstawy czekali teraz podenerwowani na cmentarzu — pomiędzy Lipową a Węgrowską. Nasłuchiwali przelotnie przelotnie i czujnie rozglądali się dookoła. Ale tam, na kryżówce wciąż panowała cisza...

Historia tej ziemi

Trzy zamachy

„Wichura” był zdumiony. Do głowy mu nie przyszło, że Gramss może być zabitego, że nie został nawet ranny...

ZASADZKA W LESIE

Mijały cztery miesiące. We wrześniu wywiad przekazał „Wichurze” informację, że starosta po pracy lubi wypoczywać w przeddzieckim lesie. Spaceruje Gramssa trwały niekiedy do późnej wieczora, a jego ochrona osobista nie była duża, stanowiło ją trzech żandarmów. Pojawiła się więc nowa możliwość wyeliminowania gestapowca. Każdego dnia od początku października grupa dywersyjna przygotowywała zasadzkę w lesie, ale wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem. Gramss nie miał ulubionej trasy spacerowej, przechadzał się różnymi drogami. Ale po kilku dniach żołnierze natknęli się w lesie na gajowego zwanego „Wójciem”.

W tym miejscu możecie czekać na Gramssa rok i go nie spotkacie. Gajowy dowiedział gajowy i poprowadził akowców ku skrzyżowaniu leśnych dróg. Las po obydwu stronach był tutaj wycięty — przecinka szerokości 100 m miała zapewnić bezpieczeństwo spacerującemu starosty. Zamachowcy ukryli się wśród drzew, a „Wichura” i „Prąd” zajęli stanowiska obserwacyjne. Wkrótce dostrzegli na leśnej drodze ruch — w ich kierunku zbliżał się Gramss i dwóch żandarmów. „Wichura” ręką dał żołnierzom rozkazy „padnij” i „czołgaj się”. Cała trójka zaczęła pełznąć powoli w kierunku drogi. Kryjąc się za pniami i gałęziami, zbliżali się ku niej także „Prąd” i „Wichura”. Nagle padł „Prąd” — to jeden z zamachowców niechcący zaczął językiem spuścić za gałązkę.

Gramss natychmiast zrozumiał co się święci. Strzelając, zaczął wycofywać się w las. Obydwaj żandarmi skutecznie go osłaniali. Po chwili Niemcy zaczęli wśród drzew. Gramss wybiegł z lasu, ale jego służbowego samochodu nie było: kierowca przestraszony strzelaniną odjechał. Mimo to starosta jeszcze udało się uniknąć śmierci.

Jeszcze tej samej nocy na jego rozkaz zwołano ludność z okolicznych wsi. Chłopi w „asyście” żandarmów przystąpili do przeczesywania lasu. Ale żołnierzy „Wichury” już w lesie nie było.

NOCNY NAPAD

Po dwóch tygodniach „Wichura” zdecydował się na zorganizowanie trzeciego zamachu. Nie było to łatwe — Gramss teraz bardzo ostrożny, otaczał się coraz silniejszą eskortą.

Ale plan, dość karkołomny, był już gotowy — oddział miał napaść na pałac, w którym mieszkał starosta. Jednej z ostatnich nocy października 1942 roku dziewiętnastu mężczyzn przystąpiło do akcji. Największą trudnością było zdobycie wartowni, w której — jak wynikało z informacji łącznika — przebywało ośmiu Niemców.

Po północy „Wichura” wszedł na mur otaczający pałac i przeciął wieszający go kołczasty drut. Zamachowcy, jeden po drugim, znikali w ciemnym parku. Ich dowódca zszedł z muru ostatni. Oddział ostrożnie zbliżył się do pałacu. Bez kłopotów zdjęto dwóch wartowników. Teraz żołnierze wtargnęli do wartowni — sześciu folksdojezom odebrano broń pozostawiając ich w samej bieliznie. Pałac był otoczony, wokół panował spokój. Należało pomyśleć jak, nie czyniąc hałasu, dostać się do środka. W wartowni nie było kluczy do drzwi wejściowych. Gramss nikomu nie ufał i zamykał drzwi od środka. Dochodziła godzina pierwsza, akcja zaczynała się przeciągać, tym samym rosło ryzyko wpadki. Próby otwarcia bocznych drzwi pałacu nie dały rezultatu, ale „Prąd” zdołał otworzyć małe okienko. Dostał się przez nie do wnętrza budynku i odryglował drzwi.

Pierwszy na korytarz wbiegł „Wichura”, za nim inni. Gramss usłyszawszy nocne hałasy obudził się i zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego — przecież drzwi wejściowe zamknął sam... Ostrożnie otworzył drzwi sypialni i widząc w korytarzu kilka ciemnych postaci zaczął strzelać.

Jedna z kul trafiła w bok nadbiegającego „Wichurę”. To wywołało małe zamieszanie wśród żołnierzy. Starosta nie czekał aż złożą mu „wizytę” w pokoju — szybko otworzył okno i jednym susem wyskoczył na zewnątrz. Kiedy zamachowcy wbiegli do sypialni nie zastali już w niej Gramssa — w otwartym oknie powiewały firanki... Oddział musiał się natychmiast wycofać. Strzały w pałacu mogli przecież usłyszeć wartownicy niemieccy strzegący innych obiektów wojskowych.

Żołnierze uszli bez żadnych strat, nie ścigani przez Niemców, unosząc ze sobą rannego dowódcę.

ANDRZEJ DMOWSKI

UCZESTNICY ZAMACHU NA UL. LIPOWEJ W DN. 12. V. 42 r. GRUPA ATAKUJĄCA:

1. Henryk Oleksiak, ps. „Wichura”, z Sokółowa Podlaskiego (dowódca Grupy Dywersyjnej Komendy Obwodu AK „Sep” — nie żyje)
2. Zygmunt Czub, ps. nieznany, z Wyrab (nie żyje) 3. Wacław Wytwier, ps. „Wilki”, z Niecieczy; 4. Wacław Salach, ps. „Lot”, z Niecieczy

OCHRONA ROWERÓW:

5. Aleksander Adamski, ps. nieznany, z Niecieczy (nie żyje)

OBSTAWA NA CMEN TARZU:

6. Jan Czub, ps. „Prąd”, z Wyrab (brat Zygmunta); 7. Czesław Karpusiński, ps. nieznany, z Jasienia; 8. Edward Oszał, ps. nieznany, z Jasienia
Łącznik: 9. nieznany.

UCZESTNICY ZAMACHU W LESIE PRZEZDZIECKIM:

1. Henryk Oleksiak, ps. „Wichura”, d-ca; 2. Marian Oleksiak, ps. „Sep”, z Sokółowa Podlaskiego (brat „Wichury”); 3. Witold Ręczmien, ps. „Mak”, z Niecieczy; 4. Jan Czub, ps. „Prąd”, z Wyrab; 5. Stanisław Toczyski, ps. „Jeleni”, z Niewiadomej; 6. Wacław Salach, ps. „Lot”, z Niecieczy; 7. Mieczysław Toczyski, ps. nieznany, z Niewiadomej (brat „Jelenia”); 8. Józef Glowacz, ps. nieznany, z Niecieczy.

Dokładnej listy uczestników napadu na pałacyk zamieszkiwany przez Gramssa nie ustalono.

WICHURA

Sokołowa Podlaska
II 21

Wolam cię dobry człowieku,
co kości odkopiesz białe,
Kiedy wystygną już boje,
szkielet mój
będzie miał w ręku
sztandar ojczyzny mojej.

(K. K. Baczyński)

Tym, którym historia ta roznieci w sercach iskrę ich młodości — chciałabym przypomnieć, tym dla których będzie lekcją historii — chciałabym opowiedzieć o człowieku, którego postać owiana legendą za życia, dziś jest już chyba zapomniana. W natłoku codziennych wydarzeń w walce o lepszy byt, coraz mniej czasu poświęcamy zadumie nad tym, co minęło. Zapominamy o ludziach, którzy swoim życiem dowiedli, że takie pojęcia jak ojczyzna, patriotyzm nie są tylko słowami. Warto więc może przystanąć na chwilę i spojrzeć za siebie w lata, które nikną z wolna w pomroce dziejów.

DWANAŚCIE MINUT

est jesień 1942 roku. Małe miasteczko Kosów Lacki, niedaleko Sokołowa Podlaskiego, żyje swoim okupacyjnym życiem. Na targ zjeżdżają ludzie z okolicznych wiosek. Jest gwar i tłoczno. Nagle przed Urząd Pocztowy z piskiem opon zajechał wojskowy samochód. Wysiadła z niego trzech oficerów SS i sprężystym krokiem udaje się wprost do urzędu. Na honory oddawane przez wartownika odpowiadają niedbałym skinięciem ręki. Na poczcie jest kilku cywilów i kilku gestapowców. Na widok oficerów SS zapada cisza. Jeden z nich wchodzi do pomieszczeń służbowych, a dwóch pozostałych do głównej sali. Od tej chwili wydarzenia zaczynają rozgrywać się błyskawicznie. Okrzyk „Hände hoch” (polskie: „ręce do góry”) oraz lufy automatów doświadczają Niemcom, że oficerowie SS to polscy partyzanci. Zaskoczenie jest całkowite. Niemcy z rękami nad głową potulnie stają pod jedną ze ścian. Obezwładniona zostaje również obsługa poczty. Jeden z partyzantów woła do środka i unieszkodliwia wartownika sprzed poczty, zajmując zaraz jego miejsce. Do akcji włącza się dalszych trzech partyzantów — dotąd ukrytych. Pomagają swym kolegom w sprawnym przeprowadzeniu akcji. Po chwili na poczcie pozostają już tylko fałszywi oficerowie SS oraz ich „podopieczni”. Pozostali bojownicy ulatniają się wraz z pieniędzmi, które zasilała partyzancką kasę. Wreszcie i fałszywi esesmani wybiegają z poczty i wskakują do oczekującego na nich samochodu, który natychmiast rusza w stronę lasu. Akcja trwała dwanaście minut. Na nic się nie zdaje natychmiastowy pościg. Partyzanci znikają niczym przysłowiowy ka-

racyjny, by później przystąpić do działalności w ramach SZP (Służba Zwycięstwu Polski). Przyjmuje pseudonim „Wichura”.

Pierwszym jego przydziałem organizacyjnym był Ośrodek „Kuna”, obejmujący gminę Kudelczyn. Jesienią 1939 roku w mieszkaniu „Wichury” w Przędziance został zorganizowany punkt nasłuchu radiowego. Materiały otrzymywane drogą radiową wykorzystane były następnie przy redagowaniu gazetki konspiracyjnej „Przedświt”. Owa gazetka formatu A-4 odbijana była na maszynie do pisania w niewielkim nakładzie ok. 100 egzemplarzy. Prace związane z jej wydawaniem koncentrowały się w domu pani Zakrzewskiej, której synowie byli członkami organizacji.

Zimą na przełomie 1939/40 roku Niemcy dokonali dwukrotnej rewizji w domu Oleksiaków. Nie udało im się co prawda znaleźć odbiornika radiowego, niemniej jednak punkt nasłuchu przenie-

czyńska, Myszko i innych. Akcje zbrojne odbijały się szerokim echem na całym Podlasiu. Do najważniejszych zaliczyć można: — trzykrotnie ponawiane (niestety bez powodzenia) zamachy na starostę Sokołowa Podlaskiego i jednego z inicjatorów założenia obozu zagłady w Treblince, mjr. SS Ernesta Grammsa, któremu historycy nadali miano kata Podlasia.

- dwukrotną akcję na Komunalną Kasę Oszczędności w Sokołowie,
- 4 spalenie znajdujących się w „Arbeitsamcie” w Sokołowie Podlaskim akt personalnych ludności polskiej przeznaczonej do wywózki i ewentualnej likwidacji w Rzeszy,
- 2 akcję na pociąg pod Bielaniem,
- 3 akcję na Urząd Pocztowy w Kosowie Lackim,
- 4 pomoc Żydom w ucieczce z

akcji zbrojnych przeciwko Niemcom a także zdobycie na nim wspaniałej broni, którą dysponował.

Sulerzycki, przedwojenny oficer, a w latach wojny agent gestapo, był treuhenderem w Paulinowie. Owego dnia „Wichurze” towarzyszył jego adiutant. Niedaleko majątku w Paulinowie „Wichura” zauważył bryczkę wiozącą czterech żandarmów i jednego cywila. „Wichura” wskoczył na stopień bryczki i nie będąc pewnym, czy ma przed sobą Sulerzyckiego, zażądał od cywila pokazania kenkarty. Ten jednak od razu rozpoznał „Wichurę” i udając, że sięga po dokumenty wyciągnął broń i strzelił. Ciężko ranny, upadający już na ziemię „Wichura” zabił jednego z żandarmów. Bryczka szybko oddaliła się z miejsca wydarzeń. Za kilka minut pojawił się zmotoryzowany oddział gestapo. Nim jednak się to stało Henryk Oleksiak wydał jeszcze ostatni rozkaz w swym życiu. Do ciężko rannego dowódcy podbiegł jego adiutant. Próbował odciągnąć go do najbliższego lasu. Wysiłki jego były jednak daremne. „Wichura” wydał rozkaz, ażby dobito go. Powtarzał to kilkakrotnie. Mając do wyboru, po zastawieniu rannego dowódcy na postawę Niemcom — adiutant wykonał polecenie. Padły strzały. Te ostatnie strzały łaski.

BENANNMACHUNG - OBWIESZCZENIE

1. Szołkowski Wiktor	gab. sm - ur. dn.	9.4.1904
2. Szołkowski Stefan	" " "	10.2.1924
3. Kozmierzczak Franciszek	" " "	1.2.1900
4. Witkowski Włodzisław	" " "	23.5.1899
5. Krysiak Stanisław	" " "	13.3.1914
6. Turca Stanisław	" " "	6.8.1915
7. Puchalski Stanisław	" " "	2.5.1915
8. Franciszek Włodzisław	" " "	16.2.1891
9. Maszewska Zygmunta	" " "	19.12.1920
10. Markowicz Kuzniarski	" " "	17.2.1920

Jedno z wielu okupacyjnych obwieszczeń hitlerowskiego starosty Sokołowa Podlaskiego — Ernesta Grammsa.
rep. J. Mazurek

siony został do mieszkania Edwarda Tarnowskiego, a następnie Michała Bucylina. Gazetka „Przedświt” była wydawana do wiosny 1940 roku tj. do czasu, kiedy to na teren Podlasia zaczęły docierać wydawnictwa konspiracyjne z Warszawy.

Funkcje organizacyjne „Wichury” ulegały stopniowo zmianom. Początkowo pełnił obowiązki dowódcy drużyny w Ośrodku „Kuna”. Później został dowódcą III plutonu specjalnego oddziału partyzanckiego, od pseudonimu dowódcy kpt. Władysława Ra-

Treblinki po wybuchu tam powstania w sierpniu 1943 roku.

„REZERWISTA”

Henryk Oleksiak ps. „Wichura” był zwolennikiem walki zbrojnej rozumianej dosłownie. Jako dowódca był surowy, ale zarazem sprawiedliwy, dbał o bezpieczeństwo swoich żołnierzy. Większość akcji zbrojnych jego oddziału obyla się bez strat własnych. Wydzwięk społeczny tych akcji był ogromny. Już na przełomie 1941—42 roku N

Gestapo zabrało ciało „Wichury” do sokołowskiego więzienia. Stamtąd, po kilku dniach, wywieziono je do Treblinki i spalono. Prochy Henryka Oleksiaka ps. „Wichura” rozwiął podlaski wiatr. A pamięć o nim? Gdy pomału zapominają już ludzie, zaczynają mówić kamienie.

„Tu poległ śmiercią żołnierza w walce z okupantem hitlerowskim w dniu 6.XII.1943 roku Henryk Oleksiak ps. „Wichura”

Napis tej treści odczytać możemy na kamieniu pamiątkowym niedaleko Paulinowa. Czy jednak tylko kamienie powinny pamiętać...?

CECYLIA SOBIECKA

P.S. Zdrajca i agent gestapo Sulerzycki został prawdopodobnie zastrzelony w roku 1944 gdzieś w okolicach Łodzi 59

dną ze ścian. Obezwładniona zostaje również obsługa poczty. Jeden z partyzantów woła do środka i unieszkodliwia wartownika sprzed poczty, zajmując zaraz jego miejsce. Do akcji włącza się dalszych trzech partyzantów — dotąd ukrytych. Pomagają swym kolegom w sprawnym przeprowadzeniu akcji. Po chwili na poczcie pozostają już tylko fałszywi oficerowie SS oraz ich „podopieczni”. Pozostali bojownicy ulatniają się wraz z pieniędzmi, które zasilały partyzancką kasę. Wreszcie i fałszywi esesmani wybiegają z poczty i wskakują do oczekującego na nich samochodu, który natychmiast rusza w stronę lasu. Akcja trwała dwanaście minut. Na nic się nie zdaje natychmiastowy pościg. Partyzanci znikają niczym przysłowiowy kamień w wodzie. Tymczasem na Podlasiu z ust do ust płynie słowo, które sączy otuchę i nadzieję w znękanę serca:

„WICHURA”

Opisana wyżej akcja była dziełem grupy dywersyjnej Kedywu dowodzonej przez Henryka Oleksiaka ps. „Wichura”. Mówiono o nim, że jest wiara, nadzieją i miłością znękanego Podlasia.

Dziś trudno jest już nawet w pełni oddać atmosferę i odczucia, jakie owa postać budziła w tamtym okresie. Podziw i szacunek Polaków mieszał się z zjadłą nienawiścią okupanta. Kim był? Co wiemy o nim dziś, po latach?

Henryk Oleksiak urodził się 17 września 1910 roku w Częstochowie. Po wybuchu I wojny światowej przyjechał wraz z rodzicami w rodzinne strony matki — na Podlasie. Oleksiakowie osiedlili się w domu dziadka Henryka w Przeździełce pod Sokołowem Podlaskim. Po ukończeniu szkoły podstawowej Henryk uczęszczał do gimnazjum księży Salezjanów w Sokołowie. Nie ukończył go jednak, gdyż po śmierci ojca trudna sytuacja materialna zmusiła go do podjęcia pracy. Upartym samokształceniem zdobył jednak wiedzę daleko wykraczającą poza ramy szkoły średniej. W kampanii wrześniowej wziął udział jako ochotnik. Po powrocie do domu, już w październiku 1939 roku nawiązał pierwszy kontakt konspi-

Jedno z wielu okupacyjnych obwieszczeń hitlerowskiego starosty Sokołowa Podlaskiego — Ernesta Gramssa.

rep. J. Mazurek

slony został do mieszkania Edwarda Tarnowskiego, a następnie Michała Bucylina. Gazetka „Przedświt” była wydawana do wiosny 1940 roku tj. do czasu, kiedy to na teren Podlasia zaczęły docierać wydawnictwa konspiracyjne z Warszawy.

Funkcje organizacyjne „Wichury” ulegały stopniowo zmianom. Początkowo pełnił obowiązki dowódcy drużyny w Ośrodku „Kuna”. Później został dowódcą III plutonu specjalnego oddziału partyzanckiego, od pseudonimu dowódcy kpt. Władysława Rąmowskiego zwanego „Poraj”, by wreszcie zostać komendantem specjalnej grupy dywersyjnej „Kedywu” pozostającej w bezpośredniej dyspozycji komendanta obwodu „Proso” mjr. Franciszka Świtalskiego ps. „Sucha”.

UWOLNIENIE MATKI

Wiosną 1941 roku gestapo przyjechało aresztować „Wichurę”. Nieobecny, uniknął aresztowania. Zatrzymana została jednak i osadzona w sokołowskim więzieniu jego matka. Wtedy to „Wichura” dokonał niezwykle śmiałej akcji, celem której było uwolnienie matki. Jak większość podejmowanych przez „Wichurę” akcji i ta opierała się nie na sile i przewadze ogniowej, a na zdecydowaniu i zaskoczeniu. Zakończyła się ona pełnym sukcesem. Po sterroryzowaniu strażników, „Wichura” furmanką odwiózł matkę do kryjówki w Rogowie. Później znalazł jej schronienie w Siedlecach u żony gen. Babeckiego.

W latach 1942—1943 oddział „Wichury” przeprowadził szereg akcji o charakterze dywersji gospodarczej. Głównym zadaniem jego grupy było jednak zwalczanie wywiadu niemieckiego oraz dywersja zbrojna. Od samego początku swojej działalności „Wichura” i jego żołnierze zlikwidowali wielu niebezpiecznych agentów gestapo, jak chociażby Adamczewskiego, Demidowa, Sul-

Treblinka po wybuchu tam powstania w sierpniu 1943 roku.

„REZERWISTA”

Henryk Oleksiak ps. „Wichura” był zwolennikiem walki zbrojnej rozumianej dosłownie. Jako dowódca był surowy, ale zarazem sprawiedliwy, dbał o bezpieczeństwo swoich żołnierzy. Większość akcji zbrojnych jego oddziału obyla się bez strat własnych. Wydzwięk społeczny tych akcji był ogromny. Już na przełomie 1941—42 roku Ncy wyznaczili za głowę „Wichury” 100 tysięcy złotych nagrody. Suma ta z czasem regularnie wzrastała. Henryk Oleksiak się postrachem Niemców na Podlasiu. Rosła legenda o „Wichurze”.

Ale i tym razem, jak to w życiu zwykle bywa, obok grona ludzi życzliwych, pojawili się ludzie niechętni i zawistni. Rozpowszechniali oni opinie o niesubordynacji śmiałego dowódcy, o komunistycznym charakterze jego oddziału i inne. Doprowadziły one do tego, że w sierpniu 1943 roku decyzją dowództwa obwodu „Proso” Henryk Oleksiak ps. „Wichura” przeniesiony został do rezerwy. Bezczyнность obca była jego naturze, walki więc nie zaniechał. W końcu listopada 1943 roku komenda Obwodu AK po wyjaśnieniu zarzutów stawianych Henrykowi Oleksiakowi zrewidowała swój stosunek do niego. Zapada decyzja o ponownym powołaniu „Wichury” do czynnej służby.

OSTATNI ROZKAZ

W dniu tym 1943 roku „Wichura” organizował akcję na konfidenta niemieckiego Sulerzyckiego. Celem jej było wykorzystanie wiadomości i powiązań Sulerzyckiego do następnych

„Tu poległ śmiercią żołnierza w walce z okupantem hitlerowskim w dniu 6.XII.1943 roku Henryk Oleksiak ps. „Wichura”

Napis tej treści odczytać możemy na kamieniu pamiątkowym niedaleko Paulinowa. Czy jednak tylko kamienie powinny pamiętać...?

CECYLIA SOBIECKA

P.S. Zdrajca i agent gestapo Sulerzycki został prawdopodobnie zastrzelony w roku 1944 gdzieś w okolicach Łodzi.

II-22

Proszę o dotyczenie do teorii 442/WSK
Tak mało dla Tej Polski zrobili
a tak wiele wycierpieli.
Może Historii to się kiedyś przyda.

Legnickie

Guizmo, 11. XII. 1997

III/4 Inne materiały

- Bitwa pod Jagodnikiem, Społeczny Komitet Budowy Pamiątkowego Kamienia Bitwy pod Jagodnikiem, mps (kopia), k. 3, s. 1-3
- Odstonięcie pamiątkowego kamienia bitwy pod Jagodnikiem, Jagodnik 1986, ksero, k. 3, s. 4-6
- Odstonięcie tablicy pamiątkowej b. żołnierzy AK w Stevdynie, Stevdynie 1984, ksero, k. 1, s. 7
- Odstonięcie tablicy pamiątkowej ku czci mjr. F. Świtalskiego "Sochy", Czekańów 1987, ksero, k. 2, s. 8-9



Bitwa pod Jagodnikiem

W połowie lipca 1944 r. radzieckie wojska zbliżały się do Wisły. Niemcy, chcąc zabezpieczyć węzeł kolejowy-Warszawę, obsadzili Siedlce - /też węzeł /silnymi związkami operacyjnymi, i prowadzili pracę przy umocnieniach ziemnych przebiegających z lewej strony Bugu na południe od Nura, przez Rytel-Olechny, Kosów-Lacki do rzeki Liwiec i dalej w kierunku Siedlec.

W drugiej połowie lipca 1944 r. nieprzyjaciel przyspieszył prace przy budowie wspomnianej linii obronnej na Bugu i Liwcu. Do Rytel-Olechnow skierował dwie kompanie saperów, które przystąpiły do umocnienia fortyfikacji nad Bugiem. Jako siłę roboczą Niemcy wykerzystywali miejscowych rolników, których wyłapywali w okolicy.

Tragedia rolników schwytych do niewolniczej pracy przy Wehrmachcie zbiegła się w czasie ze wzmożoną działalnością na tym terenie przez Armię Krajową.

Wieczorem 27 lipca 1944 r. wyruszył z gajówki Solarnia w Puszczy Sterdyńskiej w kierunku Rytel-Olechnych, żeby przeszkodzić Niemcom w budowie umocnień polowych 70-cio osobowy oddział partyzancki Armii Krajowej porucznika Lucjusza Gawrysia, ps. Rys. W oddziale tym przebywał zastępca komendanta obwodu/Sokołów-Podl./mjr. Czesław Majewski ps. "Moro". Oddział ten stanowił część składową 2 batalionu 22 pułku piechoty Armii Krajowej.

Marsz odbywał się w bardzo uciążliwych warunkach, gdyż noc była ciemna, zamglona i ciągle mżył dokuczliwy deszcz. Po całonocnym forsownym marszu zaczęło świtać. Dalszy marsz i przeprowadzenie akcji w Rytelach-Olechnych stały się niemożliwe z obawy na dekonspirację i skrajne przemęczenie partyzantów. Mjr "Moro" zarządził dniowanie na koloni Wypalenisko. Wtedy por. "RyS" rozczłonował oddział na trzy części i każdą z nich skierował do innego zabudowania koloni-Wypalenisko. Wysławiono silne posterunki z ruchomymi patrolami objęto stykające się z kolenią lasy i drogi. Wolni od służby partyzanci zasnęli.

Koło godz. 6/20.7./posterunki i patrole partyzanckie zaczęły zatrzymywać przestraszonych ludzi uciekających z Koloni Jagodnik, którzy szukali schronienia w lesie. Mówili oni, że do Jagodnika przybyło 4-5 Niemców, którzy wyłapują męczyzn do kopania ekopów i rabują mienie rolników. Uciekinierzy prosili o ratunek.

Major "Moro" nie chcąc dekonspirować oddziału walką z kilkoma Niemcami rozkazał dowódcy 2 plutonu plut. Antoniemu Żubrowi, ps. "Łada". by udał się z jednym partyzantem do Jagodnika i oddał kilka strzałów, żeby przepłoszyć Niemców. Rozkazał również wypuścić z piwnicy Polikarpa Ołdakowskiego. Uwięzionych tam rolników.

Plut. "Łada" dotarł do tej części Jagodnika, która stykała się z lasem i schwytał bez strzału niemieckiego oficera SS. Szamotał z

2. 11/4-2
motanie z oficerem z odległości kilkuset metrów widział młyny niemiecki żołnierz, który narobiwszy krzyku zaczął się do ucieczki.

W trakcie wstępnego przesłuchania oficera SS okazało się, że jest on dowódcą ponad 200 osobowego oddziału stacjonującego w Rytelach-Olechnych. Wobec schwytania przez partyzantów niemieckiego oficera SS mjr Moro słusznie przewidział, że należy spodziewać się niemieckiej próby odbicia ich dowódcy. To też cofnął główne siły w głąb lasu, pozostawiając 20 partyzantów z por. Tadeuszem Włodarskim, ps. "Halban" i plut. "Ładą", jako ubezpieczenie mające powstrzymać natarcie Niemców.

Nad pozostawionymi partyzantami objął dowództwo ppor. "Halban" sam z 10-cio osobową grupą, uzbrojoną w dwa karabiny maszynowe i pistolety maszynowe, okopał się na skraju lasu zajmując linię obronną na przestrzeni ok. 200 m., a drugą 10-cio osobową grupę pod dowództwem plut. "Łady" uzbrojoną w jeden karabin maszynowy, pistolety maszynowe i karabiny zwykłe, pozostawił jako odwód w najbliższych zabudowaniach Wypaleniska.

O godz. 20 partyzanci ukryci na linii obronnej spostrzegli wbiegających do Jagodnika od strony Rytel-Olechnow Niemców, którzy następnie rozwinęli się w tyralierę i prowadząc przed sobą dwóch relników, jako przewodników-zakładników posuwali się w kierunku zasadzki.

Gdy Niemcy znajdowali się około 150 m. od pozycji partyzanckiej ppor. "Halban" dał rozkaz otwarcia ognia z karabinów maszynowych. Niemcy błyskawicznie schyli się w okopach i kopach zboża i na kartoflisku i zaczęli prowadzić ogień. Z zamieszanie tego skorzystał jeden z relników i uciekł do lasu.

Stopniowo nieprzyjaciel zaczął posuwać się do przodu i rozpeczął ogień z granatów. Napór wroga nieco osłabł, gdy ze strony partyzantów włączył się ogień z pistoletów maszynowych. Gdy ~~przebiegła~~ pozycyjna wymiana ognia zaczęła się przedłużać ppor. "Halban" wezwał odwód plut. "Łady". Jednocześnie zaciął się partyzantem jeden karabin maszynowy. Wróg posunął się znów do przodu i zajął pozycję w suchym rowie, prawie równoległą do pozycji partyzantów. Odległość walczących stron wynosiła już do 50 - 70 m. Partyzanci znaleźli się w trudnej sytuacji. Odpadła możliwość wycofania się. Ogromna przeszłość 20-krotna przewaga wroga dawała mu możliwość zdobycia pozycji partyzanckiej w generalnym ataku.

W tej trudnej fazie walki odwód plut. "Łady" zdażył dobiec na wyznaczoną w lesie pozycję i otworzył ogień w bok nieprzyjaciela bijąc z karabinu maszynowego i innej broni wzdłuż rowu, w którym przebywała większość Niemców.

Zaczęli oni wyskakiwać z rowu i w krótko ucieczka przemieniła się w panikę. Z dokumentów niemieckich znajdujących się w Wojskowym Instytucie Historycznym dowiadujemy się, że zginęło 20 Niemców i 20 było ciężko rannych, nie licząc lżej rannych. Z polskiej strony był lekko ranny w nogą ppor. "Halban" i również lekko w rękę relnik -przewodnik.

Po skończonej walce, która trwała ponad godzinę partyzanci dołączyli do głównych sił oddziału. Zabici i ciężko ranni Niemcy leżeli na polu boju przez cały dzień. Dopiero przed zachodem słońca przyjechali samochodami Niemcy, pozbierali z pola walki swoich kolegów i szybko odjechali nie stosując represji na Polakach.

Przenali również pracę przy budowie umocnień. Armia radziecka nie musiała toczyć walk o przełamanie niemieckiego oporu w tej okolicy.

Bitwa pod Jagodnikiem pozostaje zawsze żywa w pamięci miejscowego społeczeństwa. Dla tego ZBoWiD z trzech gmin: Sterdyn, Ceranów, Rogów, Kosów - Lacki utworzył Społeczny Komitet Budowy Pomnika Bitwy pod Jagodnikiem.

Okazały granitowy pomnik wykonał bezinteresownie artysta-rzemieślnik Kazimierz Pabian z Wągrowa. Na uroczyste odsłonięcie pomnika w dniu 7 września 1986 r., oprócz zaproszonych władz wojewódzkich zgłosili swój przyjazd dawni partyzanci, którzy 42 lata temu walczyli pod Jagodnikiem; ppr. Tadeusz Włodarski, ps. "Halban", st. sierż. Kazimierz Bocian, ps. "Laski", st. sierż. phor. Marian Jakubik, ps. "Roliński", st. sierż. Henryk Kozłowski, ps. "Wątrobka", Pchor. Tadeusz Skopiewski, ps. "Todek" i inni partyzanci.

Spółeczny Komitet Budowy Pamiątkowego Kamienia Bitwy pod Jagodnikiem.





III/4-4

oryginalny dokument
miejscowy
w Dzień Pamięci
szkoly Podst nr 1
w Guixmie



Grupa Akowców Sokotico-Podl / "Sep Proso" / przy odsłonięciu
pomnika poległym kolegom w bitwie pod Jagodnikiem.

III/4-5



Program:

Wmurowanie aktu erekcyj
Odświeżenie Pomnika-Kam

Jangadnick

7 września 1986

Wojewoda Siedlec dokonuje
odświeżenia pomnika

III/4-6

Przeniesienie wojewoda siedleckim



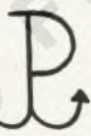


III/4-7

**BÓG, HONOR I OJCZYŻNA
BOHATERSKIM ŻOŁNIERZOM
ARMII KRAJOWEJ
OŚRODKA STERDYŃ „LIS-STEFA“
WALCZĄCYM O WOLNOŚĆ
I NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYŻNY
POLEGŁYM I POMORDOWANYM
W LATACH 1939 - 1945**

**TOWARZYSZE BRONI
I SPOŁECZEŃSTWO
GMINY STERDYŃ**

1984 ROK



**BÓG HONOR I OJCZYŻNA
BOHATERSKIM ŻOŁNIERZOM
ARMII KRAJOWEJ
OŚRODKA STERDYŃ „LIS-STEFA“
WALCZĄCYM O WOLNOŚĆ
I NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYŻNY
POLEGŁYM I POMORDOWANYM
W LATACH 1939-1945**

**TOWARZYSZE BRONI
I SPOŁECZEŃSTWO
GMINY STERDYŃ**

1984 ROK



zaprasza

W. P. Stawicki, Godkiewicz, Kamiński

na

**UROCZYSZTE ODSŁONIĘCIE I POŚWIĘCENIE
TABLICY PAMIĄTKOWEJ**

które odbędzie się w kościele parafialnym w Sterdyni,

dnia 13. IX 1984 r. o godz. 10.00

Społeczny Komitet Organizacyjny

**Społeczny Komitet Organizacyjny
Fundacji Tablicy Pamiątkowej
b. Żołnierzy AK w Sterdyni**

Jednocześnie uprzejmie informujemy, że czynimy starania, aby zorganizować Koleżeństwu przejazd autokarem z Warszawy. Prosimy więc o powiadomienie nas do dnia 28 sierpnia br, czy Koleżanka /Kolega weźmie udział w pow.uroczystości.

Uczestnictwo prosimy zgłaszać pod nr telefonu :

Maria Kellner - 26-78-74, Tadeusz Włodarski - 10-66-04
Stanisław Czarnocki - 10-45-32

Ponadto informujemy, że Msza Sw.za żołnierzy AK z Sokołowa Podl. odbędzie się dnia 4-go października o godz. 18-ej w kościele Sw.Krzyża -Krakowskie Przedm.

Za Komitet

W dniu 1. X 1989 o godz. 14-ej

w szkole w Czekanowie,
gmina Jabłonna Lacka, woj. siedleckie,
odbędzie się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej
ku czci

mjr. Franciszka Świtalskiego „Sochy”
komendanta obwodu AK Sokołów Podlaski

na które uprzejmie zaprasza

Ob. Stanisław Godlewicz - Kaimierowski

Komitet Organizacyjny

RSW ZG W-wa, S., z. 2807/87, n. 200, K-106

Starannie przechowywać
Dowód nadania przekazu pocztowego (pokwitowanie)
Nadawca (nazwisko i nazwa) Stan. Godlewicz

ozn. kodowe 02-200 pocztu
ozn. 3.000 gr

Adresat (nazwisko i nazwa) Josyf Fink

ozn. kodowe 05-120 pocztu

Nr nadania 1 222

data nadania 1 222

27-3847
poczta
G

strzegły tragicznej śmierci mieszkańców
w Tygodniku Siedleckim.



W SZKOLE W CZEKANOWIE - KONSPIRACYJNEJ KWATERZE
 ZGINAŁ ŚMIERCIĄ TRAGICZNĄ DNIA 25 MAJA 1944 R.
 MJR. FRANCISZEK SWITALSKI
 Ps. "SOCHA"
 KOMENDANT OBWODU ARMII KRAJOWEJ SOKOŁÓW PODLASKI
 W LATACH 1941-1944
 CZĘŚĆ JEJEGO PAMIĘCI
 TOWARZYSZE BRONI
 SPOŁECZENSTWO
 MŁODZIEŻ
 CZEKANÓW 4 PAŹDZIERNIKA 1987 R.

IV / 4 Korespondencje

- korespondencja między S. Godlewicz a Fundacją
z lat 1997-2001, rkps, mps, k. 29, s. 1-29



Σ2 wyp. ynęto dnia 07.11.97
Ldz 16631 WSK 197

Gniezno, 11 listopada 1997 r. IV/4-1

**Archiwum W.S.K
przy Fundacji Archiwum Pomorskie
Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2**

87-100 Toruń

W grudniu 1994 r. Zarząd Koła SZZAK w Gnieźnie otrzymał schemat relacji WSK z wytycznymi do wypełnienia i przesłania na adres: Fundacja Archiwum Pomorskie Armii Krajowej w Toruniu Piekary 49. Wypełniłam wg. załączonych punktów i przesłałam na powyższy adres.

W tym tygodniu Prezes Koła SZZAK w Gnieźnie wręczył mi schemat relacji WSK, zachęcając mnie do wypełnienia wg. zamieszczonych punktów.

Z załączonej książki pt: "Służba Polek na Frontach II Wojny Światowej cz. I" dowiedziałam się, że już w 1996 r. odbył się Zjazd Kombatantów w Toruniu na Sesji 16 i 17 listopada oraz zapowiedź dwudniowej Sesji 16 i 17 listopada 1997 r.

W spisie kobiet kombatantek nie znalazłam mojego nazwiska zrozumiałe, - ale zachodzi pytanie czy w dobre miejsce złożyłam udokumentowane dowody działalności.

Gdyby ktoś wyjaśnił byłabym bardzo wdzięczna.

Z najlepszymi życzeniami dla Zarządu i Kombatantek na Sesji 16 i 17 listopada 1997 r. pozostaje:

Stanisława Godlewicz- Kaźmierowska.

62-200 Gniezno.

Ldc 1663/WSK/97

Toruń 1.XII.1997 r.

Pani Stanisława Godlewicz
62-200 Gniezno, ul.

Szanowna Pani !

W Archiwum WSK działającym przy Archiwum Pomorskim Armii Krajowej znajduje się Pani teczka osobowa o sygnaturze 442/WSK. Pragniemy zatem zapewnić, że nadesłane przez Panią materiały (szczegółowa relacja, kserokopie dokumentów, wycinki prasowe) trafiły w dobre miejsce. Nasze Archiwum prowadzi obecnie intensywną akcję zbierania relacji kobiet - żołnierzy, stąd zapewne wzięła się powtórna prośba Prezesa Koła SZZAK w Gnieźnie o Pani relację.

Obecnie mamy już ponad 700 relacji - i ciągle liczymy na dalsze. Z tym oczekiwaniem wiąże się nasza serdeczna prośba: na toruńskim Zjeździe Kombatantek (16 - 17 listopada 1996 roku) powstał Memoriał gen. Marii Wittek. Celem Memoriału jest gromadzenie wiedzy historycznej o wojennej służbie Polek. Może odnalazłaby się Pani w którejś z form współdziałania z Memoriałem (informuje o nich Komunikat nr 2) ? Szczególnie zależy nam na coraz to nowych relacjach, adresach kombatantek, na wyszukiwaniu artykułów, opracowań naukowych podających informacje biograficzne o kobietach - żołnierzach. Ważna jest każda wzmianka. Przesyłamy Pani zgłoszenie do Koła Przyjaciół Memoriału - i prosimy o odpowiedź.

Prosimy także o Pani fotografię (najlepiej z lat okupacji), która uzupełni Pani relację. Jednocześnie bardzo dziękujemy za już nadesłane materiały.

Dziękujemy także za przysłane znaczki.

Z wyrazami szacunku i najlepszymi życzeniami -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka działu WSK.

Załączniki:

1. Komunikat nr 2 o podjęciu działalności przez Memoriał.
2. Komunikat redakcyjny.
3. Zgłoszenie do Koła Przyjaciół Memoriału gen. Marii Wittek.

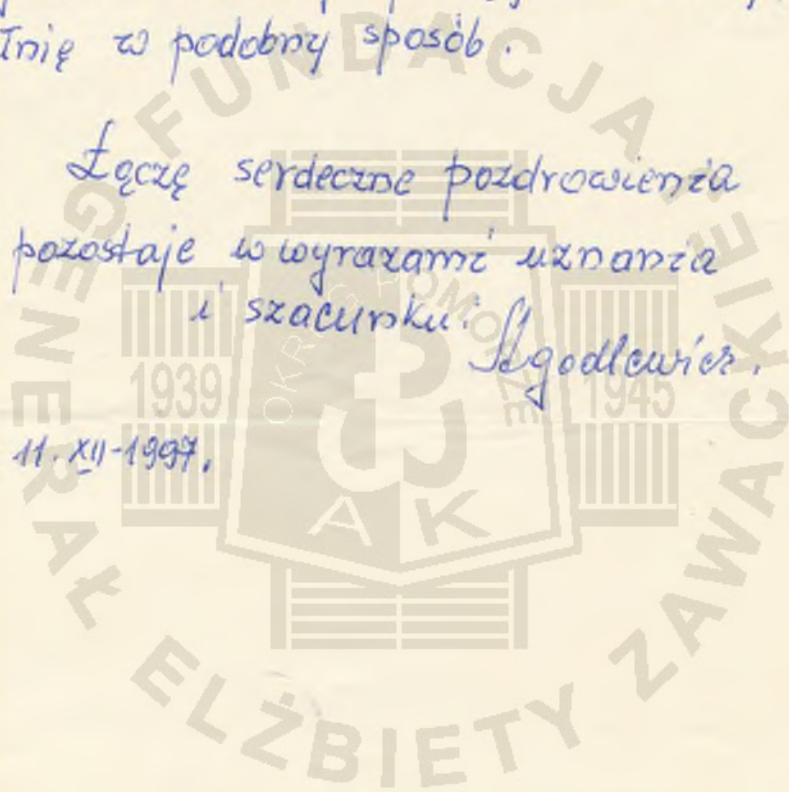
Szanowna Pani

Bardzo dziękuję za tak szybkie
załatwienie mojej sprawy.

Proszę o przystanie 5 egzemplarzy książki
p.t. Służba Polek za które załączam 50 zł.
Wystana deklaracja poniegnie koszty, które
uzupełnię w podobny sposób.

Łączę serdeczne pozdrowienia
i pozostaje w wyrazach uznania
i szacunku.
S. Godlewska

Gniezno, 11. XII - 1997.



IV/4-4

FUNDACJA
Archiwum Democraft Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 TORUŃ

Toruń 14 XII 1997 r.

Łola, 1892/WSK/92

Pani Stanisława Godlewicz

62 - 200 Gniezno, ul.

Szanowna Pani !

Dziękujemy Pani bardzo za tak szybką odpowiedź i za nadesłane materiały. Cieszymy się z Pani zgłoszenia do Koła Przyjaciół "Memoriału gen. Marii Witek" - jest Pani 112 zgłoszoną osobą. Wysyłamy Pani 5 egzemplarzy "Służby Półek..." wraz z pokwitowaniem.

Mamy także do Pani ogromną prośbę - czy ma Pani jeszcze kontakt z koleżankami z siedleckiego AK, może z tak często wspomnianą Adelą Kołodziejczyk ? Jeżeli tak - prosimy bardzo o przysłanie nam ich adresów. Tak bardzo brakuje nam *relaterek* i przedstawicielek Memoriału właśnie z tego terenu.

Załączamy komunikat o funkcjonowaniu Memoriału a także listę osób, które dotąd nadesłały do nas swoje zgłoszenia.

Chcielibyśmy także złożyć Pani serdeczne życzenia radosnych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia i wszelkiego Bożego Błogosławieństwa.

Z wyrazami szacunku -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka Działu WSK

06.02.98

Wpłynęło dnia
Licz. 227 11.10.198

Jamina Jaworska zgłasza się do kółka „Memoriał”
Ze względu na anginę pectoris nie będzie brała udziału w pracach. Na potrzeby kółka przesyła 20 zł.

Alina ktoś opisała swoją działalność w schemacie.
Nie zgłasza swojego wstąpienia do kółka, gdyż waha się
zastępkami z napraw przed Ezechajmerem

A Skogolewicz zmelita się pracy w Zarządzie Komendantów
i Kole Armii Krajowej - starość.

Adeli Kotodziejczyk w Sokotowie-Todal już miesiąc - wyprovadziła się
z Lubelszczyzny stracitami kradzież, gdyż ostatnia
kurzynka w Siedlcach umarta przed 2. Łądy.

Znalezione wycinki z gazety siedleckiej zatwierdził
w warszawskim kole zaraz po wojnie działata

Maria Kellnerová - Warszawa - Ławrecka 10 m 10.

Do serdecznych pozdrowień dla Zarządu
Kółka dotychczas 50 zł.

Skogolewicz.

Guizus, 29.01.1998

p. Godlemisz pytnie 10 uczestników, które
zaprowadzają w innych uczestników

pyta o numerację G
pudelników w Guizus ?

IV/4-6

PRZEDZARZĄDU
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 Żurowa
mgr Dorota Ziódra Karczyńska

Toruń, 11. 02. 1998 r.

l. d. 227/MSK/98

Pani Stanisława Godlewicz
62 - 200 Gniezno, ul.

Szanowna Pani !

Dziękujemy bardzo za tak wielkie zaangażowanie w pracę "Memoriału gen. Marii Wittek". Dziękujemy szczególnie za nadesłane relacje - paniom Janinie Jaworskiej i Alinie Kłos podziękujemy osobnymi listami. Dziękujemy także za bardzo interesujące wycinki z "Gazety Podlaskiej", zwłaszcza za cykl artykułów poświęconych łączniczce "Wachlarza", Radomile Śląskiej - Piątkowskiej ps. "Misia". Materiały te umieścimy w osobnej kopercie, a sylwetkę "Misi" postaramy się przedstawić w 4 tomie "Służby Polek ...". Cenne są także wspomnienia Heleny W., łączniczki AK z powiatu łukowskiego (czy zna Pani jej nazwisko ?), a także artykuł o pracy konspiracyjnej s. Jadwigi Sobotko ps. "Bratek". Jeśli miałaby Pani jeszcze jakieś inne materiały lub informacje o osobach wymienionych wyżej, albo też o innych - prosimy bardzo o nadesłanie.

Mamy także do Pani szczególną prośbę. W Gnieźnie mieszka bądź mieszkała pani Janina Skibińska, narzeczona Henryka Gruetzmachera, szefa Wydziału V Komendy Okręgu Pomorskiego AK (zginął 12 IX 1944 r.), człowieka niezwyklej miary. Bardzo zależy nam na nawiązaniu z nią kontaktu. Prawdopodobnie także była zaangażowana w konspiracji. Po wojnie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Jeśliby udało się uzyskać o niej jakąś wiadomość - bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Wreszcie - dziękujemy bardzo za dar pieniężny, który w sposób znaczący wspomógł działalność Memoriału. Dziękujemy również za znaczki. Dziękujemy za wszelką pomoc i zaangażowanie, a przede wszystkim za zrozumienie ważności sprawy gromadzenia materiałów historycznych o Wojennej Służbie Kobiet.

Pozdrawiamy Panią serdecznie.

Z wyrazami szacunku i najlepszymi życzeniami -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka Działu WSK

Wpłynęło dnia 1.04.98
L.dz. 620/MSK/98
Gniezno, 27.03.1998

IV/14-7

poszło
K. Kiciu

Do
Dokumentalistki Biuratu W.S.K
w Toruniu

Pani Marty Czyżak

Przesyłam relację kol. Jula Lunkiewicza, oraz
20 zł jako skłódkę.

Poszukujemy J. Skibińskiej i innych, które
z różnych przyczyn dotychczas były nie ujawnione.

Zetgeram znaczki - może przydadzą się,
i trochę pieniędzy na drobne wydatki.

Łączę uprzejme wyrazy
i najlepsze życzenia:
Słgodławicz,

IV/4-8

FUNDACJA
Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 TORUŃ

Toruń, 15. 04. 1998 r.

L.d. 626/WSK/98

Pani Stanisława Godlewicz
02 - 200 Gniezno, ul.

Szanowna Pani !

Dziękujemy Pani bardzo za kolejną relację i dołączone do niej zdjęcia, bardzo nas ona ucieszyła - pani Julii Łunkiewicz podziękujemy osobnym pismem. Dziękujemy także za znaczki i za załączoną kwotę (przesyłamy pokwitowanie) - ale czy nie nadszarpnęła ona zbyt mocno Pani budżetu ? Dziękujemy bardzo.

Prosimy nie ustawać w staraniach, poszukiwaniach - Pani pomoc jest dla nas niezwykle ważna i cenna. Życzymy Pani i wszystkim Paniom w jakikolwiek sposób zaangażowanym w poszukiwania - wytrwałości, a także - tak jeszcze w świątecznym, wielkanocnym nastroju - siły i odwagi, radości i pokoju.

Z wyrazami szacunku i najlepszymi życzeniami -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka Działu WSK

Gniezno, 19 listop. 1998 r

Wpłynęło dnia 20. XI. 98

L.dz. 2099/259 98

Szanowna Pani

Marta Kryciak

Donoszę z smutkiem, że już mi mogę znaleźć kol. z AK w zasięgu bytej mojej działalności. W odpowiedzi na pisma mam długie unierumie lub osoba mieszana.

Tak 50 lat zrobiło swoje.

Tak to dobrze, że dzięki zażenym Kobielom Zarządu powstało Archiwum Pomorskie.

Szukatam w telewizji audycji o zjedzie. Nie znalazłam, a w radie krótko powiedziało, że takowe się odbywa.

W pobliżu Gniezna jest miasto KTecko. Pracuje tam pani dr Helena Bujarska, której zyciorys spisało w tej książce, którą zatęeram na ręce dokumentalistki.

Od siebie zatęeram skromne 50 zł i żuazli.

Może przydadzą się.

Łęzę uprzejme wyrazy dla Pani i Zarządu

Stęgodłowicz,

W/4-10

ndn. 2153/WSK/98.

Toruń 26.11.98

Szanowna Pani!

Chcielibyśmy Pani bardzo serdecznie podziękować za tak wielkie zaangażowanie i trud poszukiwań - i na Lubelszczyźnie i w okolicach Gniezna; dziękujemy szczególnie za piękne wspomnienie dr H. Bujarskiej z dni obrony Kłocka - leżącą włączymy do naszej biblioteki, a p. Bujarska zostanie odnotowana w naszych kartotekach. Dziękujemy także za wcale nie tak skromne 50 zł. i za znaczki - wszystko się przyda.

Pozdrawiamy Panię serdecznie i raz jeszcze dziękujemy za pomoc - to dzięki Pani mamy informacje o służbie kobiecej w siedleckim okręgu AK ...

Z wyrazami szacunku -
 Mała Czyżek
 Dokumentalistka Działu WSK

SZ.P.

STANISŁAWA GODLEWICZ

FUNDACJA
 Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
 ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
 fax/☎ (0-56) 65-22-186
 Konto: WBK II Oddział w Toruniu
 10901506-4675-128-00-0

MEMORIAL GENERAL
 MARII WITTEK



WSK-
-AK

POW
PWK

Wpłynęło dnia 24.08. KM
Licz. 2084 434
KW

99

Guémo 9 sierpnia 1999 r. IV/4-11

Szanowna Pani Mardo!

Barde serdecznie dziękuję, za przystanie materiały
i zaproszenie na uroczystość 100-lecia M. Wittke.

Żałuję, że przybyć mi mogę, bo 85-letnie serce
ma swoje wybryki, które mi pozwalają wyruszyć
w świat, ale sercem i myślami będę z Wami!!

Przesyłam 100 zł. na potrzeby bieżące

Jeśli to możliwe, chciałabym mieć 2. część, Służba Polek...
za którą po otrzymaniu zapłacę przekazem.

Pozwolę sobie serdecznie Panią uściskać
i życzę wytrwania w tak wiozowej pracy.
Słagodnie.

Bożena

IV/4-12

Toruń, 03. 09. 1999 r.

MEMORIAL
General Marii Wittek

2 di. | 2137 | WSK | 99
2137

Pani Stanisława Godlewicz
ul.
62 - 200 Gniezno

Szanowna Pani !

Bardzo dziękujemy za list i za słowa wsparcia, cieszymy się, że jeszcze Pani o nas pamięta. Dziękujemy także za dar pieniężny, który pomoże nam w bieżącej działalności, a przede wszystkim - za bardzo interesującą relację Anieli Jabłońskiej o przyrodniej siostrze, Danucie Czarneckiej - Żelaznej (Wojskowa Organizacja Wielkopolska). Czy mogłaby Pani napisać nam jeszcze w jaki sposób „zdobyła” Pani tę relację, kiedy ona została napisana, czy łączyły się z nią fotografie Danuty Czarneckiej ? A może zna Pani Anielę Jabłońską osobiście ? Bardzo prosimy o odpowiedź.

Pozdrawiamy Panią serdecznie, życzymy zdrowia - mimo „85 - lecia serca” i pogody ducha !

Przesyłamy także 2 część „Służby Polek ...”, o którą Pani prosiła.

Z wyrazami szacunku -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka Archiwum WSK

K14

Wpłynęło dnia	15.09	
Licz. 2.215	WSK	97
	DW.	

IV/4-13

Quixus 13.09.1899 r

Szanowna Pani Marto!

Serdecnie podziękowania za przysłany mi
książkę: Służba Polek. cz. 2.

Przesyłam za nią 20 zł.

Wszystkie pani Czarneckie z książki telefonicznej
ze zdziwieniem przyjmują moje pytania

Jaki gdzieś coś mają - proszę

Tak myślę, że ostatnie pytanie z dn. 3.09, do mnie
się mi odnosi - może nawetisko powtórzyć się

do zyczenia wiekowe serdecznie dziękuję

i Tęczę podziękowania dla Miłej Pani!

Słogodłewicz.

- 20,00 złotych APPRECHODZONO
- KP NR /237/99 - Raport KASOWY.
- ZNACENI 8 szt FOTOGRAFII
- LPTOCHADZONO NA STAN.

Aleksis Jurek

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
fax/☎ (0-56) 65-22-186
Konto: WBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0

L. dr. 2237 / WSK/99
MEMORIAL GENERAL
MARII WITTEK



POW
PWK

WSK-
-AK

odp. pwr 22/15/WSK/99

IV/4-14

SZ. P.

Stanisława GODLEWICZ

VL.

62-200 GNIEZNO

Szanowna Pani!

Toruń 20.09.1999

Dziękuję bardzo za ostatni list
i bardzo przepraszam za nieporozumie-
nie, jakie wywołaniem swym piśmem:
pytania w nim zawarte naczytnie nie
odwołać się do Pani; relegia o p. Danu-
cie Czarnickiej została przystana przez
kogoś innego. Raz jeszcze bardzo przepra-
szam i pragnęłam serdecznie pozdrowienia!

Z wyrazami szacunku -

Marta Cyzak
Dokumen. historyk. Archiwum WSK.

10/4-15

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
fax/☎ (0-56) 65-22-186

Konto: WBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0
d.dz/2095/WSK/99
MEMORIAŁ GENERAL
MARII WITTEK

POLSKA B



SZANOWNA PANI?

STANISŁAWA GODLEWICZ

ul.:

62-200 GNIĘZNO



Toruń, dnia 25 VIII 1999r.

Szanowna Pani,

W imieniu Zarządu Memoriału General
Marii Wittek działającego przy Fundacji
Archiwum Pomorskie AK w Toruniu, bardzo
dziękujemy za dar pieniężny w wysokości 100 zł.
na naszą działalność. Tylko dzięki takiej ofiarności
możemy gromadzić i archiwizować materiały
oraz wydawać książki.

Z poważaniem

K. Minczykowska
Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK

IV/4-16

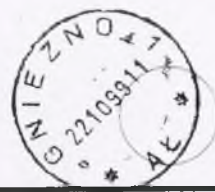
FUNDACJA Dowód wpłaty - Pokwitowanie
 Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
 ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
 87-100 TORUŃ

dnia 28.10.1999 r. **KP** Nr 258/99

Od kogo	Winien	Ma
PAN: STANISŁAW GODLEWICZ	kasa	Konto
	zł gr	numer
za co		
DARNA FUNDACJI	100,00	
Słownie: <u>STO ILOTY 00/100</u>	100,00	RAZEM
sporządził	Gł. księgowy	Zatwierdził
<i>[Signature]</i>		
Rap. kasowy	Kwota powyższa	
Nr poz.	otrzymałem	
	<i>[Signature]</i>	



Miejsce na korespondencję
 Na ręce p. Marty
 (czyżak)
 się skutecznie podtrzymuje
 instytucjom obrad.
 Zależąca serwowany dar
 na potrzeby Fundacji
 Sercem i myślami
 będzie x świąt.
 Wszelkimi
 Kuznievska
 Główny Sztab Armii Polskiej
 28.10.99



Dziewięć nadania

Odcinek dla adresata
 Stanisława Godlewicza
 Nadawca (imię i nazwisko - nazwa)
 Budowlanych 7a/9
 Ulica, nr domu, nr mieszkania
 87-200 Toruń
 ozn. kod poczt. 87-200
 zł 100 gr

ADRESAT
 Fund. Arch. Pom. A.K.
 ul. Garbary 2
 87-100 Toruń

Toruń 2.11.1999

SZ.P.
 Stanisława GODLEWICZ

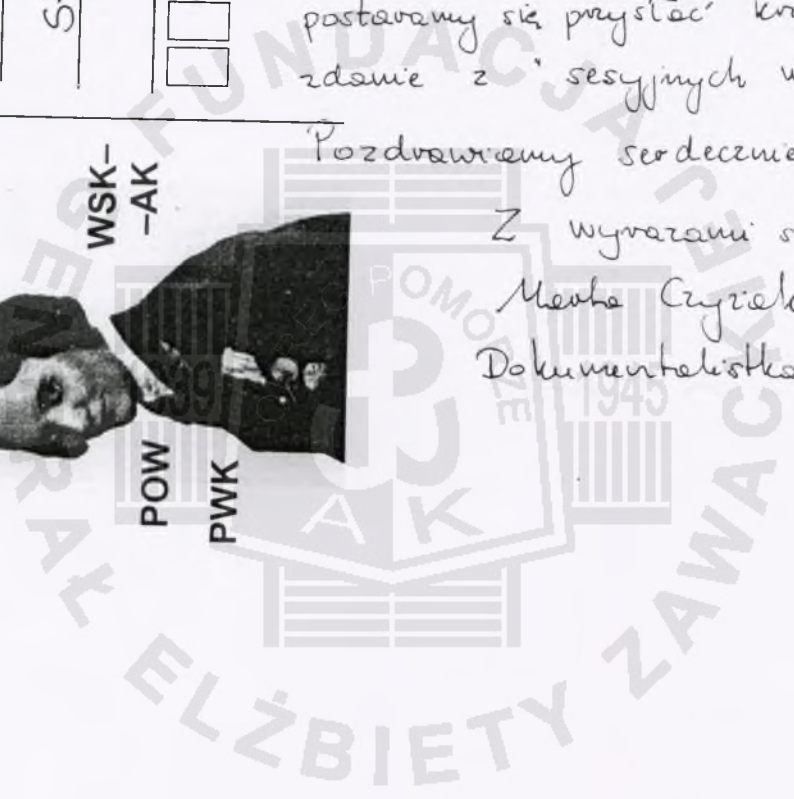
Szanowna Pani!
 Dziękujemy bardzo za dar,
 który naprawdę mi jest skromny,
 a także za pamięć.
 Mamy teraz dużo pracy, przygotowań
 w związku z Sesją - ale już po
 postawamy się przystać krótkie sprawo-
 zdanie z 'sesyjnych wydarzeń'.

Pozdrawiamy serdecznie!
 Z wyrazami szacunku -
 Mewa Czysiek
 Dokumentalistka Archiwum WSK



WSK-
 -AK
 POW
 PWK

FUNDACJA
 Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
 ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
 fax/☎ (0-56) 65-22-186
 Konto: WPK II Oddział w Toruniu
 10901506-4675-128-0040
 Doh. 3175/438/99
 MEMORIAL GENERAL
 MARIi WITTEK



IV/4-18

Pomniki poległych w rejonie
mojego działania (Sokotów-Pod.

1. Pomnik w lasku „Jagodniku” gdzie
zginęło kilku kolegów w walce z Niem.
2. Tablica na kościele w Sterdyni z nazw-
skami co zginęli z tego terenu.
3. Nadano imię Sakole w Czekanowie
komend. Sochy, który zginął w sakol
między alcjami
4. Kamień węgielny AK na rynku
w Sterdyni
5. Głaz w polu przy drodze, gdzie
zginął kom. AK Sokot-Podl. Oleksiak.

Wasi ciotocy mi tylko waleryli, ale
i ginęli

Wpłynęło dnia 0059 / 45h.
Ldz.

Zmierzno 6 sdyer,

IV/4-19

Wpłynęło dnia ^{KH} 12.1.
Licz. 0053 | WSK | 2000

Szanowna Pani Marjo Czyżak
z całego serca dziękuję za życzenia
Świąteczne i Noworoczne. Odwraajemnażę się
życze Pani i całemu gronu koleżanek
zdrowia i wszelkiej pomyślności w tej
pracy społecznej.

Proszę wybaczyć te krzywe literki, bo przyczy-
niła się do tego zacina starera prawego oka.
Czekam na okulary i podobno na zacina lewego
oka. Co ja bez tych oczu zrobię !!?

Seliamie mi rzdarz operacji (wiek 87)

Cieszę mnie przystane materiały, których
nawazie mi mogę przeczytać.

Na potrzeby Fundacji przesyłamy trochę groszy "

1. Jaworska J. = 50 zł — prekarum
2. Godlewicz, str. 30 zł } prekarum
3. Inocquito M. 30 zł.

Łgczę wiele serdeczności za pamięć.

Z całego serca dziękuję: Godlewicz,

14-20

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
fax/☎ (0-56) 65-22-186
Konto: WBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0
l.dz.2709 WSK 2001

Pochi

MEMORIAŁ GENERALA
MARIJ WITTEK



POW
PWK
WSK-
AK

Sz. P.
Staniłkowa
Godlewicz

ul. [redacted]
62-200 Gniezno

Toruń, 27.07.2001 r.

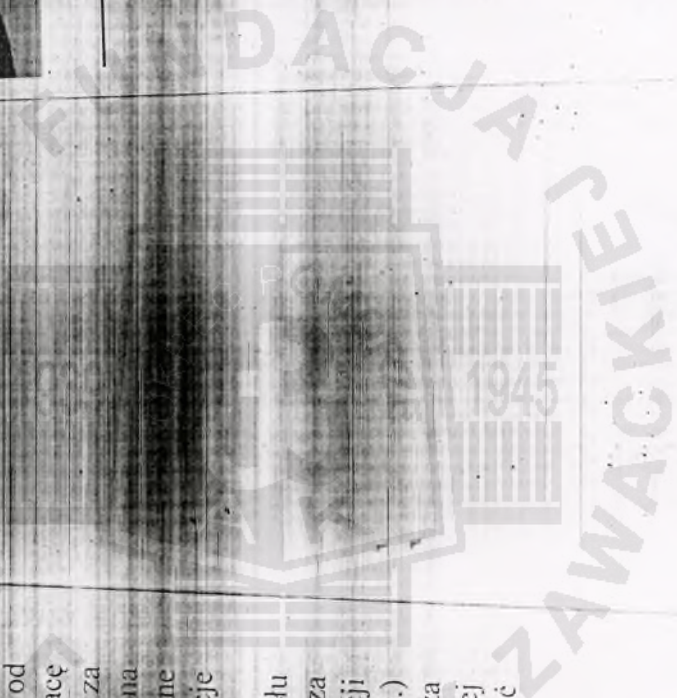
Szanowna Pani,

W imieniu p. Marty Czyżak, która od września 2000 r. ze względu na swoją pracę doktorską, już u nas nie pracuje, dziękujemy za przysłane materiały dotyczące nominacji Pani na stopień Podporucznika. Materiały zostały włączone do Pani teczek, my zaś składamy gratulacje i uszanowania.

Natomiast, w imieniu Zarządu Memorialu Generala Marij Wittek, składamy stokrotne dzięki za dar pieniężny przekazany na konto Fundacji w czerwcu br. (w wysokości 50 zł.) z przeznaczeniem na naszą działalność. Nasza wdzięczność jest ogromna, gdyż tylko dzięki takiej ofiarności możemy gromadzić i archiwizować materiały oraz wydawać książki.

Z poważaniem

Katarzyna Minczykowska
Kierownik Działu Archiwum WSK



IV/4-211

MEMORIAŁ
General Marii Wittek

Toruń, 17 01 2000 r.

L.dz. 00 112/434/2000

Pani Stanisława Godlewicz
ul. I
62 - 200 Gniezno

Szanowna Pani !

Dziękujemy bardzo za przysłane sumy, prosimy też podziękować osobie, która wsparła nas bezimiennie; pieniądze na pewno przydadzą się w naszej pracy.

Dziękujemy także za list (literki wcale nie są krzywe !) i za spis pomników poległych w rejonie Sokołowa Podlaskiego. Pozdrawiamy Panią serdecznie. Mamy nadzieję, że będzie Pani mogła wkrótce przeczytać nadesłane materiały - i że zaćma lewego oka nie nastąpi. Życzymy tego Pani z całego serca.

Z wyrazami szacunku -

Marta Czyżak
Marta Czyżak

Dokumentalistka Archiwum WSK

IV/4-22

Wpłynęło dnia 27. 10. 2000
Ldz. _____

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

66

Miejsce
na korespondencję

życzą owocnych obrad,
jakże, że nie mogą przyjechać.

Współpracownicy

Gniezno, 23.10.2000r.



Dzień nadania

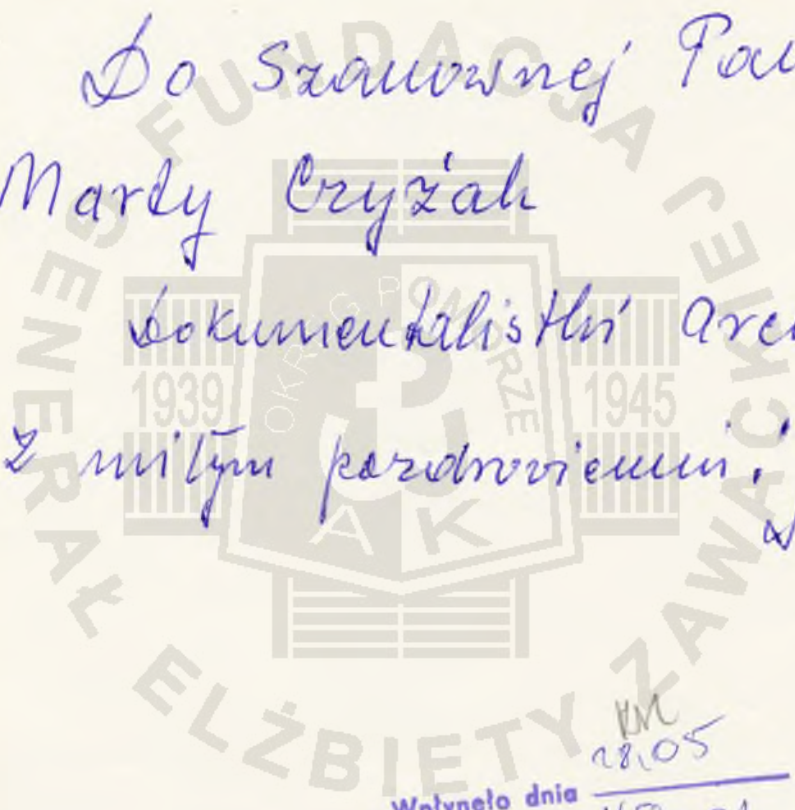
87-100 Toruń
W. Garbary 2, Toruń
Fundacja. Archiw. Armii. AK.
ADRESAT
zł 50,00 gr
ozn. kod poczta
62-200 Gniezno
ulica, nr ogólny, nr mieszkania
Gniezno
Nadawca (imię i nazwisko - nazwa)
Staniłkwa Godlewicz
Odcinek dla adresata

FUNDACJA Archiwum Pomorskie Armii Krajowej ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186 87-100 TORUŃ		Dowód wpłaty pokwitowanie		KP	
dnia 27. 10. 2000		Nr 149/2000		-	
Od kogo: PANI - STANISŁAW GODLEWICZ - GNIEZNO		Winien Kasa		Ma Konto	
za co		zł		gr numer	
DAR NA FUNDACJE (przez 2 pocztowy)		50,00			
Słownie zł. <u>Pięćdziesiąt złotych</u> Razem		50,00			
Wystawil	Sprawdzil	Zatwierdzil	Rap. kasowy	Kwotę powyższą otrzymałem	
				podpis	

Poli

IV/4-24

Do Szanownej Pani
Mary Kryżak
dokumentalistki Arch. W.S.K.
& miłym podróżnicu, Szydłowice,



25. V

Wpłynęło dnia 28.05
Licz. 4820
P.O.

Patri

IV/4-25

FUNDACJA Archiwum Pomorskie Armii Krajowej ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-180 87-400 TORUŃ		Dowód wpłaty pokwitowanie		KP	
dnia 11.06.01		Nr 269		9	
Od kogo: PANI: STANISŁAWA GODLEWICZ UL. BUDOLIANYCH - GNIEZNO		Winien Kasa		Ma Konto	
ZA CO		zł	gr	numer	
DAR NA FUNDACJE		50,00			
Pięćdziesiąt słownie zł.		Razem		50,00	
Wystawił	Sprawdził	Zatwierdził	Rap. kasowy	Kwotę powyższą otrzymałem	
<i>[Signature]</i>		<i>[Signature]</i>		<i>[Signature]</i>	

Druk: "GRAFEX" tel. 65-9-91-70

Odcinek dla adresata

Stanisława Godlewicz
 nadawca (imię i nazwisko - nazwa)

ulica, nr domu, nr mieszkania

2-200 Gniezno
 pocz. kod. poczta

50 gr

RESAT

Ind. Oreb, Poczta O.K.
 Imię i nazwisko (nazwa)

W. Garbary 2, Toruń

100 Toruń



25. V. 2001

Do tej małej sumki załączam pocztyną
 11 Tomonosić przyoznaczone ręką
 pocztą lądową pocztowne 1100
 Warszawa 25 km.
 Godlewicz

na kopiecie
 1100
 1100

FUNDACJA

Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ
pieczęć

Dowód wpłaty
pokwitowanie

KP

10/4-215

dnia 25. X. 2001

Nr 323

Od kogo:

PANI STANISŁAWA
GODLEWICZ-GRIEZO

Winien
Kasa

Ma
Konto

za co

zł

gr

numer

DAR NA FUNDACJĘ

50,00

Słownie z

PIĘCÍDZIESIĄT
MOTYMI

Razem

50,00

Wystawił

Sprawdził

Zatwierdził

Rap. kasowy

Kwotę powyższą otrzymałem

[Signature]

Nr.

Poz.

[Signature]

Druk: GRAFITEK, tel. 659-01-70

Wpłynęło dnia 9.08.
Ldz. 2810 WSK 2001
D.W.

IV/4-27

Gulieno,

Szanowna Pani

Serdecznie dziękuję za przystanie i wyrażenie
Przesyłam do zamieszczenia w mojej
teczce dokument (może się zmieścić)

Ze szczerym pozdrowieniem
dla Pani

pozostaje S. Godlewicz

+5021, Odp. z prośbą nr X15.

Wpłynęło dnia 25. X 1918
L.dz. 3988 WSK 1009
D.O.

Gmieźno, 23. X.
(Poh) 14-18

Szanownej Pani

serdecznie dziękuję za wy-
razę pamięci.

Wtemności wieku mi
pozwalaję przybyć na zebrań
Myślanii i sercem będę
razem w Wamii.

St. Godlewicz,

2 entolai 1,00 zł.
ЗАПРЯГОДОУЧНО
25. 10. 18.
G.G.

Peki
IV/4-29

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ
pieczęć

Dowód wpłaty
pokwitowanie
dnia 25.X.2001

KP
Nr 323

Od kogo:	PANI STANISŁAWA GODLEWICZ-GNIEZNO	Winien Kasa	Ma Konto
	za co	zl	gr numer
	DAR NA FUNDACJĘ	50,00	
Słownie z	PIĘCZDZIESIĄT MOTYMI	Razem	50,00
Wystawił	Sprawdził	Zatwierdził	Rap. kasowy Kwotę powyższą otrzymałem
<i>[Signature]</i>			Nr. <i>[Signature]</i> Poz. <i>[Signature]</i>

Druk "GRADEX" - tel. 650-91-70

Wpłynęła dnia 25.X.
Ldz. 3988 NSIC 2001



ZAWACKIEJ

ADRESAT
Fund. Arch. Pomor. AK
W. Garbary 2
87-100 Toruń

62-200 Gniezno
ozn. kod. poczta

zł 50 gr

ADRESATA
Stanisława Godlewicz
imię i nazwisko (nazwa)

Dzień nadania
23/09/11

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

Orchestra Pomorskie
Armii Krajowej
Zimna 5
ul. Piękny 49.

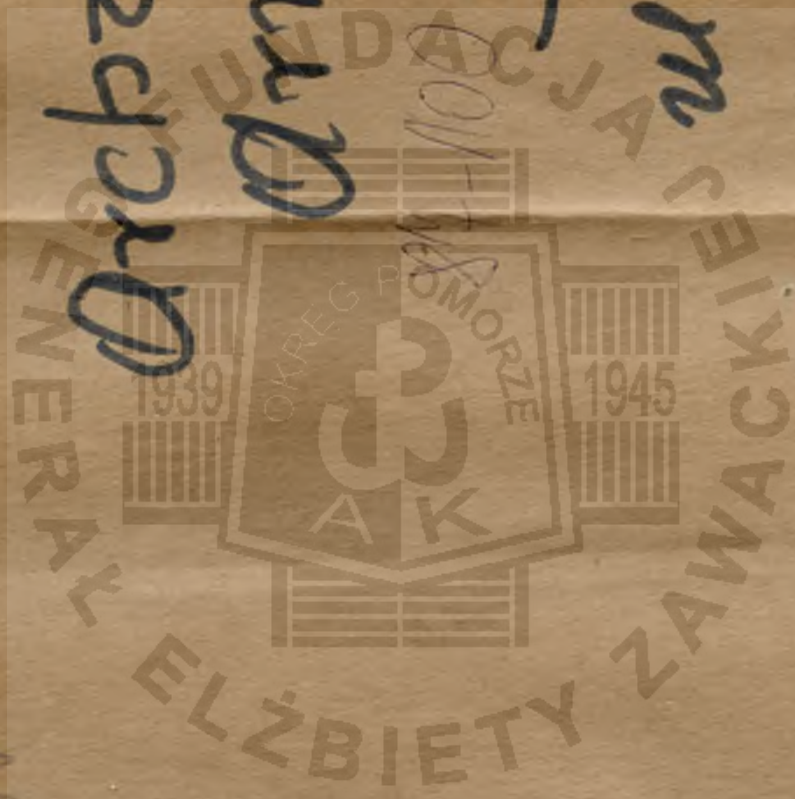


MSM

Nad. St. Godlewier

MSM

Województwo Pomorskie
Dzielnica, 22-00-00
Zimorost, 22-00-00
Piekary 45



Nad. st. Godleszów

02-200-Gumowo

GODLEWICZ STANISŁAWA

